październik
10/118

ślizg

płyta cd gratis

www.slizg.com.pl

kanYe West
exclusive

korn
roc-a-fella
UK bike show
anime pele
doniu

numer 10/118
październik 2005
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
cena: 6,90 PLN
(w tym 7% VAT)
ISSN 1425-1760
9 771425 176052 10

OPAK
2 MIL
POL

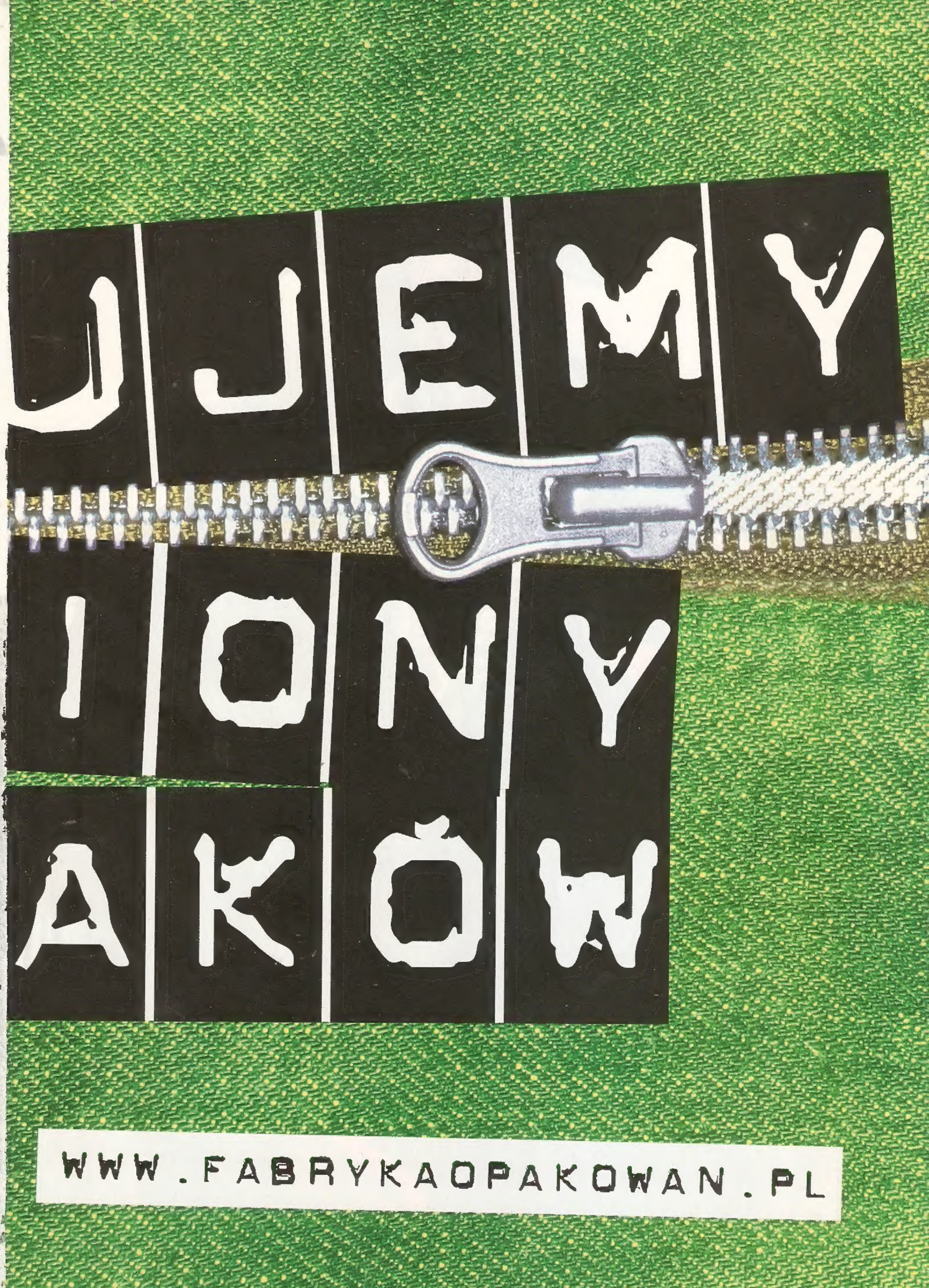
UJEMY
IONY
AKÓW
WWW.FABRYKAOPAKOWAN.PL

Foto: FABJAN

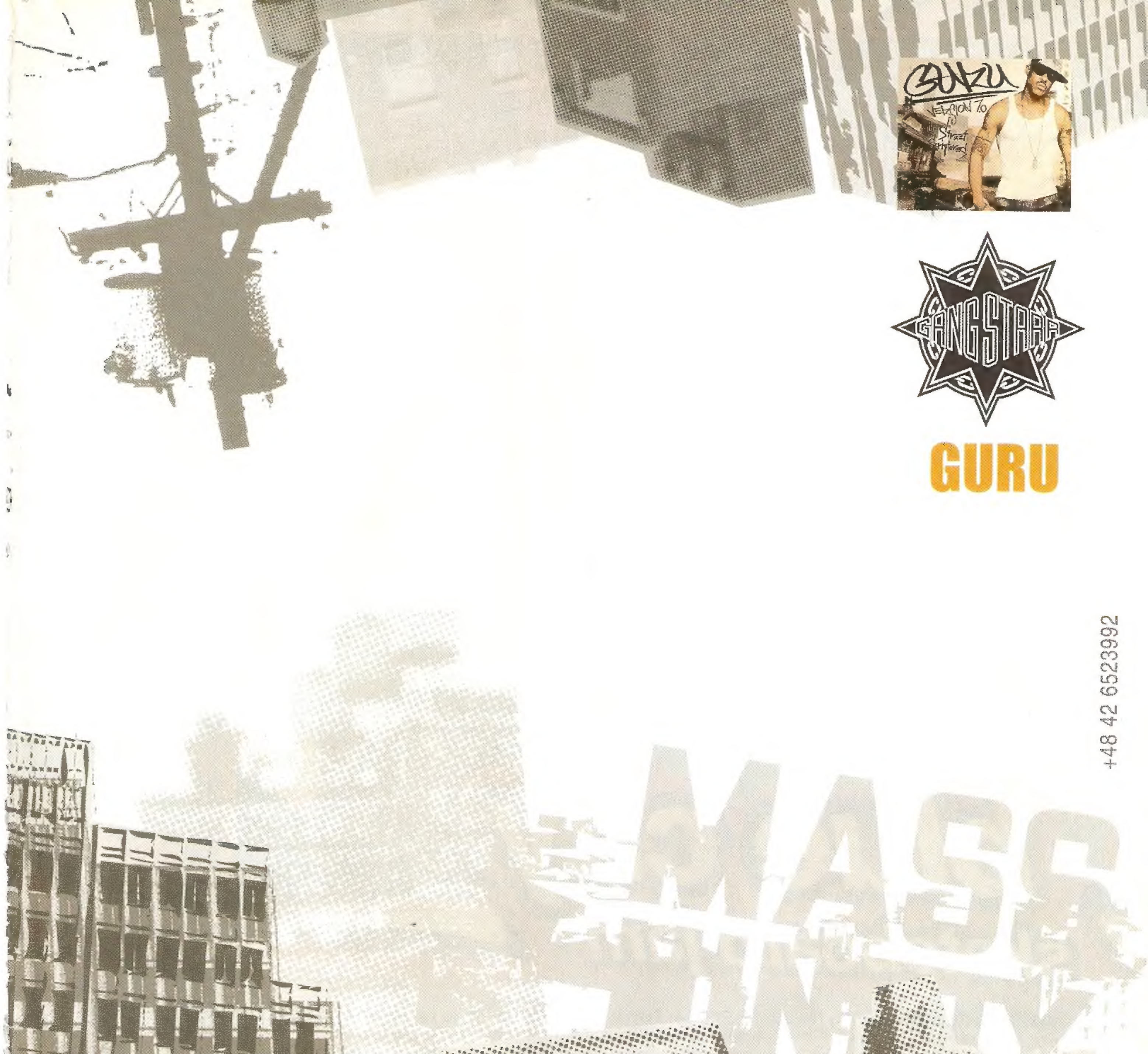
GANGSTARR
GURU
+48 42 6523992
MASS
FALL WINTER / 2005
WWW.MASSDNM.COM

Tomek Goławski
lipslide

blue city
skateboard jam

Takiego wydarzenia dawno nie było w Polsce. Tym bardziej cieszy mnie to, że impreza ta odbyła się również dzięki naszemu magazynowi. Firma Adio zdecydowała się wypuścić swój najnowszy film w specjalnym wydaniu „Ślizgu". Wszyscy zainteresowani pewnie film ten już posiadają, więc pisać o nim nie będę. Skupmy się raczej na wydarzeniach towarzyszących premierze filmu w warszawskim centrum handlowym Blue City

tekst Pc Skate
foto Wojtek Antonów / WZRR

Pokaz filmu był zamknięty i tylko dla zaproszonych gości. Natomiast absolutnie dla wszystkich odbyły się zawody w skateparku Kamuflage. Był to Best Trik Contest, mający oczywiście formę jamu. W dniu imprezy do Warszawy nie przyjechało zbyt wielu gości. Jednak warszawiacy wzbogaceni o polski team D.C. i Adio oraz kilku gości z innych miast naprawdę dawali radę. Nic zresztą dziwnego, mieszkańcy stolicy świetnie znają ten skatepark, jeździli w nim przecież całą zimę i większość deszczowych, wiosennych dni. O dobrą atmosferę zatroszczyli się organizatorzy, zapraszając didżeja, szkoda tylko, że grał on jedynie hip-hop, ale i tak było spoko. Do pełni szczęścia brakowało gorących baunsujących cheerleaderek prosto z USA.

Best Trik Contest odbył się na dwóch przeszkodach. Najpierw zmagania trwały na railu przy pięciu schodach, a później arena pojedynku przenieść się miała na piramidę. Nagrody mieli dostać wykonawcy pięciu najlepszych trików na tych przeszkodach. Na poręczy zmagało się kilku śmiałków. Modest cały czas próbował bs. tail, niestety bez rezultatu pozytywnego. Zupełnie inny wynik swoich wysiłków osiągnął Norbert Różnowski. Ten harpagan próbował wykonać same trudne numery i większość z nich mu wyszła. Nazwy takie jak heel flip fs. boardslide, bigspin fs. boardslide, sw. tail, bs. smith, mówią same za siebie. Tłum szalał, goście z telewizji nagrywali wszystko swoimi ogromnymi kamerami, a zajawka kipiała. Zupełnie inaczej niż Norbert podszedł do sprawy dawno nie oglądany na zawodach Zbyszek Kaczmarek. Można powiedzieć, że tak to wyglądało: przyszedł, zrobił heel flip nose slide i zgarnął nagrodę. Długo Zbysiu się nie musiał męczyć nad tym trikiem. Jednak prawdziwym królem raila tego dnia był Goły. Przez cały dzień nie odchodził on z rejonów poręczy i kiedy tylko rozpoczął się best trik, zaczął swoją masakrującą serię. Po jednym zrobionym triku robił następny, wyglądało to tak, jakby przez te pół godziny Tomek pokazał wszystkie triki, jakie umie. Gdyby jedna osoba mogła wygrać wszystkie pięć nagród, myślę, że Goły mógłby zgarnąć całą pulę. Chcecie wiedzieć, co zrobił? Bardzo proszę: nollie 5-0, nollie fs. board, nollie fs. nose slide, fs. croocked, flip fs. board, bs. tailslide, fs. 270 bs. lipslide, fakie lipslide i wreszcie na koniec bigspin flip fs. boardslide. Prawda, że nieźle?

Kiedy zmagania przeniosły się na piramidę, od razu więcej ludzi zaczęło jeździć. Widać było, że przeszkoda ta jest bardziej lubiana przez ogół skejcików. Flipy latały na prawo i lewo. Tym razem najbardziej wyróżniającą się osobą był Gutek, który jeździł na totalnym luzie. Bardzo dobrze pokazał się też Krzysiek Sereczyński z Łodzi. Jego sw. fs. flip był bardzo udany. Sędziowie mieli ogromny problem, żeby wyłonić najlepszą piątkę. Po burzliwych dyskusjach zdecydowano, że nagrody przypadną: Gutkowi, Norbertowi, Krzyśkowi, Zbyszkowi i Tomkowi. Szkoda, że nie było więcej nagród, bo dużo osób zasługiwało na obdarowanie...

Impreza Ślizgu i Adio wraz z końcem zawodów wcale się nie skończyła. Po ciężkiej jeździe można było się później zrelaksować kilka pięter wyżej w klubie Lucid na melanżu zorganizowanym z okazji premiery. Wszyscy, którzy tam byli, bawili się bardzo dobrze. Tańce, hulanki i swawole trwały do rana. To była bardzo fajna i potrzebna impreza. Dzięki takim wydarzeniom środowisko deskorolkowe żyje i ma się dobrze. Oby więcej takich inicjatyw.

Tomek Szkiela
360 flip

TopLogo
www.toplogo.pl

Odsłuchaj dzwonek i true tone zanim zamówisz. Zadzwoń pod numer:
0708.188.009
Phonesat Sp. z o.o. Koszt 0,29 - 0,35 PLN/min z Vat

Logosy - Dzwonki - SMSy - Tapetki - Gry java

tapetki

sms+ 7516 | 0708.588.000

Top Hit

ASL.256828

ASL.256944 ASL.256954 ASL.256994 ASL.257058 ASL.256788 ASL.257069
ASL.257195 ASL.257187 ASL.257208 ASL.257209 ASL.257247 ASL.259438
ASL.259575 ASL.259578 ASL.259615 ASL.259609 ASL.259639 ASL.259644 ASL.259686
ASL.259723 ASL.259648 ASL.259760 ASL.259821 ASL.259854 ASL.259930

Kolorowe Tapetki: SMS 7516 o treści dla **NOKII** 3510i, 3530, 8910i: **ASL.1nr tapetki** dla **NOKII** 3330, 5100, 6100, 6220 610, 6800, 7210, 7250: **ASL.2nr tapetki** dla **NOKII** 3650, 7650: **ASL.3nr tapetki** dla **NOKII** 6650: **ASL.4nr tapetki** **SIEMENS: ASL.Snr tapetki** m55, s45, s55, sl55 **MOTOROLA: ASL.Vnr tapetki** t720, t720i, t722i **SAGEM: ASL.Gnr tapetki** My x5, x6 **ERICSSON: ASL.Enr tapetki** t300 t310, t610. **(NP:** dla Nokii 3510i: **ASL.1254387** , dla Motoroli: **ASL.V254328)**
KOSZT SMS'a: 5,00 - 6,10 PLN z Vat. **0708-588-000** (3,00 -3,66 PLN/min z VAT)

polski hip - hop

top hity	mono	poli
Lepsze Jutro:: z rep Mezo Ft Kasia Klich	ASL.211695	ASL.605607
Moja Panienka:: z rep Lerek	ASL.211255	ASL.605272
Kto Dogoni Psa:: z rep Mleko	ASL.210591	ASL.604744
Ważne:: z rep Mezo	ASL.210915	ASL.604975
Nasze życie:: z rep Pan Duze P ft. Mezo	ASL.206230	ASL.601371
Na Dwa:: z rep Sistars	ASL.211230	ASL.605244
Halo kochanie:: z rep Doniu	ASL.211070	ASL.605119
Pamiętasz:: z rep Verba	ASL.209957	ASL.604158
Jak By To Było:: z rep DKA	ASL.209800	ASL.603989
Zapomnij o tym:: z rep Trzeci Wymiar	ASL.207964	ASL.602604
Przez Chwilę:: z rep Nowator	ASL.211700	ASL.605600
Jest Tak:: a rep Jeden Osiem L	ASL.209781	ASL.603970
Przestrzeń:: z rep Doniu	ASL.208263	ASL.602790
Skamieniali:: z rep Trzeci wymiar	ASL.206244	ASL.601342
Wielkie Jol:: z rep Tede	ASL.206240	ASL.601461
Jak żyć:: z rep Tede feat. Z.Sosnicka	ASL.206237	ASL.601460
To My:: z rep 52Debiec	ASL.206173	ASL.601454

zagraniczny hip - hop

mono	poli	super przeboje
ASL.208965	ASL.603363	Like Toy Soliders:: z rep Eminem
ASL.208792	ASL.603248	Trick me:: z rep Kelis
ASL.211097	ASL.605137	Hate it or love it:: z rep The Game
ASL.211604	ASL.605530	Signs:: z rep Snoop Dogg
ASL.211229	ASL.605243	N Dey Say:: z rep Nelly
ASL.209943	ASL.604144	Candy Shop:: z rep 50 Cent
ASL.204791	ASL.601180	Gangsta paradise:: z rep Coolio
ASL.203304	ASL.600280	Ice ice baby:: z rep Vanilla Ice
ASL.204787	ASL.601176	Without me:: z rep Eminem
ASL.210812	ASL.604885	Lonely:: z rep Akon
ASL.205581	ASL.600615	Loosen control:: z rep Snoop Dog
ASL.210497	ASL.604617	Hold you down:: z rep Jennifer Lopez
ASL.203296	ASL.600239	Big pimpin:: z rep Jay Z
ASL.202294	ASL.600242	California love:: z rep 2 Pac
ASL.203602	ASL.600250	Dilemma:: z rep Nelly Feat K Rowland
ASL.207389	ASL.602288	My place:: z rep Nelly feat. Jahiem
ASL.210496	ASL.604616	My band:: z rep D12

mono 7216 | 0700.281.750
poli 7516 | 0708.588.000

Dzwonek monofoniczny: SMS 7216 **Nokia,Samsung:** ASL.nr dzwonka **Siemens:** ASL.Snr dzwonka. Aby wysłać znajomemu Nokia i Samsung: ASL.nr dzwonka.nr telefonu Siemens: ASL.Snr dzwonka.nr znajomego.Koszt SMS'a: 2,00 - 2,44 PLN z VAT. **0700-281-750** (1,05 -1,28 PLN/min z VAT)
Dzwonek polifoniczny: SMS 7516 o treści: dla **Nokii** ASL.xxxxxx, **Siemensa** ASL.Sxxxxxx, **Motoroli** ASL.Vxxxxxx, **Sony Ericsson** ASL.Exxxxxx. Aby wysłać znajomemu: dla Nokii ASL.xxxxxx.nr znajomego, Siemensa ASL.Sxxxxxx.nr znajomego Motoroli ASL.Vxxxxxx.nr znajomego, Sony Ericsson ASL.Exxxxxx.nr znajomego. Koszt SMS'a: 5,00 - 6,10 PLN z VAT. **0708-588-000** (3,00 - 3,66 PLN/min z VAT)

Chcesz otrzymywać informację o promocjach wyślij SMS o treści ZGODA na numer 3232.
Chcesz zrezygować z otrzymywania ofert wyślij SMS o treści WYPISZ na numer 3232
Koszt SMS zgodny z planem taryfowym tel. użytkownika.
Reklamacje: 0708-188-008 lub bok@phonesat.pl

ANTYBOHATER SLG: ROBERT LESZCZYNSKI

czyli za co nie lubimy niedawnego Mopmana

„Powstał utwór bardzo gorzki, wręcz mroczny, stojący po stronie wolności, z nadzieją, ale też przestrogą przed naiwnością, refleksją nad dalszym losem rewolucji"- rak Leszczyński dorobił ideologię do „Razom nas bahato" robiąc z raperów z UMC sumienie narodu. Tak to można pisać o „Murach" i o „Rocie", a nie koniunkturalnej agitce, którą da się podpiąć pod każdą rewolucję. „Znalazłem kontrahentów, doprowadziłem do podpisania kontraktu" – tak nie powstają hymny rewolucji.

Za niezapomnianą kilkustronnicową promocję Tatu w babskim dodatku do Wyborczej – „Wysokich obcasach". To się nazywa właściwy człowiek we właściwym miejscu piszący o właściwych rzeczach. Choć przecież z Rosji do Ukrainy niedaleko...

„Właśnie oglądam konwencję Pani Bochniarz na TVN24 i Władek Frasyniuk mowił coś o tym, ze Leszczynski może załatwi nam hip-hopowca do celów naszej kampanii wyborczej" pisze Sebastian Preis na forum demkoraci. pl. Za to, że Leszczyński dorobił się ciekawej fuchy – pośrednika między politykami a raperami. Przy okazji ośmiesza obie grupy. Gratulacje. I pomyśleć, że część redakcji chciała głosować na Demokratów...

Kasia Nosowska i Kazik poświęcili Leszczyńskiemu utwór „Zoil". Za to, że przez sam fakt swojego istnienia odrywa zdolnych ludzi od robienia dobrych rzeczy i skłania ich do marnowania czasu na takie coś.

Latkowski informuje w Playboyu, że Steczkowska złożyła pozew by zablokować rozpowszechnianie jego filmu bez oglądania go „tylko dlatego, że pijany Leszczyński przekazał jej swoje pijane wizje". Za to, że Robert czyni artystyczne „elity" jeszcze wspanialszymi.

Za to, że występuje jako DJ Barbie Killer. Barbie Killer?!

Za „Idola". Bo przecież dużo dobrego może wyjść z beztalenci i frutsratów wybierających beztalencia i klaunów, ku uciesze widzów stacji jeszcze do niedawna wożącej się z Disco Polo.

Za to, że porównanie własnej głowy do mopa uznał na tyle zabawne, by tak nazwać swój program. Rożnica jest zasadnicza – z mopa jest duży pożytek, a z głowy Leszczyńskiego...

Przypomnijmy klasyczny artykuł Roberta L. „Manifest Blokersów". Blokersów, jakby inaczej, bo przecież „hip-hop wypływa z frustracji". Dowiadujemy się, że „Muzyka hiphopowa jest jeszcze łatwiejsza do zagrania niż punk rock.(...) Zespół składa się przeważnie z dwóch, trzech rapujących osób i jednego robiącego podkłady na jednym lub dwóch gramofonach". Za to, że lata minęły a z głów laików nie wybiło się jeszcze takich głupot.

„Dominują siermiężne opowieści w stylu 'jak to się nawaliliśmy, wyrwaliśmy dziewczyny, a potem goniły nas psy na sygnale'". Za to, że redaktor edukuje nas hip-hopowo nawet w pytaniach. To fragment drukowanego w Wyborczej wywiadu z Fiszem. I kolejny stereotyp. Dzię-ku-je-my.

Za konsekwencję. Bo już w jednym z nowszych wywiadów z ekscelencją Robertem hip-hop jest kreatywny i pełni rolę muzyki „która może być o całe piekło bardziej radykalna i twórcza od rocka"

Za schizofrenię/ideologiczną prostytucję (niepotrzebne skreślić). Mówi, że nadal jest punkowcem, nosi dready (no dobra, nosił do niedawna), za idola uznaje Janerkę, prywatnie słucha 2stepu, wypowiada się o hh, pisuje o Britney Spears, a za najlepszy zespół w Polsce uznaje Cool Kids o Death, chwilę później zaś już Pogodno

Za stwierdzenie, że „pisać można nauczyć się w tydzień". Choć może tak jak Leszczyński rzeczywiście można...

„Uważam, że zabierają miejsce wartościowym wykonawcom i psują ludziom gust" – tak Leszczyński tłumaczy ataki na Kaję Paschalską. Pointa nazywa się sama. Za zabieranie miejsca wartościowym dziennikarzom..

Prywatny diss: za to, że recenzując płytę Slipknota, napisał, że takie melodie mogłyby się znaleźć na płycie Britney Spears – oczywiście, wyjąłem tu te słowa z kontekstu, przyznaję, że to miał być swego rodzaju komplement. Dla Slipknota (być może dla Britney też). Ale coś tu jakby nie gra...

W numerze 10/118

MUZYKA:

cover story: KANYE WEST 10
PELE 22
debata: KICZ W POLSKIEJ MUZYCE 26
BEATBOX 32
LOST BOYZ 34
KORN 40
DONIU 50
VIVA kończy z hip-hopem? 48
ROC-A-FELLA RECORDS 52
DJ VADIM 56
recenzje płyt 65

SPORT:

BLUE CITY skateboard jam 06
trik miesiąca & TOY STORY 14
UK BIKE SHOW 20
CORTOZ 5 STARS 28
BMX MILANÓWEK 36
KITESURFING 46
GLOBE tour 54

KULTURA:

bazaar 15
komiks: WILQ 24
film: CZAS SURFERÓW 40
ANIME - sześć klasyków 50
bJEŻcie nagrody - rozwiązanie 57
JEŻ JERZY 59
game overload 62
recenzje komiksów 63
recenzje filmów 64
GRAFFITI 68
na deser: Jessica ALBA & Scarlett JOHANSSON 78

UWAGA, UWAGA!!!

Droczy Czytelnicy! Ślizg zmienił adres i siedzibę redakcji. Od tej pory wszelką korespondencję pisemną kierujcie na adres:

ŚLIZG
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

Numery telefonów i adresy mailowe redakcji pozostają bez zmian.

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 35
tel/fax +48 (prefix) 226359874
nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa
41-1500-1777-1217700-66518-0000
Dyrektor Wydawnictwa / Redaktor Naczelny: Łukasz Kowalski (rednaczkwl@slizg.com.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk (hellboy@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl),
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl), Grabiszczy (grabiszczy@o2.pl)
Korekta: Krzysztof Grabowski

Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (szatan@slizg.com.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki
Zespół: Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Fala, Andrzej Cała, CNE, DJ Spox, Sebastian Rerak, Yarrek, Sebastian Imbierowicz, Kada, Red, Paweł Gadaczek

Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Sekretariat i promocja: Monika Jurczak (monika@slizg.com.pl)
Finanse i księgowość: Alicja Włodarczyk
Druk i przygotowanie: ELANDERS
Adres redakcji: Ślizg
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
tel/fax +48 (22) 8254907, 8255069
e-mail: slizg@slizg.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i kopiowanie materiałów wyłącznie za zgodą redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść listów i ogłoszeń. Redakcja zastrzega sobie prawo do nieodsyłania niezamówionych materiałów oraz do ich skracania. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne wypadki w czasie wykonywania trików prezentowanych na łamach Ślizgu.
Ostrzegamy: niszczenie mienia jest karalne!

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

kanye
West
kanYeWest
laTeRegistration
PARENTAL ADVISORY EXPLICIT CONTENT

Skala i polot

Łatwo chwalić kogoś, kto odniósł sukces – to niby takie oczywiste. Czy jednak rzeczywiście? Czy napisanie kolejnego peanu na temat Kanye Westa jest takie proste? Czy napisanie o nim czegoś, co jeszcze nie zostało napisane – nawet na łamach SLiZG – jest w ogóle możliwe? Pewnie nie, więc jeżeli ktoś musi, ten tekst wyda się wtórny – to...

Zacznijmy od pudełka

Przede mną leży pudełko "Late Registration", nowej płyty gwiazdy Roc-a-Fella Records. Murowanego hitu, jednej z najbardziej oczekiwanych płyt w historii muzyki, a jednocześnie płyty, która ma same skrajne przyjęcia – od uwielbienia i rozwodzenia się nad geniuszem twórcy do pełnej negacji i radosnego "Kanye się wypalił". O tym za chwilę, a teraz na momencik się cofnijmy.

Bez bio

Nie będę chronologicznie podawał kolejnych dat z życia Kanye. Bio można takie znaleźć sobie w internecie albo w archiwalnych numerach SLiZG-u, w których pojawił się West. Na dwa lata przed trzydziestymi urodzinami facet jest u szczytu popularności. Ciekawe, czy myślał o tym, kiedy w szczenięcym wieku dostał swój pierwszy keyboard i pogrywał na nim akordami kawałki Michaela Jacksona. A może Stevie Wondera, Chaka Khan czy Raya Charlesa? Urodzony w Atlancie, wychowany w Chicago, obecnie non stop skaczący między Nowym Jorkiem i Los Angeles. Produkując kolejne hity nabijające kasę Shawnowi Carterowi (Jay-Z nie pozwala już na siebie mówić Jay-Z, choć na nowej płycie Kanye to Jay, a nie Shawn przewija w remiksie "Diamonds From Sierra Leone"), realizując własny projekt G.O.O.D Records (Getting Out Our Dreams), podpisując swoje produkcje z bezczelną pewnością siebie "Very Good Beats. Hip Hop Since 1978". A przecież mało brakowało i tego wszystkiego by nie było.

W trzech miejscach

Wypadki samochodowe się zdarzają. Nawet bardzo często i chyba trzeba mieć niefart, żeby podpisać umowę z Roc-A-Fellą, dostać piękny łańcuch od Jacobsa z logiem firmy, a niedługo potem rozpieprzyć pancerny amerykański samochód i wylądować na intensywnej terapii. Szczęka połamana w trzech miejscach, mnogie ciężkie obrażenia i kilka dni dość blisko "rewirów" Św. Piotra. Szczęka do dziś jest na drutach, a Kanye – choć lubi się uśmiechać, ma z tym momentami wyraźne problemy. Ale też z tą zadrutowaną szczęką niedługo po wypadku nagrywa "Through The Wire". Specyficzne poczucie humoru, bo utwór bazuje na wielkim przeboju Chaki Khan zatytułowanym "Through The Fire" (fire – ogień, wire – drut). Humor humorem, singiel sprzedaje się znakomicie. Bo są jeszcze kraje takie jak USA, gdzie można również w wielkim nakładzie sprzedać płytkę singlową.

Ale hity były już wcześniej, bo na produkcjach Westa swoje głosy podkładali m.in. Alicia Keys, Jay-Z, Ludacris. I tu ciekawostka – jeszcze wcześniej, co było przełomem w jego karierze, West pracował z Jermainem Dupri. Dołożył swoją cegiełkę do albumu "Life in 1472". Jaka to ciekawostka? Nie sama współpraca nie jest ciekawostką, ciekawostką natomiast jest to, że Dupri, znany z lansowania nowych gwiazd i pomocy przy ich promocji chyba nawet bardziej niż z własnych albumów – wypuścił Kanye ze swoich łap i pozwolił na to, by to Jay-Z miał go w swojej stajni. A może to Kanye nie chciał?

Jay to sukces

Jay-Z w każdym razie zwykle wie, co robi. Ten facet jest (czy może był, choć tego pewnie nie wie nawet on sam) nie tylko znakomitym raperem, ale – przede wszystkim – wyjątkowo łebskim biznesmenem. Wytwórnia kręci, przynosząc złoto za złotem, a często – jak jeśli platyny, ciuchy sprzedają się nie gorzej, liczne fundacje pozwalają na intensywną działalność społeczną, a na uniknięcie płacenia wielkich podatków. West ze swoim talentem w Roc-A-Fella Records? Z pewnością nie było lepszego miejsca.

The College Dropout pojawił się w 2004 roku i z miejsca rozwalił listy przebojów. Singiel za singlem, a w końcu 10 nominacji do Grammy i dwie statuetki na wzmacniaczu w studiu. Jednak West nie skupił się tylko na swojej solowej karierze. Dalej produkował muzykę i jego charakterystyczny styl słychać było na wielu innych, a jego rozpoznawalnych od siebie albumach. Kanye pracuje bowiem i z Dilated Peoples, i z The Game. We własnej wytwórni współprodukuje fantastyczny solowy debiut sesyjnego muzyka, a przede wszystkim znakomitego wokalisty soulowego Johna Legenda, jednocześnie wydając kolejną płytę weterana new school – Commona. A G.O.O.D Records ma podobno zabłysnąć dopiero w przyszłym roku, na który Kanye zapowiada kilka przełomowych debiutów.

Na top – szybko

Swoją pozycję zdobył szybko. Szybko jak na miejsce w nieoficjalnych rankingach, w których stawia się go obok takich ludzi jak Dre czy Timbaland. Mówi się, że stworzył zupełnie własny styl, co od razu prostuje, mówiąc, że on swoimi produkcjami składa hołd klasyce hip hopu, a przede wszystkim klasyce czarnych gatunków muzyki. W jego utworach zresztą słychać tych klasyków mnóstwo, a złośliwi twierdzą, że to właściwie żadna sztuka, skoro wydawców Kanye stać na clearing sampli wartych po kilkadziesiąt tysięcy dolarów. To pojawiło się zwłaszcza ostatnio, gdy na listy trafił utwór "Diamonds From Sierra Leone", nawiązujący na okrojonym samplu refrenu z "Diamonds Are Forever" Shirley Bassey, utworze skomponowanym do kultowego dziś filmu o przygodach agenta 007. Okrojonym zresztą tylko w wersji singlowej, bo remiks, który znajdziemy na nowej płycie, zawiera już cały refren. To musiało kosztować majątek i nie każdego na to stać. Z drugiej strony jednak – pomysł. Czy mało jest w hip-hopowym świecie wydawców, których stać na drogie zabawki?

Nie ulega wątpliwości, że West sampluje dużo, często i chętnie. Zbytnim uproszczeniem byłoby jednak twierdzenie, że to właściwie cały jego sukces. Uproszczeniem? Bzdurą! Z samplem trzeba jeszcze wiedzieć, co zrobić. Można założyć, że główną umiejętnością Westa to tworzenie hitów. Chwytających za ucho, momentami nie, ale jednocześnie nienachalnych. Bo przecież jest jeszcze coś – umiejętność rapowania. Chodzi plotka, że West, realizując jednego z raperów, dla którego skomponował muzykę, zdenerwowany ciągłym rwaniem za mikrofonem, postanowił udowodnić, że sam też potrafi rymować. Plotka plotką, trudno jednak odmówić mu niezwykle rzadko od kilku lat spotykanej lekkości połączonej z nienaganną techniką, ciekawymi historiami i wszechstronnością, bo West równie dobrze czuje się w konwencji lekko prześmiewczej, jak i poruszając poważniejsze tematy. Pochodzący z College Dropout utwór "Jesus Walks" stał się nie tylko charakterystycznym manifestem wiary, ale poruszał również kwestie społeczne.

Mocne słowa

– I tu kolejny plus dla Westa. Choć lubi podkreślać, że forsy wydaje na ubrania od uznanych kreatorów, a w temacie swoich zarobków nie nabiera wody w usta, jednocześnie potrafi ostro skomentować pewne zjawiska, o których dobrze uposażeni raperzy wolą zapomnieć. "George Bush nie jest zainteresowany losem czarnoskórych" – powiedział podczas koncertu dla ofiar huraganu Katrina. To były ostatnie słowa, które puściła na żywo transmitująca ten koncert telewizja NBC. Ostatnie, bo producent programu kazał wrzucić reklamy. Co prawda Bush nigdy nie mógł liczyć na dobre słowo od Afroamerykanów mających dostęp do mediów, ale to Kanye powiedział, komentując wydarzenia mające miejsce po tragedii w Nowym Orleanie, że do Czarnych w Nowym Orleanie można strzelać, jest na to oficjalne pozwolenie, a ratuje się białe rodziny.

Jakiś czas temu w programie telewizji MTV Base West powiedział też inne mocne słowa. Komentując sytuację w amerykańskim hip hopie, powiedział, że nie potrafi zrozumieć homofobii raperów, która momentami jest wręcz obsesyjna. "To wygląda tak, jakby po jednej stronie był hip hop, a po drugiej homoseksualiści. Dla mnie jest to chore, naganne i nie rozumiem tego" – mówi prowadzącemu z nim wywiad. Podkreślił też, że takie zachowanie nie powinno się pojawiać nagminnie wśród przedstawicieli kultury wywodzącej się od ... to by Afroamerykanie nie byli dyskryminowani. Nie trzeba chyba dodawać, że tak mocny atak na homofobię wyrażony przez gwiazdę rapu z pierwszych miejsc list przebojów zdarzył się po raz pierwszy. Chyba że policzymy oświadczenie Eminema po wspólnym występie z Eltonem Johnem...

Zamiast recenzji

Ubiegłoroczne szaleństwo związane z Westem miało zostać zweryfikowane jego drugim solowym albumem. I tu wracamy do wspomnianych na początku tego tekstu skrajnych opinii. "College Dropout" był kompilacją hitów. Kompletną, udokumentowaną teledyskami, skonsumowaną nagrodami, dziesiątkami koncertów. O "Late Registration" na pewno nie można napisać, że to zbiór murowanych hitów, przynajmniej takich, do jakich West zdążył nas przyzwyczaić. Co prawda dwa pierwsze single miażdżą, bo po "Diamonds" również "Gold Digger" z Jamie Foxxem zdobywa listy przebojów, a na płycie znajdziemy również sporo innych potencjalnych, ale pierwsze wrażenie jest takie, że patent na hit za hitem się skończył.

Jest za to coś innego. Mnóstwo żywych instrumentów, orkiestrowe aranżacje, częste powroty do brzmienia '93, mnóstwo odnośników funkowych, soulowych. Jest wyzwaniem nagranie utworu z Adamem Levine z popowej bandki Maroon 5. Levine głos ma świetny, ale osadzenie go w hip-hopowym otoczeniu mogło być ruchem samobójczym. Tak? Więc posłuchajcie. West swoim flow nawiązujący do wczesnego Nowego Jorku spod znaku Native Tongue, plus Levine wyciągający wysoką fazę, płynnie przechodzący w fantastyczną melodię. A całość produkcji oparta jest o fragmenty kompozycji Natalie Cole. Już ten jeden utwór pokazuje, że West po prostu wciąż szuka, a poruszanie się tylko i wyłącznie w konwencji, do której przyzwyczaił swoich odbiorców, może i byłoby pewniakiem, ale go nie interesuje. I tu coś, co osobiście odbieram jako muzyczny żart – na bardziej Kanye owaną produkcja "Touch The Sky", utwór oparty o obszerne fragmenty "Move On Up" Curtisa Mayfielda, to dzieło Just Blaze'a. Przewrotne, co?

West na swojej nowej płycie sprawnie porusza się po różnych rejestrach. "Drive Slow" z Paulem Wallem i GLC to delikatny ukłon w stronę produkcji Dre'a, a "My Way" to tak naprawdę remiks "Home Is Where The Hatred Is" funkowego klasyka Gila Scott-Herona z udziałem Commona. Odważnie, interesująco, zwłaszcza że chwilę później w równie funkowej konwencji usłyszymy Westa i The Game'a w "Crack Music". Goście na płycie rozmaici, ale w konwencji. To znaczy – numer jeden to West, goście robią klimat, co nie do końca udało się na poprzednim albumie, który w kilku miejscach był przez gości zdominowany. Na Late Registration dominować chciał Jay-Z w remiksie "Diamonds" – ale czy mu się to udało, pozostawiam pod osobiste oceny. No i nie można nie wspomnieć o znakomitym "We Major" z Nasem. "Really Doe" Nas na produkcji Roc-A-Fella? Prawie jak tal... bowiem w kilku ewkach, a jednak.

Late Registration to dla Westa krok naprzód. To dowodzenie, że nie tylko hity. Również dowód, że klasyka to dla naszego bohatera bardzo ważne słowo – że wciąż można bazować na tym, co było kiedyś, a tworzyć muzykę nowoczesną. Może nie tak mocno przebojową, ale co tak naprawdę jest przebojem? A może inaczej – czy przebojem mogą być tylko utwory, których refren zapamiętuje się po pierwszym przesłuchaniu? Najwyraźniej Kanye West ma zamiar temu zaprzeczyć. A płyta jest po prostu znakomita, bo nawet banalna w większości swoich produkcji wokalistka Brandy osiąga na niej wyższy stopień wtajemniczenia.

Jeszcze jedna uwaga, istotna moim zdaniem. Podsumowując nową płytę KW. Współproducentem albumu Jon Brion, autor hollywoodzkich soundtracków, multiinstrumentalista, producent wykonawczy wielu artystów. Czy nie robi na was wrażenia fakt, że producent, którego od kilkunastu miesięcy znakomita większość komentatorów określa mianem jednego z najlepszych, zaprasza do współpracy jeszcze kogoś? Czy ktoś zdziwiłby się, gdyby West na swojej drugiej płycie zrobił wszystko sam? Tu jednak widać pełny profesjonalizm i pokorę, zwłaszcza gdy nasz bohater mówi, że dzięki pracy z Brionem wciąż może się uczyć, nabiera dystansu do swojej twórczości, a jednocześnie jest dużo bardziej umotywowany. Co chciałbym zadedykować gwiazdom polskiego hip-hopu, najczęściej zakochanym w swojej twórczości bez pamięci i bez dystansu.

Zobaczysz to, przy okazji

West robi muzykę, rapuje, ma własną firmę, promuje swoich artystów, udziela się społecznie, robi też edyski, jak sam mówi – chciałby robić jeszcze więcej, ale czasami brak czasu. Każdy kawałek z Late Registration będzie zobrazowany klipem, co na razie udało się tylko 50 Centowi, ale przecież Kanye też lubi działać na wielką skalę. Właśnie na wielką skalę. Ale też słowo z polotem. Można tylko przyklasnąć – właśnie stąd ten pean.

Jako jedyni w Polsce możecie przeczytać ten krótki wywiad z Kanye, w którym opowiada o nowej płycie, starych przyzwyczajeniach, modzie i nagrodach

Jak należy rozumieć tytuł twojego albumu – Late Registration (Spóźniony Zapis)?

Cóż, ten tytuł sam w sobie nic nie znaczy. Jest jednym z tytułów czteropłytowego projektu – College Dropout (Rzucenie Szkoły) to była część pierwsza, Late Registration jest częścią drugą. Trzecią część nazywać się będzie Graduation, a czwarta wynikać będzie z tego, co zwykle osiąga się po dobrym zaliczeniu szkoły, czyli coś związanego z dobrą pracą. Jak na razie jestem więc w połowie drogi.

Co Cię inspirowało, żeby tak to rozegrać?

Miałem wspaniałe życiowe doświadczenia, by mieć inspirację do stworzenia College Dropout, a przecież podczas pracy nad Late Registration nie przestałem żyć. Wciąż mam wiele wzlotów i upadków, wiele rzeczy, przez które przechodzę w ele, które dają mi możliwość kreślenia nowych sytuacji. Lubię patrzeć się za siebie i spoglądać w czasy, kiedy jeszcze nie byłem tym znanym Kanye Westem, i przez to w jakiś sposób odnieść się do fanów. Zobaczyć, kto właśnie dokonał tego spóźnionego wpisu ... odnieść się do prawdziwych ludzi.

Opowiedz o tym, jak powstawał nowy album.

Powstawał w wielu miejscach – w Los Angeles, Nowym Jorku, Atlancie i Chicago. Nawet podczas pobytu w Pradze, (tam kręcony był klip do „Diamonds From Sierra Leone") nagraliśmy pewne rzeczy. Dużą różnicą w stosunku do pierwszego albumu było to, że pracowałem z Jonem Brionem, na którym spoczywała współprodukcja całego materiału. Ten człowiek jest geniuszem, gra na każdym instrumencie, produkował trzy płyty Fiony Apple, soundtrack do „Magnolii" i „Zakochanego bez pamięci". Praca z nim wprowadziła mnie na zupełnie inny poziom. Nie chodziło tylko o kwestie instrumentalne, ale na przykład gdy nie chciałem napisać już żadnej nowej zwrotki, on potrafił mnie zmobilizować, wręcz wymóc na mnie, mówiąc po prostu: „Pisz, potrzebuję kolejnej zwrotki". To było trochę szalone dla mnie, jako producenta, by mieć nad sobą jeszcze kogoś, kto produkuje mój materiał i do tego tak na mnie naciska. Ale na prawdę to doceniam.

W tym samym czasie pracowałeś nad jeszcze jednym projektem, ciężko było?

Tak, mówisz o Be Commona. Na pewno wiele osób dostrzeże podobieństwo tych albumów – bębny a la '93, mocne wejścia perkusyjne, dziwne sample. Ja i Common mamy wspólny lot na takie granie i z tego właśnie wyszło coś nowego. Oczywiście są w tym elementy retro, ale jest to także zupełnie nowy styl, styl muzyki, który sprawia, że czujesz się po prostu dobrze. Z pewnością połączenie pracy nad tymi albumami pomogło mi.

Zaprosiłeś na LR wielu gości.

Faktycznie, są tu między innymi Adam Levine z Maroon 5, Cam'ron, Common, Jay-Z, Brandy, Jamie Foxx. Gości jest sporo, ale całość nie brzmi jak kompilacja utworów różnych artystów, bo udało mi się włożyć w tę płytę swojego ducha. Po prostu można mnie przez nią wyczuć, a przyjaciele pojawiają się w odpowiednich momentach, by pomóc mi dokładnie trafić w sedno.

A czy jest ktoś z kim chciałbyś współpracować w przyszłości?

Cały czas chciałbym znaleźć się w studiu z Lauryn Hill.

Czy kiedykolwiek na rynku ukażą się kawałki, które nie znalazły się na nowej płycie? Podobno jest ich sporo.

Podczas sesji nagraliśmy naprawdę wiele utworów i niektóre faktycznie nie przeszły przez sito. Nie dlatego, że nie były wystarczająco dobre, tylko po prostu kilka z nich nie było jeszcze wystarczająco dopracowanych, nie czułem ich. Żeby utwór brzmiał tak, jak chcę, pracuję nad nim przez kilka miesięcy. Na prawdę, to wiele, wiele kolejnych sesji. Moja muzyka to nie fast food – nie puszczam jej w obieg tak po prostu. Chcę, by moje kawałki były perfekcyjne, by wytrzymywały próbę czasu.

Który kawałek z płyty podoba ci się najbardziej?

Czy mam jakiś swój ulubiony? Nie, podobają mi się wszystkie.

Opowiedz coś o pierwszym singlu z płyty, „Diamonds From Sierra Leone".

Uwielbiam ten sample! To jeden z tych, których słuchałem i powiedziałem do siebie: „Nie wierzę, że ktoś z Roc-A-Fella jeszcze tego nie wykorzystał!". Gdy pierwszy raz usłyszałem złożony w całość beat, chciałem opowiedzieć o powstaniu, upadku, śmierci i odrodzeniu Roc-A-Fella. Gdy puszczałem ten utwór różnym ludziom, oni trochę inaczej kojarzyli te diamenty – diamenty, które powodują konflikty, przy których pojawia się krew. Mój przyjaciel Q-Tip opowiedział mi w tym czasie o tym, co dzieje się w Afryce. O wojnach, które czyły się przez lata, a które zaczynały się przez diamenty. Czarni zabijający Czarnych – tak jak to dzieje się w Stanach. Chciałem przestrzec ludzi przed tym. Teledysk do tego kawałka nie jest jakimś protestem przeciwko diamentowemu przemysłowi, ale ma przestrzec przed konfliktami, które tak drogocenne rzeczy jak diamenty mogą wywołać. Przemysł diamentowy robił różne rzeczy, by diamenty stały się pożądanym ciężkim do zdobycia towarem. Chciałem, by ludzie byli tego świadomi ... bo ja nabrałem tej świadomości.

A co możesz opowiedzieć o drugim singlu, „Gold Digger"?

Ludzie często chcą jakoś uszeregować artystów. Choćby przez mówienie takich rzeczy, jak: „Kiedy słucham twojej muzyki, chcę, żeby było mi smutno" albo „Kiedy słucham twojej muzyki, chcę się bawić". Wtedy jednak powstaje coś nieprawdziwego. A „Gold Digger" jest utworem, który ma opowiedzieć prawdziwą historię. Te wszystkie dziewczyny, które się w nim przewijają, są prawdziwe. Znam je i ich historie przewijały się w mojej głowie, a w studiu udało mi się stworzyć z tego jedną historię. To wszystko.

Dobrze, a video do „Diamonds...". Jest to dość specyficzny klip.

Z pewnością. Teledysk reżyserował Hype Williams, a kręcony był w Pradze. A przy okazji udało mi się zrealizować jedno marzenie. Widzieliście te posągi na moście, które pojawiają się w kilku ujęciach? One tak strasznie mi się podobały, ale przecież oczywiste było, że w żaden sposób nie mógłbym stać się ich właścicielem. I dlatego powiedziałem ekipie, żeby pojawiły się w teledysku. Wiecie, jak się z tym czuję? Jakby przez te cztery minuty trwania teledysku należały one do mnie. Co jeszcze mogę powiedzieć? Chciałem przedstawić w tym teledysku to wszystko, co powiedziałem w utworze. Praga wydawała się miejscem idealnie pasującym do klimatu. Sądzę, że się udało, bo moim zdaniem ten klip jest jednym z tych, które zapamiętacie do końca życia.

A naprawdę masz zamiar nakręcić teledyski do wszystkich utworów na płycie?

Tak, do każdego kawałka powstanie klip. Rozmawiałem o tym wiele z Hypem Williamsem, Chrisem Milkem, Michelem Gondry, Markiem Romankiem i Spikem Jonesem i już wiem, że chwili ten projekt jest realizowany. Wierzcie mi, że będą to klipy, które będą miały taką moc, jak „Diamonds".

Opowiedz coś o planach Twojej wytwórni, G.O.O.D.

Mogę powiedzieć o tym, co już udało mi się osiągnąć – platyna Johna Legend, platyna Commona. A to dopiero początek. Mam podpisanych wielu znanych tych artystów, Fonzworth Bentley, Sa Ra, GLC, Consequence. Ci ludzie już wkrótce pokażą, na co ich naprawdę stać. Ta wytwórnia powstała dla fanów, z pewnością nie po to, by realizować jakieś moje ambicje. Ja jestem tu po to, żeby stworzyć tym artystom właściwe warunki, bo wiem, że są warci tego, by ludzie ich słuchali. Wiem, że każdy z nich chce spełnić swoje marzenia i wiem, że uda nam się to zrealizować.

Jesteś raperem, producentem, reżyserem, wydawcą. Którą z tych rzeczy lubisz robić najbardziej?

Te wszystkie rzeczy naturalnie się łączą. Przecież to ułatwia sprawę, jeżeli jesteś reżyserem teledysku, ale to właśnie ty napisałeś utwór, do którego powstaje. Znam reżyserów, którzy słuchają po kilkadziesiąt razy bez przerwy utworu, by najlepiej się w niego wczuć. Chris Milk na przykład słucha utworów po tysiąc, a może i więcej razy, więc w pewnym momencie zna je tak dobrze, jak ich twórcy. A jeżeli chodzi o mnie, to przecież nikt nie zna moich piosenek lepiej, niż ja. I dlatego mogę je sprawnie połączyć z wizją, jaka pojawia się do nich w mojej głowie. Staram się mocno w to wczuć, by to była prawdziwa sztuka. Myślę o teledyskach jak o namalowanych obrazach, obrazach, które przez kilka minut poruszają się na ekranie. Zupełnie obce mi jest podejście do klipu jak do marketingowego narzędzia, które ma wypromować sprzedaż płyty. Chcę, by powstawało coś, co przetrwa, na co ludzie zwrócą szczególną uwagę. I ten jeden element, jakim jest teledysk, chyba najlepiej tłumaczy, że wszystkie rzeczy, które robię, tak naprawdę stanowią całość i ciężko jest od siebie oddzielić.

Teraz zapytam o coś zupełnie innego. Lubisz być modny. Czy to dla ciebie ważne?

Ze mną było tak, że już od przedszkola lubiłem sobie sam wybierać rzeczy, w których chodziłem, to mnie naprawdę kręciło. Dochodziło do tego, że jak mnie na coś nie było stać, to delikatnie warowałem. Na przykład miałem 500 dolarów na ciuchy do szkoły na cały rok i potrafiłem połowę tego wydać na taką parę jeansów, jaka mi naprawdę pasowała.

Co myślisz o dzisiejszym hip-hopie?

Cóż... Hip-hop jest wielki. Człowieku, a co mam ci powiedzieć?! Przecież ja rapuję.

A muzyka w ogóle?

Muzyka też jest zajebista. Ej, przecież ja również robię muzykę.

Czego nauczyłeś się od tych wszystkich ludzi, z którymi pracowałeś w swojej karierze?

Wielu sztuczek. Tego, jak Puff Daddy programuje bębny, jak Common wczuwa się w swoje teksty, jak Jay-Z potrafi wyciągnąć korzyści ze swojej kariery, tak naprawdę nigdy nie byłem specjalnie utalentowany w jednej, konkretnej rzeczy, natomiast potrafię się uczyć. Skoncentrować się na czymś, nauczyć się tego, a potem to wykorzystać.

Wygranie Grammy miało dla ciebie duże znaczenie?

Wiesz co, przede wszystkim znaczenie dla mnie miało to, że mogłem przemówić do ludzi. Wszyscy wiedzą, jak zachowuję się podczas wręczania nagród. Ja nawet nie muszę wygrać, żeby tylko ktoś dał mi szansę przemówić – pewnie dlatego rapuję. Ciekawym doświadczeniem była konfrontacja z ludźmi, którzy być może nie znali zupełnie mojej muzyki, ale przez 30 sekund mogłem do nich mówić. I na pewno jestem wdzięczny Grammy za to, że miałem taką szansę. Bo dla mnie tak naprawdę nie liczą się nagrody i akceptacja tłumu fanów, który krzyczy twoje imię. Ważniejsze jest to, żeby moja muzyka i jakaś myśl w niej zawarta dotarła do nich, żeby im pomogła, sprawiła, że czują się lepiej. I to jest dla mnie ta prawdziwa nagroda.

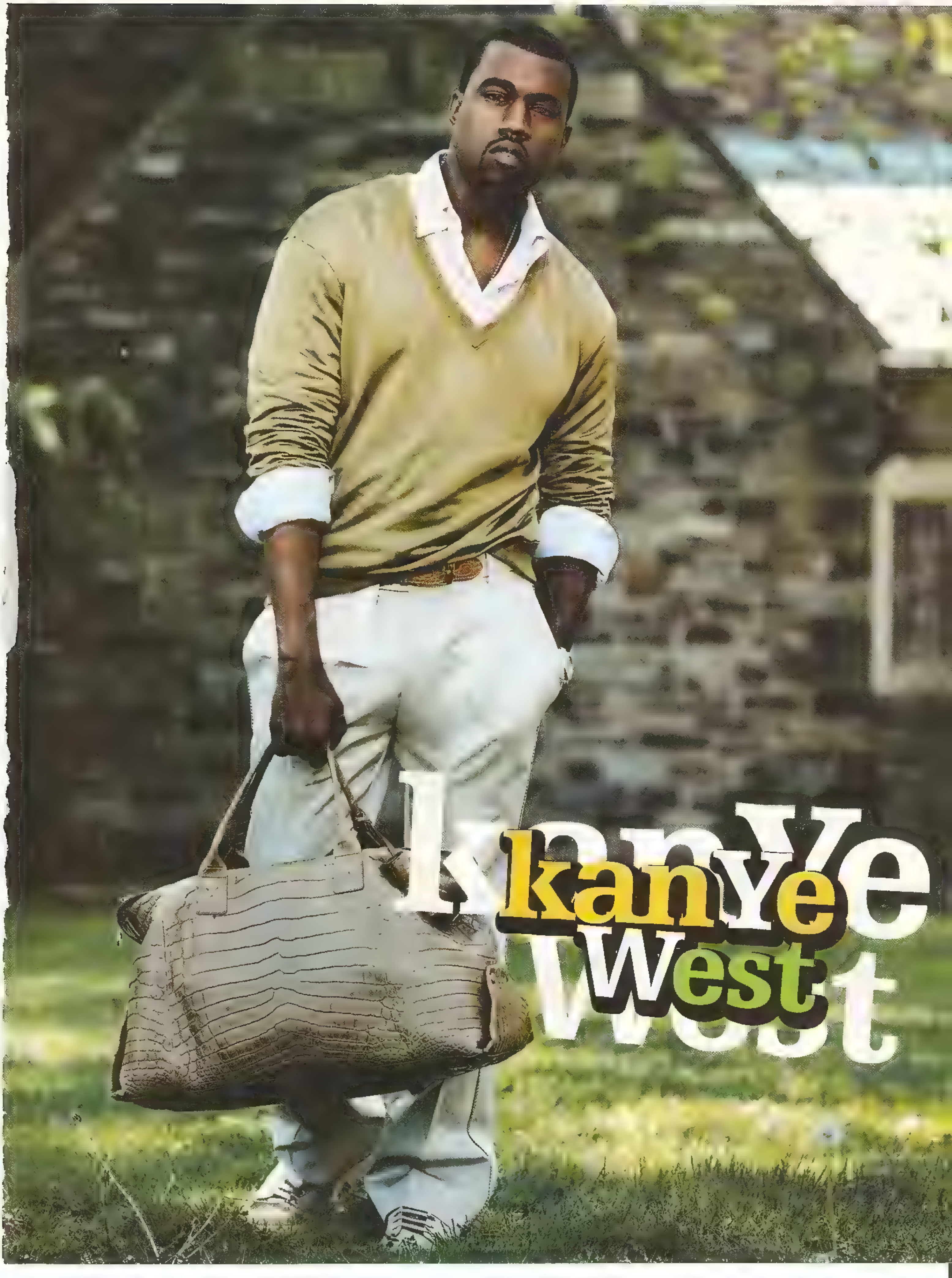

kanYe
West

toy story
czyli o bezczelności słów kilka...

Nie wiem czy taka sytuacja ma miejsce tylko w Polsce szczerze mówiąc w to wątpię ale mogę mówić o tym zjawisku na przykładach obserwowanych w naszym pięknym kraju. Mówię o masowe, bez czelności skaterów młodego pokolenia i ich lekceważeniu podstawowych zasad współdziałania między ludzkiego. Pamiętam, że gdy ja byłem małoletnim skejtem panowały trochę inne zasady. Jeździło się wtedy na osiedlach w wielkich kilkunastoosobowych ekipach. Wspólnie budowaliśmy przeszkody do jazdy, imprezowaliśmy i uczyliśmy się nowych trików. Wiadomo było, że w Centrum (pod Cap to lem Witosem czy KC) jeździli wtedy najlepsi skaterzy w Warszawie. Chodziły wtedy legendy, że skate rzy, którzy jeżdżą w Śródmieściu, prezentują niebywały poziom i żeby pojeździć z nimi, trzeba też coś potrafić. Do dziś pamiętam nasze pierwsze wspólne wypady z osiedla na miejscówki w Centrum, jak później je przezywaliśmy. Okazało się, że ludzie tam jeżdżący nie są takimi strasznymi wymiataczami, a zwyczajnymi typami z krwi i kości. Ważne jest to, że w czasie tych naszych wędrówek z osiedla do kra iny „wielkiej deskorolki" w centrum Warszawy chcieliśmy nie tylko pojeździć z najlepszymi, ale także poznać zwyczaje, zasady rządzące deskorolką. W każdym środowisku istnieje jakiś savoir vivre i żeby nie wyjść na skończonych wieśniaków, gamoni, chłonęliśmy te zasady.

Wiadomo, że w deskorolce „z zasady nie ma zasad", wszelkie ograniczenia są po to żeby je ła mać, ale niestety powstało kilka niepisanych reguł po to, aby wspólnie dobrze się bawić i cieszyć de skorolką. Poza tym deskorolkowcy, tak jak inni ludzie, nie są półmózgimi troglodytami (jak wiadomo, wyjątki potwierdzają tylko regułę) i powinni przestrzegać zasad dobrego wychowania. Nie będę przy taczał wszystkich regułek, bo nie o to chodzi. Ważne jest, żeby uświadomić sobie, młody skejcie, że przyjeżdżając pierwszy albo nawet setny raz na miejscówkę, nie jesteś tam najważniejszą osobą. Ba nie jesteś nawet drugą czy trzecią w kolejności, tylko jedną z kilkudziesięciu jednostek, które powin ny uważać, żeby nie przeszkadzać innym. Niestety, nawet w skateboardingu trzeba myśleć. Jeżeli nie lubisz korzystać z szarych komórek, młody człowieku, to niestety nie jest to zajęcie dla ciebie.

Ostatnio zauważyłem wśród młodych całkowitą zmianę w stosunku do tego, co działo się gdy to ja byłem w ich wieku. Teraz pierwsze kroki na desce stawia się nie na osiedlowych spo tach, tylko od razu na głównych miejscówkach czy skateparkach w Warszawie. Oczywiście, nie mam w związku z tym żadnych pretensji, bo wiadomo, że kiedy dzieciaki mogą podpatrywać star szych i lepszych, szybciej się uczą. Natomiast przeraża mnie całkowity brak szacunku wobec jaz dy innych. Drogi początkujący skejciku, jeśli stawiasz swoje pierwsze kroki na desce, nie jeździj w centralnym punkcie spotu, tylko znajdź sobie ustronne miejsce z boku, gdzie do woli będziesz mógł się oddać ćwiczeniu podstawowych trików. Spróbujcie popatrzeć jak wygląda ruch na miej scówce i dostosuj się do niego. Nikt nie będzie zwracał uwagi na to, że nie umiesz jeździć, nie będzie musiał omijać cię szerokim łukiem. O kolizję jest wtedy bardzo łatwo. Najważniejsze to umieć dostosować się do innych. Moi drodzy młodzi skejci, rozglądajcie się, czy przypadkiem nie zajeżdżacie komuś setny raz drogi!!!

Jest jednak inna rzecz (choć podobna), która wzburza mnie do żywego. Byłem ostatnio na zawodach Cortoz 5 Stars, na których udział był całkowicie darmowy. Organizatorzy, chcąc być w porządku wobec biednieszych deskorolkowców, nie pobierali opłat startowych. Cóż to spowodowało? Ano to, że prawie połowa startujących nie umiała jeździć. Bezczelne dzieciaki nie musząc płacić, zapisywały się masowo nie licząc się z tym, że ich pożal się boże wyczyny trzeba będzie później oglądać i – co najgorsze – oceniać. Nie wiem, co mieli oni zamiast mózgu, ale na wiele im się to nie przyda, no chyba jedynie, żeby dodać dwa do dwóch. Moi drodzy, zawody są po to, żeby startowali tam ludzie umiejący jeździć, bo tylko takich chce oglądać publiczność. W zawodach też są reguły, jeżeli ich nie spełniasz, nie pchaj się tam, tylko po ćwicz jeszcze przez rok, skoro największym marzeniem jest dla ciebie udział w zawodach.

Pod żadnym pozorem nie jest to tekst celujący w młodych skejtów, chciałbym tylko zwrócić wa szą uwagę na rzeczy, których być może nie dostrzegacie. Skateboarding to nie tylko fajne ciuchy i tri ki, ale także kultura, a tej często Wam brakuje.

tOi Oi

trick miesiąca
Kilian Heuberger / sw. pop shove it
foto: Gabor Nagy

ENDORFINA

Uwaga dziewczyny! Na rynek wchodzi nowa marka stworzona z myślą specjalnie o Was. ENDORFINA - Seksowne ubrania dla osobniczek zażywających życie w mocno zwiększonej dawce. Kolekcja jesień/zima 2005 ma mocno sportowo-miejski charakter. Znajdziecie w niej: jeansy, dresy, t-shirty, bluzy i inne dodatki. Spodnie (na zdjęciu) uszyte są z naprawdę wysokiej jakości tkaniny, stylowo obrandowane ale przede wszystkim mają świetny krój. Charakteryzują się modnymi, luźnymi nogawkami, a na tyłku leżą jak ulał.

buty MASS

MASS kontynuuje swoją politykę wypuszczania co rok nowego modelu butów. Wydaje się to słusznym posunięciem, tym bardziej, że kolejny produkt z tej serii, podoba nam sie jeszcze bardziej niż zeszłoroczny. Buty na cały sezon jesienno-zimowy, w klasycznej, ale lekko usportowionej formie. Tym razem MASS postawił na żywszą kolorystkę i do wyboru mamy trzy kolory nubuku: żółty, granatowy i bordowy oraz bardzo ciekawą wersję wykonaną ze skóry licowej w kolorze białym. Takich hip hopowych butów na rynku jest bardzo mało, więc na pewno ten produkt przyciągnie waszą uwagę, a także wszystkich naokoło, jeśli zdecydujecie się na ich zakup, tym bardziej, że cena będzie sporo niższa niz przed rokiem!

Spodnie STOPROCENT

Rzuć gras, odstaw alkohol, daj sobie spokój z dziwkami (na jeden weekend) i zasuwaj do sklepu po nowe, konkretnie przesadzone spodnie od Stoprocent. Okrutny lans i tyle.

RBK DJ

Reebok wprowadza na rynek drugą edycję butów RBK DJ. Zaprojektowane zostały dla wszystkich kochających i tworzących muzykę. Dlatego model RBK DJ wspiera Mistrzostwa Polski Dj'ów, organizowane są pod patronatem najwazniejszej, organizacji DJ'ów, INTERNATIONAL TURNTABLIST FEDERATION.

FLINTESENCJA
24 pytania

Czy Mezo słysząc od Kukiza w Opolu, że musi dawać koperty, by leciały jego kawałki, bądź wchodząc na scenę w Sopocie po tym, jak prowadzący zdążył już pokrzyczeć sobie „eo, eo”, „jol, jol”, gdzie jest „ziom”, nie czuje się jak pajacyk festiwalowe popychadło odzierane z godności na oczach wszystkich tych, którzy pamiętają mu jednak ciekawe nielegale w czasach, gdy duża część sceny usiłowała dowieść, że „policja” rymuje się do „kurwa”?

Czy po występowaniu w „Hitach na czasie”, gdzie przewijały się rarytasy pokroju R m n Project, Stachursky'ego i Jeden Osiem L i po podklepaniu popsenek Borowskiemu stracił szansę, by ktokolwiek z otwartych, a wyczulonych na tanie chwyty młodych ludzi kupił jego nową płytę, która ma być podobno w klimacie rapu lat 80.?

Czy taka płyta w ogóle powstanie?

Czy aby Borowski chcąc być tak spoko na czasie nie wbił sobie przypadkiem gwoździa do trumny?

Czy rzeczywiście każdy ma swoją cenę?

Czy Mes wykorzystując wywiad dla CGM-u, by pojechać Mezo za sprzedanie (no dobra, oddanie) kawałka „Ważne”, jak również podkreślenia solidarnościowej przeszłości swoich rodziców, wspominania czasów, o których nie ma bladego pojęcia i przylepiania innym etykietek na zasadzie stereotypowego myślenia nie zachował się jak rasowy polityk wyciągnięty z tego bagna pełnego demagogii, nienormalnych komisji śledczych, szukania haków i pretekstów do wylania swojej frustracji?

Czy może Mes myślał o założeniu swojej własnej partii – np. jednoosobowej partii przyjaciół Arkadiusza D.?

Czy nie jest tak, że w obliczu wywiadu Latkowskiego dla Playboya, w którym ten zarzucił Pei rzeczy dużego kalibru, przy okazji potwornie go szkalując dla własnej satysfakcji, ktoś powinien odpowiedzieć przed sądem?

Czy miałby być to Peja czy Latkowski?

Czy jeżeli w „Głuchej nocy” użyto przyspieszonego refrenu z kawałka Stana Borysa, artysty w pokoleniu moich rodziców bardzo znanego, a w dodatku kawałek ten obecny jest na dostępnej dosłownie wszędzie płycie „Złota kolekcja”, to wypowiedź prezesa EMI „To dla nas totalny szok. Natychmiast wstrzymaliśmy sprzedaż płyty Na legalu” nie obnaża zupełnej niekompetencji i ignoranctwa jednego z naszych wydawnictw?

Czy bardziej sprytny jest Stan Borys, który chce wyszarpać po fakcie parę złotych na starość, czy Arkadiusz D., który mówi: „Z każdym artystą podpisuję umowę, w której informuję, że za wszelkie roszczenia osób trzecich odpowiada artysta”?

Czy jeżeli na koncercie usprawiedliwiasz się, dlaczego sięgnąłeś po beaty tego i tego producenta, nazywasz frajerem jedną z legend sceny, kolenemu zaś zasłużonemu zawodnikowi zarzucasz w internecie to, że cię okrada, młodego recenzenta określasz za to mianem „dziwki”, to jest to normalne?

Czy ktokolwiek ruszy tyłek, żeby sprawdzić, o kogo mu chodzi?

Czy może jakiś niepełnosprawny umysłowo założy temat na forum, by to rozgryźć, a zaraz potem w swojej nieuleczalnej, zawistnej głupocie zacznie wpisywać dowcipy o Hemp Gru?

Czy jeżeli w telewizji muzycznej z natury rzeczy mierzonej w małolatów krąży twój singiel namawiający do palenia trawy, wreszcie pokazujący na jednym planie trawę i dzieciaki, właśnie to jest to w porządku?

A jeśli nie, to kogo winić: zespół za pomysł czy telewizję za bezproblemowe rozpropagowanie go?

Czy skoro doczepiamy się do McDonald'sa za cyniczne wykorzystywanie dzieciaków w spotach, by lepiej do nich trafiać, to możemy wybaczać to artyście, który zrobił to najpewniej nieświadomie?

Czy kiedy wolność słowa i swoboda wypowiedzi zaczyna mieć granicę, to przestaje tracić swój charakter i de facto być wolnością?

Czy jeśli ktoś sprzedaje towar twojemu dziecku, to „dilowanie rąk nie brudzi”?

Czy to, że nie możesz się obyć bez palenia (chlania itp.) świadczy o tym, że po prostu nie jesteś w stanie poradzić sobie ze światem bez stosowania wspomagaczy?

Czy da się nie stosować wspomagaczy, skoro wielki biust, mały talent, przeszłość w branży porno i wyposzczony chyba bardzo Robert Janson robiący Ci muzykę pozwala myśleć, że robisz r'n'b?

Czy, skoro już jesteśmy przy artystach związanych z Varius Manx, Red bijący dziennikarza nie kojarzy wam się z atakiem krwiożerczej paczuszki misiów żelków i nie pachnie to kpiną?

Czy przegapiliśmy moment, w którym hip hop zaanektowało sobie dresiarstwo, a starsi słuchacze, szalejący przy Wu tangu i 3H ostatecznie się do niego zniechęcili?

Czy to upadło aż tak nisko?

Na to musicie odpowiedzieć sobie sami. Trudne pytania są lepsze niż proste odpowiedzi.

FLINTSTONE

GLOBALNE KOWALSTWO
23 odpowiedzi

cóż to za pytanie, które pozostaje bez odpowiedzi? no, prawdopodobnie takie, które miało pozostać bez odpowiedzi, ale ja, ponieważ jestem stary i złośliwy, zepsuję Flintowi koncepcję i odpowiem na jego 23 pytania

01. uff, szyku tego pytania nie powstydziłaby się Maria Dąbrowska i ja tak ładnie odpowiedzi nie ułożę, więc może w kolejności takiej, w jakiej ja to widzę: nielegale Meza to nagrania z pewnością legendarne, może mniej, niż Dratewka jarający się owcą w reklamie prepaidów, ale za to w mniejszym nakładzie. ile można wracać do tego, że ktoś coś kiedyś zrobił w jakiś sposób, skoro nie pamięta już o tym nawet autor?! Mezo robi to, co robi, musi zarabiać na rodzinę, choć ożenił się bogato, ale na pewno jest ambitny i nie liczy na wiano małżonki, więc za cenę wzruszających refrenów może dać się trochę popchnąć w lewą bądź prawą stronę sceny (no, w lewą raczej). a o Kukizie nie wspominam, gdyż szkoda farby drukarskiej. natomiast Drogi Marcinie, takie są wymogi szołbiznesu, więc niech Ci nie będzie przykro

02. występowanie w takich właśnie programach jest szansą na to, żeby po ewentualnie dobry produkt sięgnął ktoś, kto przed obejrzeniem telezapisu z wielomilionową oglądalnością nawet nie miał pojęcia, że istnieje ktoś taki jak Mezo. jest to element szołbizu, do którego, jak już ustaliliśmy, Mezo należy, a przynajmniej należeć by chciał. co zaś do przekazywania piosenek politykom, to iluż to polskich artystów od dziesięcioleci robiło wszystko, by stać się pieszczoszkami władzy. tu co prawda istnieje małe prawdopodobieństwo, że marszałek Borowski będzie w najbliższym czasie sprawował jakąkolwiek władzę poza tą w swojej marionetkowej partii, ale może akurat nie było dostępu do Tuska bądź Tusk nie lubi hip hopolo

03. powstanie płyty z rapem w klimacie lat 80. w wytwórni UMC będzie wydarzeniem na miarę wynalezienia radia, a więc mało prawdopodobnym, gdyż radio już wynaleziono, i to dwa razy

04. od momentu lansowania przez Borowskiego utworu „Ważne” jego pozycja w sondażach przedwyborczych nie zmieniła się ani o jotę, czyli jest to absolutnie bez znaczenia

05. tak, każdy ma swoją cenę

06. Mes zachował się jak idiota, ale każdy ma prawo zachowywać się jak idiota, używając do tego o wiele bardziej wymyślnych środków, niż solidarnościowa przeszłość rodziców, a szukanie haków, przypinanie łatek, obrabianie dupy etc. ma w naszym kraju tradycję dłuższą, niż komisje śledcze, politycy czy nawet chrześcijańska Polska, bo już nawet legendarny Popiel stosował niekonwencjonalne metody wywierania nacisku i urabiania opinii publicznej. oczywiście nie życzę Mesowi, ani nawet członkom komisji śledczej, końca podobnego do popielowego

07. tu Marcinie piszesz zapewne do planów wydania solowego albumu przez Mesa w stajni T1. Mes w szołbizie nie robi od wczoraj i jeżeli przekonują go warunki oferowane przez Arkadiusza D., a niczego nie nauczyła klapa znakomitego debiutu duetu Flexxip, to wydaje mi się, że się czepiasz

08./09. tu odpowiem pytaniem: a czy Latkowski potrafi inaczej? co zaś do sądownego załatwiania takich spraw, to jakoś w polskim klimacie tego nie widzę

10. obnaża, ale o niekompetencji i ignorancji ludzi wydających polskie płyty wiemy już od dawna, więc to po prostu kolejna ciekawostka, choć faktycznie, szybciej namierzono mało znany w Europie amerykański Live od 18L, niż znanego w części Europy pomiędzy Odrą a Bugiem Stana Borysa

11. wątpię, by Stan Borys nie miał dostępu do radia i telewizji z polską muzyką rozrywkową (a na takich kanałach latała do utraty tchu „Głucha noc”), więc to on wygrywa. Arkadiusz D. bowiem robi to, co robi bardzo wielu cwanych wydawców, a skoro artyści to podpisują, przedtem czytając, to jak to spryt?

12. mnie się to nie podoba, ale trwając w polskim hip hopie od jego początku, widziałem mocniejsze rzeczy

13. tyłka nie ruszę, bo jestem leniwy, ale się domyślam

14. każde internetowe forum jest chore, podobnie jak g-g, kazaa, sraaza i inne internetowe gówna zabijające sztukę prawdziwego komunikowania się z ludźmi, a także ułatwiające pospolitą kradzież. żeby było jasne – nie jestem wrogiem sieci, tylko czasami przeraża mnie jak i do czego jest wykorzystywana

15. na pewno nie można winić za to artystów, bo pretensje o przekaz to mogą mieć w Stanach albo na Białorusi, natomiast kierownictwo danej stacji powinno się mocno nad sobą zastanowić. zdaje się zresztą, że już ktoś to zrobił za nich. a narkotyki to najgorsze gówno i nie ma co tego dzielić na twarde czy miękkie

16. współpraca szanujących się artystów z korporacją tego rodzaju sprawia, że ja takich artystów nie szanuję, choć uważam, że każdy ma prawo do rozporządzania swoim wizerunkiem, głosem etc. tak, jak ma na to ochotę. w końcu nie każdy musi mieć rozbudowaną sferę estetyki, również własnej, ale to chyba nie na temat. w każdym razie – na pewnym poziomie trudno jest wybaczyć nieświadomość, zwłaszcza, gdy istnieje choćby potencjalna szansa, że przekaz rozszerzy się poza własne podwórko (na którym również powinno się uważać)

17. wolność jest dla ludzi mądrych. gdyby nie głupota, nie istniałyby żadne granice

18. narkotyki to gówno. resztę można sobie dopowiedzieć samemu

19. a o czym innym? z używkami jest podobnie, jak z wolnością

20. a ja uważam, że Ewa Sonnet rządzi

21. nie wierzę w to, że Red mógłby kogoś uderzyć

22. dresiarstwo zaanektowało sobie hip hop, ludzie we frakach operę, długowłosi metal, a geje nowojorską muzykę klubową z przełomu lat 70. i 80. przecież to idiotyzm. a starsi może po prostu dorośli, zaś ich zajawka kiedyś była subkulturowym wymogiem?

23. przepraszam, a co upadło?

jeżeli komuś zepsułem zabawę, to trudno

KOWALSKI

KAPELUSZ PEŁEN NIEBA

Terry Pratchett
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Trzecia już powieść Pratchetta z cyklu „dziecięcego" Świata Dysku, bezpośrednia kontynuacja poprzedniej, czyli „Wolnych Ciutludzi". Młoda Akwila Dokuczliwa opuszcza rodzinną Kredę, by pobierać nauki u jednej z wiedźm, Panny Libel. W ślad za dziewczyną podążają wierne Fik Mik Figle (niebieskie skrzaty skłonne do bójek, a kołonu jeszcze w większej ilości bójek), przeczuwają bowiem, że Akwili grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. „Kapelusz pełen nieba" to niestety jedna z mniej udanych książek angielskiego humorysty. Niewiele wnosi do opisu Świata Dysku, nawet pojawienie się Babci Weatherwax tego nie zmienia. Oczywiście należy pamiętać, że przeznaczona jest raczej dla młodszych czytelników, niż fanów Rincewinda, komendanta Vimesa, Bibliotekarza i Śmierci. No i Pratchett tak naprawdę nie pisze złych książek. Tym razem jednak zanotować należy zniżkę formy. Mam nadzieję, że chwilową, bowiem pisarz nie ustaje w swojej pracy i niedawno ukazała się (dostępna w oryginale także u nas) kolejna powieść już z „właściwego" cyklu o Świecie Dysku – „Thud!". (jd)

TRAGEDIA W TRZECH AKTACH

Agatha Christie
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Agatha Christie stworzyła na kartach swoich powieści dwójkę najsłynniejszych – obok Sherlocka Holmesa – detektywów w dziejach literatury: Miss Marple i Herkulesa Poirot. I to właśnie ten ostatni jest bohaterem „Tragedii w trzech aktach", choć swoim zwyczajem trzyma się na uboczu, by w finale dać koncertowy popis swoich niebywałych umiejętności analitycznych. A sprawa zaczyna się tragicznie, jednak nie budząc podejrzeń: w trakcie przyjęcia umiera nagle powszechnie szanowany pastor. Gdy wkrótce ginie otruta kolejna osoba z tego samego grona bliskich przyjaciół i znajomych, sławny aktor teatralny Charles Cartwright z pomocą swojego przyjaciela i ukochanej postanawia rozwikłać zagadkę na własną rękę. Jednak dopiero wkroczenie na scenę Herkulesa Poirot popchnie śledztwo na właściwy tor.

Nie jest to z pewnością najlepsza książka w bogatym dorobku Agathy Christie, ale całkiem satysfakcjonująca. Dociekliwi czytelnicy mogą próbować zagadkę rozwiązać wraz z detektywem – tropów jest wystarczająco dużo, by nie czekać na wielki finał. Mniej dociekliwi spędzą po prostu kilka przyjemnych chwil przy lekturze. (jd)

SŁOŃCE NAD BREDĄ

Arturo Perez-Reverte
MUZA

Trzeci tom fenomenalnej sagi historyczno-przygodowej, której bohaterami są kapitan Diego Alatriste i jego podopieczny i przyjaciel Inigo Balboa. W „Słońcu nad Bredą" akcja przenosi się z Madrytu do Niderlandów, gdzie obaj, towarzysze broni, biorą udział w zaciekłych walkach z Flamandami – wspomagającymi ich Anglikami. Wojna – przedstawiana raz jako wielka przygoda, raz jako krwawe piekło – będzie miała nieuchronny wpływ na dalsze życie bohaterów. Perez-Reverte nieraz już dał się poznać jako wytrawny pisarz powieści popularnych, choćby „Klubu Dumas" czy „Cmentarzyska bezimiennych statków". W cyklu o kapitanie Alatriste osiąga jednak maestrię stylizując język powieść na modłę siedemnastowiecznych powieść łotrzykowskich (przy okazji brawa za genialne tłumaczenie Filipa Łobodzińskiego). Doprawdy autor włada tu słowem biegle, nie tylko sam Alatriste i rapierem – opisy są soczyste i barwne, komentarze i dialogi celne, realia oddane wiernie. Nie bez znaczenia jest zapewne fakt, że Perez Reverte był w przeszłości reporterem wojennym, więc wiele go wykonanu opisy nawet zamierzchłych konfliktów są żywe i momentami wstrząsające. Znakomita, wciągająca i porywająca lektura. (jd)

Shuty vs Masłowska. Mocno powiedziane.

Historie prezentowane w głośnym „Zwale" Sławomira Shuty i „Pawiu Królowej" Doroty Masłowskiej są proste. On pisze o kolesiu, który niewolniczą pracę w jednym ze znanych banków odreagowuje szalonym weekendowym chlaniem i ćpaniem. Ona patrzy na zmanierowanie ludzi w Warszawie, szydząc zarówno z buractwa nizin jak i perfidii szołbiznesu. Siłą nie jest tu fabuła, a język, nieraz ocierający się o bełkot, brudny, zeszmacony, poraniony z racji na widzimisię najgłośniejszych młodych autorów, oddający szaleństwo naszych czasów. Dwie płcie, dwa regiony (on jest z Południa, a konkretnie z Huty, Nowej; ona z Wejnerowa) i dwa sposoby na obrzezanie polszczyzny. Fakt, podpatrują rzeczywistość, jednak ich style są wypracowane, przejaskrawione, to eksperyment, artystyczne przetrącenie nudnego, zramolałego języka. Czyżby? A może naprawdę tak mówimy, a co gorsza, tak się zachowujemy?

Shuty

- „Frajer, kurwa, dzwoni już dzisiaj trzeci raz i cały czas to samo. A ciąg się, znajduchu. Ja ci dam przelew. Jak ci przypierdolę, to będziesz miał wylew, nie przelew. No ja pierdolę odbieranie jego telefonu, kutasa jednego"
- „Patrzę na te niezadowolone ryje i naprawdę mnie mdli. W saganie mi się gotuje na sam widok, jak Boga kocham, wezmę stołek i zapierdolę jednem z drugim beze balon, beze plery, beze dupy, beze giczały, beze cebulę, do krwi, do limfy, do utraty tchu"
- „Pierdolę płaszcz. Pierdolę samochód. Pierdolę kino domowe. Ale otoczenie jest odmiennego zdania"
- „Lubimy od czasu do czasu porządnie się napierdolić. Spierdolić i przeczołgać fiakiem po bruku. Eto wsio"
- „Znajdowaliśmy się, niechże kurde zgadnę, w odległości jak eś pół gie od reszty bananowego świata. Czas, ten krzywo dopierdalający sukinsyn, tym razem stanął jak pała".
- „W kiblu jaramy i Edek podaje mi pół papiera (...) Słyszę głosy i widzę włosy. Jestem tak najebany, że już sam o tym nie wiem, że już się czuję trzeźwy jak chuj, że już mi weszło, rozjebało, wbiło i wybiło, wyjebało od palenia kraku dziura w głowie jak wyrwa po buraku, nie wiesz tego, ziemniaku?"
- „Jesteś zrobiony? – spytałem. – No – powiedział – jak chuj z powyłamywanymi nogami."
- „Popatrz, kupiłem kurwa żonie badyle kurwa, ładne? Nie wydupcy mnie kurwa z domu? A chuj, dam je, buraka, sprzedam je, pyte kurwa, posadzę ją na kurwa desce"
- „Zawsze te mendy pierdolone tam, gdzie ich nie potrzeba. Zawsze te psy gotowe aportować, ale nie po tę kość, co trzeba (...) Zapłać tylko podatek, a będą sadzić cię w tyłek tym ich gumowym przedłużaczem kutasa. Wysmyrają cię paralizatorem po jądrach. Takie prawem umocowane pieszczoty. Na usługach nienansycone, hydry Trzeciej, tfu, Kurwy Rzeczypospolitej"
- „Istnieje domniemanie, że cracovia jude gang śpi spokojnie i śni im się, że zajebali wszystkich politycznych przeciwników. Tym lepiej dla nas! Bezpłodnych i zbrazowanych mutantów"
- „Patrzysz nieprzytomnie na poprzedni wieczór i z wciąż suchymi, sklejonymi ustami zaczynasz uświadamiać sobie, że margines konsekwencji zażywania ekstatycznych patentów na przeciążenia jest kurewsko szeroki. Zbyt kurewsko szeroki"

Masłowska

- „To nie jest literatura, to jakiś kurwa bełkot, ta laska ma nakurwione we łbie, niech do pochwy sobie głowę wepchnie i na to nadepnie"
- „W tekście użyte zostały słowa skurwiel, jebać, chujoza i chuj, wulgarne mutacje określenia czynność seksualnych, wyrazu penis. Ta dosadność i wulgarność ma na celu do lektury zachęcenie osób, które nigdy by po tę lekturę inaczej nie sięgnęły, osób nieinteligentnych jak również nieletnich, wycieczek szkolnych, a także osób niepiśmiennych. Ma to je rozweselić, ma to być bardzo śmieszne"
- „To jest piosenka o miłości, nie o chwdp i baunsujących laskach w strojach kąpielowych z cipą a bez głowy EC Siekierki i EC Kawęczyn (...)"
- „Dziś chcesz mi tylko jak pierwszej lepszej pizdzie bure, wkładać, (...) w gry głupie rąbank. Dalo dwa całymi dniami grać potwory głupie nieinteligentne zab jać"
- „Z trzecioligową poetką się związał – w Rasterze kafe late pijał – gospodarna była i laskę robić lubiła, wszystkie dziury w majtkach mu zaszyła, wszystkich dziur mu używała, a każdy jego wróg chciał ją wydymać"
- „Wcale nie okazuje się taka, jak pisali ładna i popularna, i w ogóle sztucznie wykreowana wydmuszka medialna ściera kurwa, dziwka kurwa i szmata"
- „Jak myśl sz, że to jest ważne na jakiej to było ulicy, Czerskiej, Perskiej, czy Woronicza, Gówniane. Zasranej czy rondo Odbytnica, i w jakiej to było dzielnicy, wysypisko Radowo czy lotnisko Bemowo. Żoliborz Praga, czy Falenica to cię stary szkoda myl sz dwa różne słowa bo skurwysyństwo to nie blok, czy kamienica, to twoja głowa w której czai się słoma (...) Śpij mnie myśl nic chłopcze zobacz twój kutas już drzemie w spodniach księżyc też zasnął z rękami na kołdrze"

Marcin Flint

„Kiedy … na przerwę
przegrywasz … możesz
Musisz … siebie.”
— Jerzy Dudek
i am what i am
Rbk

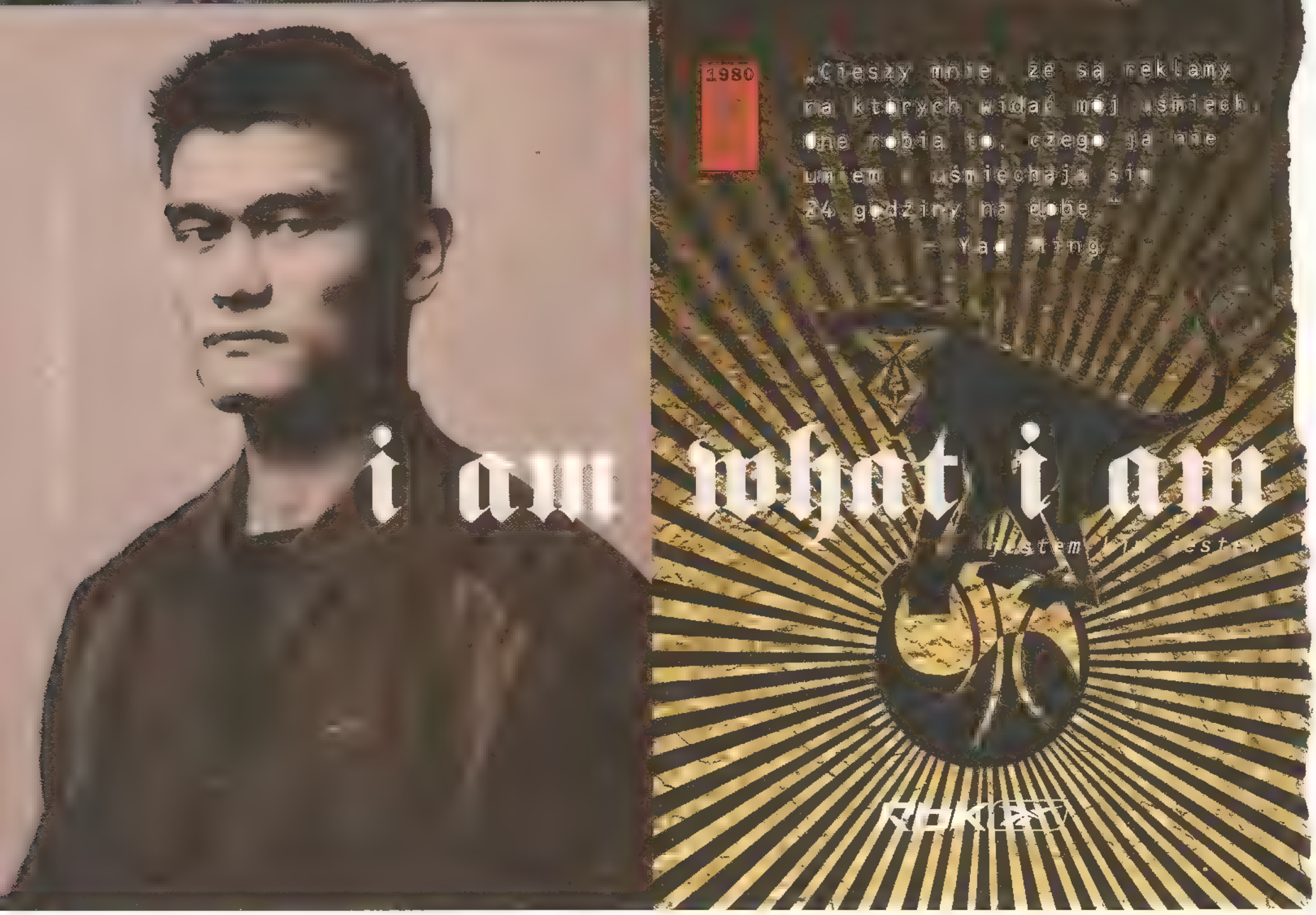
1980
„Cieszy mnie, że są reklamy
na których widać mój uśmiech.
One robią to, czego ja nie
24 godziny na dobę.”
i am what i am
Rbk

„Dypl…
Marcy Projects"
i am what i am
jestem kim jestem
Rbk

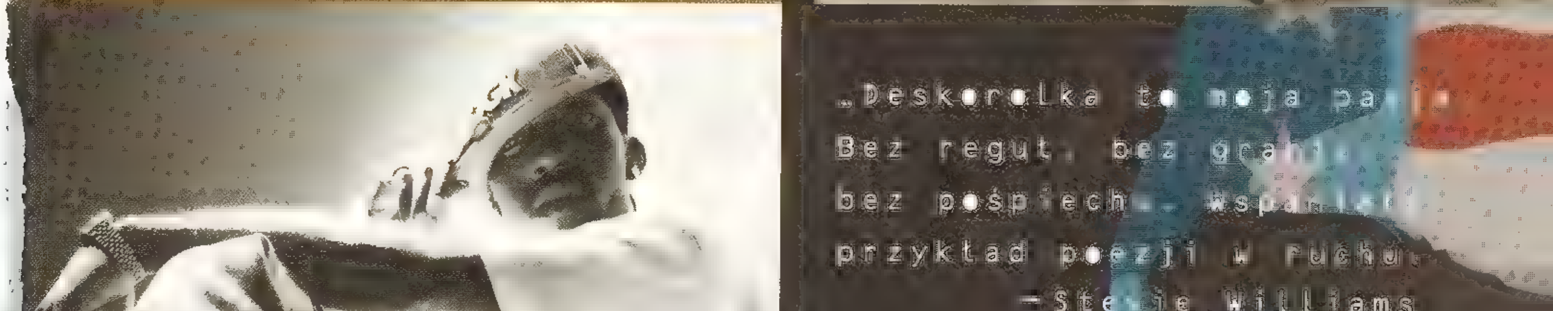
„Deskorolka to moja pa…
Bez reguł, bez gra…
bez pośpiech…
przykład poezji w ruchu.
– Stevie Williams
i am what i am
Rbk
www.rbk.com.pl

Frank Lucas / mccircle

Scotty Cranmer / frontflip

UK bike show

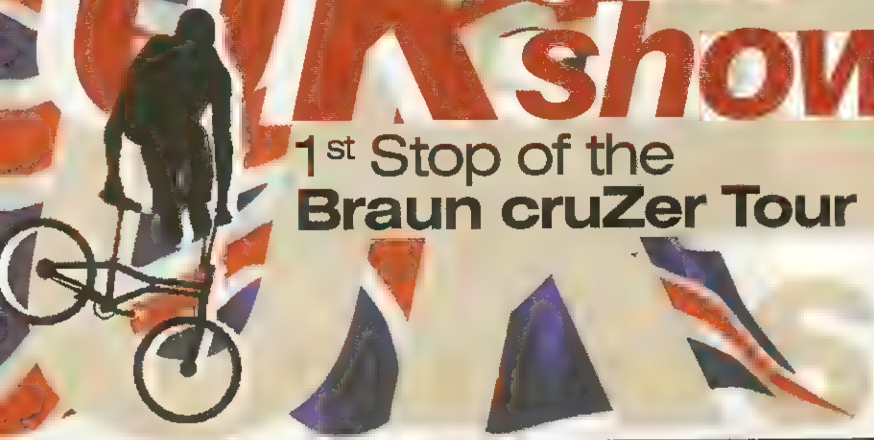

1st Stop of the Braun cruZer Tour

Odbywające się w angielskim Stoneleigh zawody UK Bike Show, otwierające cykl Braun Cruzer Tour, zgromadziły najlepszych riderów z całej Europy, Ameryki Północnej i Australii oraz tłumy publiczności. Organizacja i poziom imprezy mogą przyprawić nas tylko o ataki zazdrości. Na zawody stojące na takim poziomie przyjdzie nam w Polsce jeszcze długo, długo poczekać...

tekst Biker
foto AlexSchelbert.de

W ciągu jednego dnia odbyły się trzy różne zawody. Flatland contest zdominował hiszpański rider Viki Gomez, wyprzedzając między innymi Francuza Alexa Jumelina (czwartego w ubiegłorocznych Mistrzostwach Świata BMX) i trzykrotnego tryumfatora X-Games Fina Martiego Kuoppę. „Ogromnie się cieszę ze zwycięstwa" – mówił po zawodach Gomez. „Dużo ostatnio trenowałem i wydaje się, że ta ciężka praca przynosi efekty. No i jestem pierwszym liderem pierwszego w historii rankingu flatlandowego i mam nadzieję, że obronię tę pozycję w następnych konkursach."

Spine contest był chyba najciekawszym wydarzeniem dnia. 39 riderów z 11 krajów rywalizowało na największej ruchomej mini-rampie (powierzchnia 250 m²), która okazała się nie lada wyzwa-

Chris Maddy / superman

no hand tobbogan

Ryan Nyquist / no hand backflip

niem nawet dla najlepszych. Na emocjonujących zawodach triki sypały się jeden po drugim. Trzecie miejsce zajął Brytyjczyk Alistair Whitton, drugie – Amerykanin Ryan Nyquist. Pierwsze miejsce przypadło w udziale Australijczykowi Ryanowi Guettlerowi, który zadziwił tłum serią perfekcyjnych trików. Flip whip, 540, spine 720 i kilka innych, wykonanych czysto i stylowo, zapewniło Ryanowi zwycięstwo. „Na tej rampie czuję się po prostu komfortowo. Zrobiłem, co chciałem, a miałem siły i czas, żeby wykonać jeszcze kilka trików".

Drugi na rampie Nyquist nie zawiódł swoich fanów w streecie. Pokonał przeszkody bez problemów, choć sam pomniejszał rozmiar swojego sukcesu: „Skoro dali mi pierwsze miejsce, to chętnie je przyjmę. Ale było tu dziś wielu lepszych zawodników niż ja". Drugi w streecie był rodak Nyquista, Scotty Cranmer, trzeci ponownie Anglik Whitton. Zwycięzca z rampy, Guettler, był szósty.

Wyjątkowo udany UK Bike Show był pierwszym przystankiem Braun Cruzer Tour i pierwszą możliwością zdobycia punktów rankingowych. Kolejne zawody odbywały się m.in. w Pradze, Kolonii i Rzymie, zaś ostatnie zaplanowane są na 22–25 września w Amsterdamie.

Viki Gomez / mid switch

UK bike show

Alistair Whitton / tailwhip

...ward / tailwhip

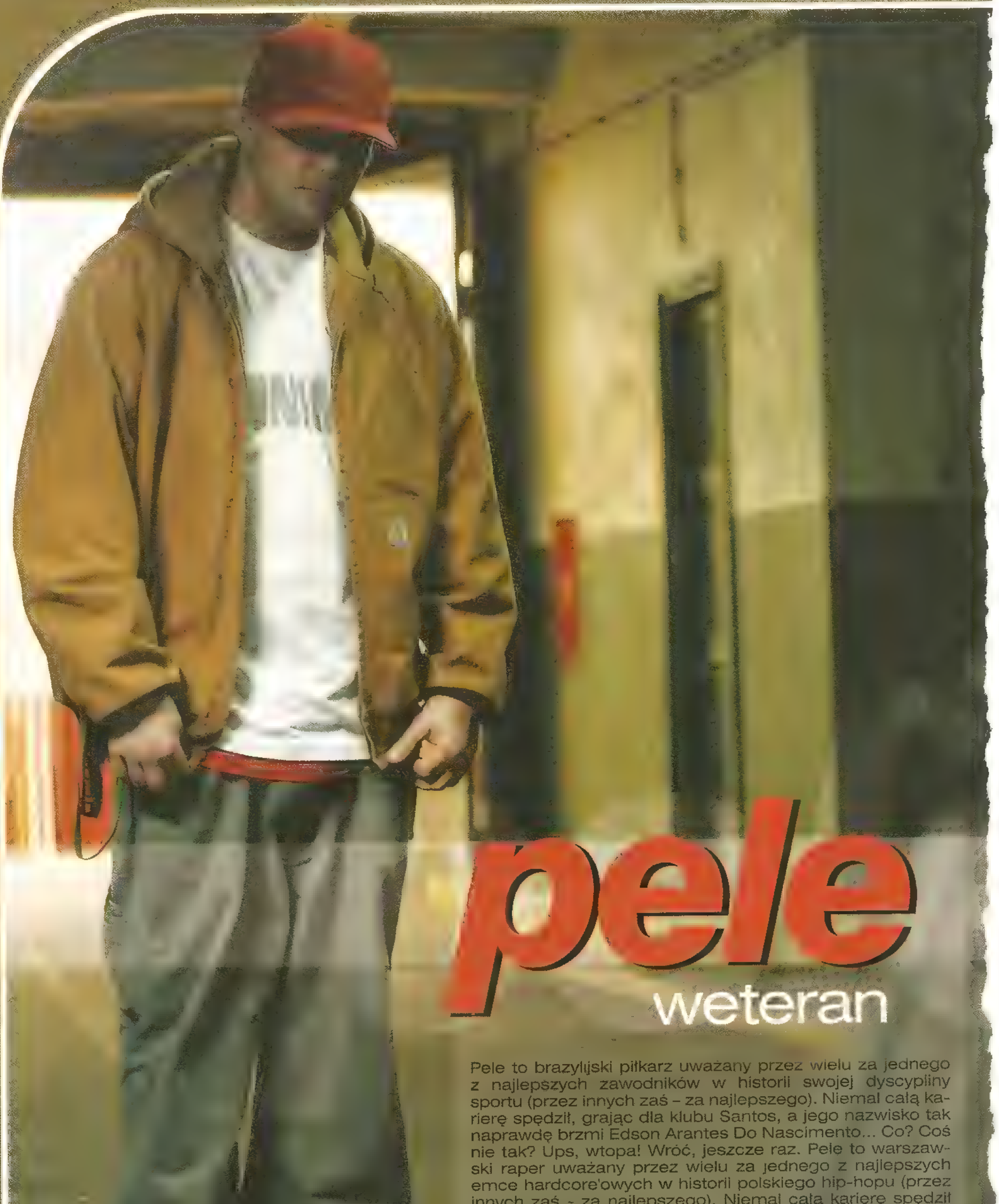

pele

weteran

Pele to brazylijski piłkarz uważany przez wielu za jednego z najlepszych zawodników w historii swojej dyscypliny sportu (przez innych zaś – za najlepszego). Niemal całą karierę spędził, grając dla klubu Santos, a jego nazwisko tak naprawdę brzmi Edson Arantes Do Nascimento... Co? Coś nie tak? Ups, wtopa! Wróć, jeszcze raz. Pele to warszawski raper uważany przez wielu za jednego z najlepszych emce hardcore'owych w historii polskiego hip-hopu (przez innych zaś - za najlepszego). Niemal całą karierę spędził rymując w składzie Molesta/Ewenement oraz w duecie z Vieniem, a jego nazwisko tak naprawdę brzmi... Nie, no bez przesady. Po prostu przeczytajcie wywiad z raperem, który szykuje się do wydania swojego pierwszego materiału solowego.

rozmawiał tOiOi
foto Wojtek Antonów/WZRR

Z której z płyt, przy których pracowałeś, byłeś najbardziej zadowolony?

Jeśli chodzi o sprzedaż płyty, to najbardziej jestem zadowolony z „Autentyk” mimo że uważam ją za najsłabszą z całej trylogii. Natomiast jeśli chodzi o brzmienie i poziom rapowania, uważam, że „Autentyk 3” jest najlepszy. Cała płyta jest nagrana z bandem na żywo, bardzo dużo muzyków brało udział przy jej tworzeniu. Wcześniej zupełnie inaczej wyglądała praca nad płytą. Np. kradliśmy stopę z jakiegoś kawałka, dokładaliśmy werbel i już był gotowy bit, teraz musieliśmy zrobić bit, a później perkusista przekładał to na swoje vibe, dokładając przy tym swoje patenciki. Natomiast jak słuchałem znajomych, to najbardziej podobała im się druga część. Ja generalnie zawsze jestem zadowolony z każdej płyty, jeżeli ona tylko ujrzy światło dzienne. Wiesz, pracujemy nad płytą około roku, nie wiemy jak zostanie ona przyjęta, gdy już ją widzę w sklepie na półce albo gdy dostaję ją w kartoniku od firmy fonograficznej, to jestem bardzo zadowolony. Widzę wtedy cały produkt razem z wkładką, zdjęciami i pracą grafika. Zawsze mam z tego ogromną satysfakcję.

Dlaczego uważasz, że pierwszy „Autentyk” jest najsłabszy?

Była to pierwsza płyta po zamrożeniu Molesty. Trochę za szybko ją wydaliśmy, ja myślałem wtedy o swojej, solowej płycie, Vienio równolegle robił swoje kawałki. W pewnym momencie doszliśmy do wniosku, że możemy ten materiał wydać razem pod szyldem Vienio i Pele. Kiedy już później słuchałem całej płyty, wydawało mi się, że kilka kawałków do siebie w ogóle nie pasuje, widać było różnice, płyta nie była spójna. Jestem zdania, że kawałki na płycie powinny być bardzo starannie dopasowane do siebie, żeby album tworzył jedną całość.

Czy zastanawiasz się, czemu najgorsza płyta wg Was sprzedała się w największej liczbie egzemplarzy?

To był zupełnie inny okres niż teraz. Wydaje mi się, że wtedy ludzie doceniali pracę nad płytą, kiedy zespół siedzi rok w studio i ciężko pracuje. To były czasy, gdy ludzie jarali się oryginalnymi wydawnictwami. Pamiętam, jak ja sam, gdy dostawałem jakiś mixtape z Nowego Jorku w potagowanej kasecie, przeżywałem to jak dziecko. Dziś każdy mixtape i każdą inną produkcję można mieć klikając na ośiołka czy emule'a. Nie mam już za wiele na to, żeby posiadać płyty. Jak ktoś usłyszy jakieś fajne nagranie to od razu prosi o linka, żeby sobie to ściągnąć, zamiast sprawdzić, w jakim sklepie to kupić. Dziś już umarła zajawka na kolekcjonowanie albumów. Według mnie, jeśli ktoś lubi dany zespół, to powinien uszanować jego pracę i kupić ich produkt za 30 złotych.

Czy masz jakiś lek na tę sytuację?

Ostatnio patrząc na takie sytuacje, jak fakt, że jeden z najbardziej szanowanych i zasłużonych mc w Polsce, Włodi sprzedaje 3000 płyt, myślę, że powinno się opodatkować w jakimś stopniu internet, żeby część pieniędzy szła dla artystów. Jakaś drobna kwota od abonamentu szłaby na ZAiKS.

Czy zgodziłbyś się, aby ludzie mogli ściągać Twoją płytę za pieniądze, gdyby była taka możliwość?

Jeżeli ktoś ma zajawkę, żeby mieć płytę bez nośnika, okładki, to spoko, nie ma problemu. Ja jednak uważam, że nie ma jak norma na płyta, kiedy czujesz ją w rękach.

Czy swoją przyszłość wiążesz wyłącznie z hip-hopem?

Ludzie kupując nasze płyty dokładają się do naszej emerytury. My mając kontrakt z firmą fonograficzną nie płacimy ZUS-u i jedyną naszą emeryturą są tantiemy i ZAiKS. Może się wydarzyć taka sytuacja, że w wieku 40 lat będę miał na koncie trzydzieści wydanych płyt i pusto w portfelu. Powoli zaczynam myśleć nad czymś innym. Płyty się kiepsko sprzedają, my nie mamy kokosów, jeździmy sobie autobusem do domu, więc zaczynam się zastanawiać nad jakąś działalnością, żeby mieć stałą pensję i ZUS. Muzykę dalej chcę robić, zresztą dalej chciałbym coś robić w tzw. „klimatach”. Może kupię gramofony i zacznę grać jakieś sound systemy po koncertach w klubach, wyglądają marnie. Myślę, że mógłbym przewieźć się jeszcze ze dwa lata na starym fejmie jako DJ Pelson (śmiech). Niestety, trzeba kombinować, cały czas coś robić. Nie mogę sobie odpuścić np. na rok wydawania płyt, bo nie będę miał za co żyć.

Czyli to nie jest tak, że zamieniliście się w fabrykę wydającą płyty, że zabrakło w tym trochę spontaniczności, a jest za to chłodna kalkulacja?

Kalkulacja była w tym zawsze. Ja zaczynam myśleć o nowej płycie już, jak zamknę pracę nad poprzednią. Płyta jest dla ludzi, którzy chcą jej słuchać. My staramy się tak robić, aby słuchali nas ludzie świadomi, żeby wiedzieli, kim jesteśmy i żeby nie było przypadkowych ludzi na koncercie albo żeby grały do waty cukrowej na festynie. Chcemy całe życie grać imprezy biletowane, żeby ludzie wiedzieli, na kogo przychodzą. Można zawsze grać koncert za 10 tys gdzieś na jarmarku, ale to nie jest nasza droga. My chcemy być jak np. Kazik Staszewski. 20 lat na scenie i cały czas ma tłumy na koncertach bo jest dobry, oryginalny i wszyscy go szanują.

Kiedy Molesta stała się bardziej popularna, zaczęliście być zapraszani na rozmaite branżowe imprezy. Czy czujesz się częścią polskiego szołbiznesu?

My, jako Vienio i Pele czy Molesta raczej nie chodziliśmy na branżowe spędy. Raz poszliśmy sobie na Fryderyki, bo byliśmy ciekawi, jak to wygląda naprawdę, poza tym po głównej gali jest zawsze party, gdzie jest darmowa wódka, to bardziej o to nam chodziło, niż żeby poczuć wielki świat czy bratać się z artystami. Co wcale nie znaczy, że ja ich wszystkich nie szanuję. Są takie osoby, które podziwiam, ale płyty polskich wykonawców są sztucznie wylansowanymi produktami za pomocą kilku teledysków. Sprzedają one po tysiąc płyt i nie grają biletowanych imprez, tylko występują na eventach typu miejska impreza. Ludzie nie przychodzą tam, żeby posłuchać konkretnie ich, tylko dlatego, że dzieje się coś w ich okolicy. Dużo jest takich osób, które przez układy i sztuczne lansowanie sms-ami hitów, grają na scenie.

Czy można powiedzieć, że hip-hop zmienił Twoją osobę?

Wiesz, jak zaczynałem, to byłem młodym gniewnym, jak coś nie pasowało to w oko. Więcej myślałem, żeby coś zbroić niż coś zrobić. Dziś żyję tylko hip-hopem, moja świadomość na tyle dojrzała, że nie mogę robić takich rzeczy. Chcę robić muzykę, muszę być więc uczciwy wobec innych ludzi. Nie zawsze tak było, robiłem dużo złych rzeczy, ale ta muzyka mnie „naprawiła” i pokazała dobrą drogę. Teraz chcę zajmować się muzyką, grać koncerty, szanować ludzi i pragnę być szanowany przez nich. Nie chcę robić złych rzeczy, bo robi się to tylko na krótką metę. Muszę myśleć przyszłościowo, myśleć o naszych dzieciach. Tak jak moi rodzice myśleli o mnie, tak ja zaczynam myśleć o swojej przyszłej rodzinie. Co nie znaczy jednak, że mam już żonę i plany na nie wiadomo co. Na razie jestem jeszcze kawalerem i szukam żony spod znaku raka, 28 lat (śmiech). Lubisz romantyczne wieczory, spacery po plaży, wyślij do mnie mail (śmiech).

Twoi koledzy z dzieciństwa nie wyrażali żadnych ciągot w kierunku uprawiania muzyki. Jak to się stało, że jako jedyny z całej ekipy stałeś się raperem?

Zawsze miałem zajawkę na muzykę. Chodziłem na bazarek do budy z kasetami i kupowałem sobie taśmy typu Dezerter, KSU. Muzyka zawsze była w moim życiu obecna. Jeździłem na deskorolce, słuchałem muzy też w filmach skateboardingowych. Skakałem wtedy z siedmiu schodów na Tarchominie w dresie kreszowym i fryzurą na psycho, mam jeszcze zdjęcia z tamtych czasów (śmiech). Koledzy przynosili magnetofony do szkoły, ćwiczyliśmy wtedy układy a la Vanilla Ice, zawsze miałem pociąg do takich rzeczy. Kochałem też być wśród ludzi, nie jestem osobnikiem, który siedzi w domu i za mula. Później pracowałem w budce z kasetami w Śródmieściu i usłyszałem pierwsze polskie kawałki rapowe 3H, Ein Killanerz. Bujałem się wtedy z moim kolegą Wilkiem i on mówi „Dawaj nagrajmy jakiś swój kawałek”. Poszliśmy do Volta, on stwierdził, że jakoś to nam wychodzi i zajaraliśmy się strasznie. A był to kawałek w stylu „Jestem MNF yo man”, taka pierwsza zajawka. I tak zacząłem robić dalej. Pierwszym moim składem był Funky Joint. Skład razem z Wilkiem. Zrobiliśmy dwa numery na podkładach Volta i matka chrzestna polskiego hip-hopu, Bogna Świątkowska, którą serdecznie pozdrawiam, puściła je w eterze. Później zostaliśmy zaproszeni do jej audycji, daliśmy jakiś czerstwy freestyle. Takie były początki.

Kiedyś byłeś bardziej znany jako piłkarz niż jako raper...

Bo tak naprawdę to ja miałem być piłkarzem. Nie śniła mi się kariera estradowca piosenkarza, nie chciałem być Andrzejem Rosiewiczem polskiego hip-hopu, tylko chciałem biegać po boisku z piłką. Nawet ksywkę zawdzięczam footballowi. Grałem zawodowo w kilku klubach, chodziłem na treningi, jeździłem na wyjazdy. Okazało się jednak, że miałem astmę i nie będę mógł grać w pierwszej drużynie Legii, a bo w reprezentacji Polski i zacząłem normalnie pracować. W piłkę gram dalej, tyle że amatorsko. Na osiedlu wychodzę sobie pokopać na boisko szkoły 314 z chłopakami, z którymi chodziłem do podstawówki, np. z Piotrkiem Szaronem i całą bandą osiedlowych piłkarzy. Pozdrawiam wszystkich, z którymi grałem w piłkę jak byłem mały i jak jestem nieco większy gabarytowo (śmiech).

Na płytach z Vieniem daliście się poznać jako eksperymentujący z innymi rodzajami muzyki. Czemu tak jest?

Chcieliśmy zniszczyć stereotyp, że chłopaki z Molesty to tylko hard core, uliczny i nie stać ich na nic więcej, oprócz patenia, o ntow mówienia jaka policja jest zła i zamykania się w minimalistycznych bitach. Chcieliśmy pokazać też, że hip-hop nie ma granic i można go połączyć z jazzem, hard core'em czy reggae. Pragnęliśmy pokazać, że nie wzięliśmy się w muzyce z przypadku.

Nie bałeś się reakcji bardziej ortodoksyjnych odbiorców na fakt zaproszenia na płytę np. Tomka Lipińskiego, weterana sceny punkowej? Te środowiska rzadko się przenikają...

Tomek mając kiedyś grupę Brygada Kryzys walczył w ciężkich czasach komunizmu z systemem. Można powiedzieć, że wychowałem się na ich kawałkach BK. Tilt to są zajebiste oldskulowe czasy. Mnie nie interesuje jak style życia mają punkowcy ani jak się ubierają. Istotne dla mnie jest to, że walczą z systemem tak jak my. W świecie zawładniętym globalizacją i masową konsumpcją musimy się jakoś odnajdywać. Zdaję sobie sprawę, że jest to walka z wiatrakami, ale tak nie przestaniemy. Boso, ale w ostrogach, wiesz, o co chodzi? Dla nas był to zaszczyt, że zgodził się wystąpić na naszej płycie. Niedawno wystąpiliśmy razem z Brygadą w programie „Muzyka łączy pokolenia”. Chcemy pokazać ludziom, że jak ktoś jest szanowany w punk rocku, może też być szanowany w hip-hopie. Chcemy uświadamiać młodych ludzi, że hip-hop nie kończy się na Molescie, WWO, Tede, Ostrym.

Dlaczego dopiero teraz zdecydowałeś się na nagranie solowej płyty „Sens”? Wiem, że miałeś takie plany już kilka lat temu.

Faktycznie, jednak w pewnym momencie pomyślałem sobie, że pierwszą solową płytę wydam sam. Tak naprawdę to nie wiem, czy uda mi się zrealizować ten pomysł, ale będę się bardzo starał. Chciałem też dokończyć na pierw trylogię „Autentyk” razem z Vieniem. Wydając swoją płytę, chciałbym być dojrzały muzycznie, myślę, że teraz już tak jest. Obecnie dużo osób zbyt wcześnie wydaje płyty. Najpierw tacy ludzie powinni więcej słuchać muzyki, powinni czerpać inspirację z dobrych źródeł, a nie z muzyki biesiadnej. Wtedy tracą na tym całe zjawisko. Jest przecież dużo osób w Polsce, które świadomie słuchają muzyki. Taki człowiek jak słyszy, że typ śpiewa weselny refren w hip-hopowym tempie, to nie myśli sobie nic dobrego na temat polskiego hip-hopu. My staramy się robić coś dobrego. Nie wiem, czy nam się to udaje, ale próbujemy robić coś oryginalnego, a obok nas pod tym samym szyldem są ludzie, którzy robią w tym samym tempie, ale z biesiadnym refrenem, kojarzącym się z nieświadomym polskim folklorem typu „wódka śledź i zapierdol szwagra w zęby” czy „dycha do dychy i brzękną kieliszki”. My musimy trwać w swoim stylu, być konsekwentni.

Jakie usłyszymy brzmienia na Twojej płycie?

Przede wszystkim funkowe i west coastowe. Odbiją się na pewno na tym krążku moje fascynacje muzyczne. Słucham niemal że wszystkiego: reggae, hard core'u, funku. Płyta będzie mieszanką tego wszystkiego. Atmosferę podkręcą na pewno zaproszeni goście: Pezet, Wigor, Flexxip, Vienio i najważniejszy chyba gość: Roca z legendarnej grupy La Clique. Muzyką zajął się DJ Seb, oprócz dwóch traków Waca i Mesa.

Powiedz, jak widzisz przyszłość hip-hopu w Polsce?

Jestem o nią bardzo spokojny. W tej chwili jest kryzys, media nie chcą puszczać rapu, bo chcą łapać sponsorów na pieniądze. Wiadomo, że producent np. majonezu chętniej wejdzie w reklamę z Mandaryną niż np. z WWO. Dzięki takim osobom i grupom jak właśnie WWO, Mor W.A., Hemp Gru, Włodi, Ostry, Grammatik, Flexip, Pezet nie ma co się bać o przyszłość. Być może zejdziemy do podziemia i będzie taka sama sytuacja jak za czasów pierwszej Molesty. Będą dwie audycje w radio grające naprawdę dobry hip-hop, a na koncert przyjdzie czterysta osób świadomej publiki. W tej chwili za dużo osób chce zarabiać na tej kulturze. To jest typowa polska mentalność, nie budować prestiżowej i dobrej zajawki na poziomie światowym, tylko wyrwać jak najwięcej pieniędzy, wykorzystać i do widzenia. A ja myślę, że przetrwamy to i za jakieś trzy lata będziemy takim środowiskiem, jakim jest obecnie scena hard core'owa. Nie ma ich w mediach, płyty nie są ogólnie dostępne, a na koncerty zawsze przychodzą wierni fani.

WILQ odcinek pt.: W SZPONACH DESKI
scen. i rys. B. MINKIEWICZ
OPOLE. GODZINA 17.30. WILQ Z ALC-MANEM PATROLUJĄ OKOLICĘ.
MUTANTA TRZEBA ZNALEŹĆ. JAKIEGOŚ. JUŻ OD 4 MIESIĘCY NIE WALCZYŁEM Z ŻADNYM MUTANTEM. A WIESZ JAK JEST Z MUTANTAMI. TROCHĘ IM ODPUŚCISZ I ZARAZ SOBIE COŚ POMYŚLĄ... MUSIMY NAMIERZYĆ... SŁUCHASZ MNIE?
PATRZ JAK TAM CHŁOPAKI JEŻDŻĄ NA DESKOROLCE.
CO TY MI TU POKAZUJESZ? JEŻDŻĄ... I TAKIE COŚ MNIE WŁAŚNIE WKURWIA NAJBARDZIEJ! ZERO INWENCJI. MODNE SĄ DESKOROLKI TO TERAZ KAŻDY BUNTOWNICZY PIESZCZOSZEK MAMUSI BĘDZIE DODUPCAŁ WŁAŚNIE NA DESKOROLCE!!! DAJ MI SPOKÓJ!
MASZ RACJĘ! BARDZO SŁUSZNIE! OTO OKAZJA ŻEBYŚMY JAKO, ŻE TAK POWIEM, SUPERBOHATEROWIE PODALI IM POMOCNĄ DŁOŃ...
JA IM MOGĘ PODAĆ... ALE NP.: RTĘĆ W POMIDORÓWCE. IDZIEMY...
CZEKAJ... EJ, PANOWIE!
TRRK!
TOK! TUK!
JEST POMYSŁ ŻEBY ODMIENIĆ OBLICZE SKATEBOARDINGU! ZAPOCZĄTKOWAĆ REWOLUCJĘ! CHCECIE JEŹDZIĆ? OK! ALE ZRÓBCIE TO Z GŁOWĄ!
?
BO JAK MAWIAŁ TRENER PIECHNICZEK: „GŁOWA TO DWUNASTY ZAWODNIK W DRUŻYNIE."
W 1973, W DETROIT KOLESIE ODCZEPILI OD DESKI KÓŁECZKA I TAK NARODZIŁ SIĘ SNOWBOARD. MOŻE TEŻ BYŚCIE COŚ ODCZEPILI. NP... DESKĘ!... OD KÓŁECZEK.
Po CHWILI
ROBIĘ TRIKA! ROBIĘ TRIKA! WIDZISZ?
YEAH!!! POLICJA SUKS!
WIDZISZ, WILQ? WYRWALIŚMY ICH ZE SZPONÓW DESKI.
SRESKI DUPESKI.
ZNAJDŹ MI LEPIEJ JAKIEGOŚ MUTANTA, CWANIAKU.
SZCZERZE MÓWIĄC TO TRUDNA SPRAWA... A MOŻE BYĆ „PÓŁ-MUTANT"? NP.: GRUBAS W BUTACH DO KOSZYKÓWKI, LUB COŚ TAKIEGO?
KONIEC

JEDNA Z PIĘCIU NAJŚMIESZNIEJSZYCH RZECZY NA ŚWIECIE

Niewiele serii komiksowych w Polsce zrobiło taką furorę wśród fanów, jak „Wilq". Pojawił się nagle i od tej pory nie schodzi ze sceny. Zeszyty z serii pojawiają się regularnie, ku uciesze tysięcy fanów. Za wilqowymi produkcjami stoją bracia Minkiewiczowie: Bartek i Tomasz. Co sądzą o swoim dziele, o fanach i o wielu innych rzeczach, dowiecie się z poniższej rozmowy

rozmawiał Karol Konwerski

Bartku, w jednym z wywiadów powiedziałeś, że nie ma takiego polskiego komiksu, który chciałbyś kupić. Czy dotyczy to także „Wilqa"?

Bartosz Minkiewicz: Przed wydaniem każdego kolejnego odcinka bardzo intensywnie nad nim pracuję i w końcowej fazie przygotowań mam już naprawdę szczerze dosyć tej całej „wilqowej bandy" – nikt by mnie wtedy nie zmusił, żebym to jeszcze kupił w sklepie. Ale na poważnie – gdybym to nie ja był autorem, to na pewno tak. Kupiłbym ten komiks. W „Wilqu" jest idealnie odpowiadające mi poczucie humoru.

Tomasz Minkiewicz: Wszystkie żarty, każdy dowcip musi być przede wszystkim śmieszny dla nas. Nie pracujemy nad kolejnymi odcinkami w ten sposób, że kombinujemy „a może taki żart by tutaj pasował" albo „wstawmy to, tak to się ludziom spodoba". Nie. To musi podobać się nam. Jak moglibyśmy sprzedawać coś, do czego sami nie jesteśmy przekonani?

Jak wygląda Wasza „praca" nad dowcipem?

BM: Najczęściej to wygląda w ten sposób, że mamy albo gotowy abstrakcyjny pomysł na odcinek, albo zaczerpnięty z życia żart słowny, scenkę. Na bazie hasełek czy jakiegoś tekstu budujemy abstrakcyjną fabułę albo do już gotowego pomysłu dokładamy krótkie hasła czy pointy słowne.

Często obaj figurujecie jako autorzy scenariusza. Czy znaczy to, że wspólnie nad nim pracujecie?

BM: On jest wspólny, ale nie pracujemy razem.

TM: Wygląda to tak, że wysyłam własne pomysły do Bartka albo on swoje do mnie. To taka forma korekty. Zmieniamy, poprawiamy jeden po drugim, jeśli trzeba.

Zdarzyło się kiedyś tak, że scenariusz jednego z Was nie podobał się na tyle drugiemu, że wylądował w szufladzie?

TM: No pewnie! W szufladzie Bartka jest mnóstwo moich scenariuszy, które kiedyś mu wysłałem z myślą o „Wilqu", i wszelki słuch o nich zaginął.

BM: Jak już mnie zmusi, żebym zareagował, to mówię mu wtedy, że generalnie jest to śmieszne, tylko „Człowieku, o co w tym chodzi?"

Jak zaczęła się Wasza współpraca z „Produktem"?

BM: Na „Produkt" moją uwagę zwrócił Krzysiek Tkaczyk, bo wydawało nam się (i słusznie nam się wydawało), że jest to pismo mocno inspirowane „Cyrkeln ą" – podobny dowcip, podobny sposób kontestowania środowiska komiksowego.

TM: Podobało nam się, że oto zebrało się paru kolesi, którzy postanowili „coś" wydawać – nie jest to kolejny raz deliberowanie o kondycji polskiego komiksu, tylko wymyślanie i rysowanie komiksów.

BM: Pomyślałem wtedy, że mam kilka komiksów, które trzymam w szufladzie i do tej pory żal mi było prezentować je w pismach, których nie darzę specjalnym szacunkiem. A „Wilq", którego gotowe były dwa odcinki, jak ulał pasował do konwencji pisma. No i wysłałem go do Śledzia, który uczciwie powiedział, że puści pierwszy odcinek, a jak się sprzeda, to weźmie kolejne. No i sprzedało się.

No właśnie, mam takie wrażenie, że dla Was „Wilq" jest przede wszystkim produktem, który chcecie sprzedać. Stąd koszulki, kubeczki itd. A gdzie etos artysty – komiksiarza?

BM: Na hasło „komiks artystyczny" reaguję alergicznie.

TM: Ja też tak reaguję. Dobra, już się włączam do rozmowy. Zróbmy tak: pod częścią wypowiedzi Bartka napiszesz, że to ja mówiłem (śmiech).

BM: Komiksiarz absolutnie nie musi być artystą!

TM: Nie musi!

BM: Ważne, żeby się tylko znał na rzeczach, które robi. W polskim światku komiksowym zawsze wkurwiało mnie to, że dookoła niby sami artyści, a żaden nawet dwóch kresek postawić nie potrafi. Oni byli uduchowieni, nie rysowali, tylko tworzyli. Komiks dla nich jest sztuką, co za wszelką cenę próbowali wszystkim udowodnić. To, co „tworzyli", miało poczwórne dno.

TM: A pierwszego nie miało.

BM: Dla mnie to jest żenujące. Zresztą sam dobrze wiem, jak to wygląda, bo przecież studiowałem na Akademii, nawet przez tydzień chodziłem w berecie.

TM: Nie przyznawaj się nawet.

BM: Ale to był pierwszy rok...

TM: Dzięki Bogu za starszego brata, ja już tak nie musiałem eksperymentować.

A propos ASP, czy podczas studiów przyznawaliście się do rysowania komiksów?

BM: Ja się z tym nie afiszowałem. Raz czy drugi przyznałem się, że rysuję komiksy. Powiedziano mi: „tak, to ciekawe doświadczenie, spożytkować banalną formę do poszukiwań artystycznych". Raczej podchodzono do tego z dużym dystansem. Ja z tych „rad" skorzystałem w ten sposób, że wykorzystywałem w grafice fabułę (zresztą fabuła była dla mnie zawsze ważna).

TM: Na moim wydziale (form przemysłowych – przyp. red.) komiks jako taki przeszedłby bez problemu. Ale na dziwnej zasadzie. Bo jeśli udowodniłbym, że mogę to sprzedać, wykładowcy nie mieliby żadnych oporów przed udzieleniem mi „pozwolenia" na rysowanie komiksów.

BM: Pamiętam, jak kiedyś z Krzyśkiem Tkaczykiem pokazaliśmy jednemu z naszych profesorów „Arkham Asylum" Dave'a McKeana. On obejrzał ten album i skwitował to jednym zdaniem: „Mój syn też zbiera Donaldy". Wtedy nam zależało na nobilitacji komiksu. Staraliśmy się odnaleźć w nim to, co robiliśmy na studiach. Moje komiksy z tamtego okresu bazowały bardziej na grafice niż na tekście. Jak mówiłem, fabuła była ważna, ale nie do tego stopnia. Próbowałem po prostu połączyć dwie rzeczy: grafikę, tę akademicką, z komiksem. Teraz wiem, że tak się nie da i obie te rzeczy w naturalny sposób się rozłączyły. Forma komiksu nie ma być „odbiciem duszy autora" czy manifestem, co się w danej chwili myśli o np. Bogu. Forma graficzna ma służyć nadrzędnemu celowi, jakim jest opowiadanie historii.

Jak do tego, co mówisz, mają się Twoje prace zamieszczone w galerii „Produktu"? Wydaje się, że chcesz powiedzieć: „Słuchajcie, Wilq jest prymitywny, bo taki ma być, ale ja potrafię lepiej".

BM: Trochę też... ale nie to było nadrzędnym celem. Jak mówiłem, rysowanie serii jest męczące i czasami mam cholerną ochotę zrobić coś nowego. Jasne, mógłbym stanąć przed sztalugami i namalować jakiś pejzaż, abstrakcję lub robota walczącego z dinozaurem, tylko po co? Jeżeli pobawię się inną konwencją, spróbuję w nią wrzucić wilqowy świat, to tak naprawdę w jakiś sposób ten świat rozbudowuję.

Patrząc na dwa ostatnie numery „Wilqa" trudno nie zauważyć, że ciągle graficznie coś się zmienia. Czy jest to spowodowane krytyką twoich rysunków?

BM: Wiesz, to przede wszystkim wynika z walki z nudą. Po prostu ta forma, a raczej zmiana tej formy, jej ewolucja jest dość trudna. A taka zabawa naprawdę przynosi wiele satysfakcji. Na przykład postacie w „Wilqu" dużo ze sobą rozmawiają, wyzwaniem dla mnie było to, aby pokazać je za każdym razem w inny sposób, tak żeby nie nudzić czytelnika (no i samego siebie). Poza tym, scenariusze Tomka stawały się z biegiem czasu coraz bardziej kompleksowe, rozbudowane i te proste elementy, które wykorzystywaliśmy wcześniej, nijak nie pasowały do nowych historii.

Zastanawia mnie jedna rzecz. Mimo sukcesu „Wilqa" nie korzystacie z uroków popularności, odmawiacie pozowania do zdjęć, nie pokazujecie się na imprezach komiksowych. Dlaczego?

BM: Promowanie własnej gęby nie ma dla nas sensu, my nie chcemy się narzucać. To Wilqa (i resztę chłopaków z komiksu), a nie nas mają rozpoznawać czytelnicy.

TM: W ten sposób promują się ci, którzy nic nie robią. Jak pracujesz nad czymś, to nie masz czasu na „pokazywanie się", „bywanie na spotkaniach".

Oprócz Wilqa, każdy album to nowy odcinek „Wyprawy na ciemną stronę słońca", opowieści z zupełnie innym dowcipem, innym sposobie narracji. Skąd pomysł na to, żeby zamieścić obok Wilqa także i tę historię?

BM: To bardzo proste. Mnie „Wyprawa" bardzo się podoba. To jest komiks, który ubarwia całość albumu. Tomek wchodzi w coś, co bliskie jest op-artowi, a klimat bajki, baśniowość tej serii sprawia, że kończąc czytać album nie mamy poczucia przesytu jednego rodzaju humorem.

TM: „Wyprawę" robię poniekąd dla siebie. To taki wentyl bezpieczeństwa, odskocznia od wilqowego humoru. Dzięki niej mogę wykorzystać np. pomysły, które do „Wilqa" nie pasują.

O „Wilqu" jest głośno, to fakt. Jaki jest Wasz stosunek do krytyki?

BM: Różnie to bywa. Nie ma takich krytyków komiksowych, na których recenzję czekalibyśmy. W wielu tekstach zdarzają się celne uwagi, ale często spotkać można tak piramidalne bzdury (w dodatku wygłaszane z mentorskim zacięciem), że wręcz odrzucają mnie. Warto byłoby sobie zawracać tym głowę, gdyby krytyk był dla mnie równorzędnym partnerem w dyskusji na temat komiksu, a tak nie jest (szczególnie jest mowa o krytykach internetowych). Jarek Obważanek, na przykład, wypisuje w swoich tekstach takie androny na temat rysunku (nie mówię już o stylu z podstawówki, jakim się posługuje), że jego recenzje mają dla mnie wartość kabaretową, a ostatecznie nie o to chyba w tym wszystkim chodzi. On robi świetny serwis internetowy poświęcony komiksowi, ale za pisanie to niech się nie bierze. Bardziej niż oceny „krytyków" liczą się dla mnie opinie zwykłych czytelników, które dostaję np. na maila. Też zresztą bez przesady, ale wiem, że są szczere. Wiem, że autor nie udaje profesjonalisty, mówi mi po prostu, co myśli. A najważniejszą dla nas „recenzją" zawsze będzie fakt, czy ktoś się przejdzie do sklepu i kupi kolejną część „Wilqa", czy nie.

TM: I na takie „recenzje" (pozytywne) czekamy.

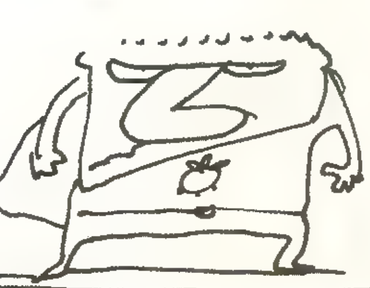

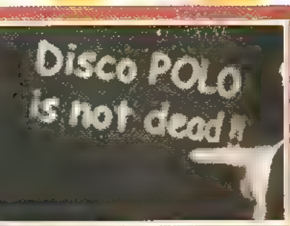

kraina kiczu

czy polska muzyka opiera się na obciachu?

Co jest największym obciachem ostatnich lat w polskim popie? Wbrew pozorom, odpowiedź na to pytanie wcale nie jest taka prosta. Za nami dwa konkurencyjne festiwale w Sopocie. Przez telewizje – nie tylko te muzyczne – przewija się cała masa muzyki, stojącej na, delikatnie mówiąc, niezbyt wysokim poziomie. Jeszcze w pamięci mamy ostatnie występy Polskich Reprezentantów na festiwalach Eurowizji. W redakcji Ślizgu urządziliśmy więc sobie małą debatę na temat mizerii i chały w polskiej muzyce rozrywkowej. Świadomie ominęliśmy hip-hop – obciach w tym gatunku piętnowaliśmy kilka miesięcy temu. Skupiliśmy się na mainstreamie, z którym nie jest najlepiej. A może nawet całkiem źle. Swoje światłe i odważne myśli wygłaszali Kowal, Flintstone, Grabiszczy, Calak i Kubanos. A ponieważ nasza rozmowa skręcała często w zupełnie nieoczekiwanych kierunkach, wyciągnięcie ostatecznych wniosków pozostawiamy Wam. I zapraszamy jednocześnie do udziału w dyskusji na naszym forum internetowym

SHOWBUSINESS

Kowal: Jaki jest, waszym zdaniem, największy obciach w polskiej muzyce rozrywkowej?

Kuba: Spory wybór. Ich Troje. Głównie dlatego, że to największy sukces ostatnich lat. Jeżeli coś tak na maksa kiczowatego robi taką karierę, to jest dla mnie siłą rzeczy kwintesencją kiczu.

Flint: Ale to zostało po prostu tak wypromowane. Sam Wiśniewski przyznaje, że za bardzo nie umie śpiewać. To tryumf wykreowanego wizerunku nad czymkolwiek fajnym artystycznie.

Calak: A czy ruszamy w jakiś sposób disco polo? Bo tego nikt nie promował, disco polo samo się przez cały czas promowało. Bayer Full miał dziesięć milionów nabywców. To jest dopiero sztuka, bo jeśli się pokazuje japę w telewizji z taką regularnością jak Wiśniewski, to to musi chwycić.

Kuba: Musi, a bo nie musi. Zobacz, jak bardzo telewizja promowała zespół Leszcze, który pewnie jest jeszcze bardziej obciachowy niż Michał Wiśniewski, ale kariery nie robią.

Kowal: A czy my w ogóle jesteśmy w stanie zdefiniować, co to jest obciach?

Grabiszczy: No właśnie. To, co dla nas jest obciachem, nie jest nim dla dziesięciu milionów ludzi. To odczucie subiektywne.

Flint: Pewne rzeczy są obiektywne, np. to, jak ktoś fałszuje albo kaleczy język polski.

Kowal: To są błędy techniczne, ale czy obciach?

Calak: Obciachem są wtedy, jeśli ktoś mimo tych błędów próbuje robić coś wyższego.

Flint: I jeżeli to staje się normą, jeśli chodzi o gust muzyczny całego kraju.

Kuba: Myślę, że obciach nie ma obiektywnej definicji. Jednak jeśli mam trzymać się swojej wersji, to Wiśniewski jest obciachowy na wszystkich polach, ze swoimi pochodniami, przypinanymi skrzydłami, występami dla Samoobrony i bezczelnym tłumaczeniem, że nie popiera Leppera, on mu tylko za to płacą. Reality show w TVN-ie, promowanie samego siebie poprzez sesję zdjęciową żony dla CKM-u.

Kowal: Ale czy to jest rzeczywiście obciach, czy element showbusinessu?

Calak: Może to showbusiness w pewnym momencie stał się obciachowy.

Flint: To showbusiness bez klasy. Ani show, ani biznes, jak to ktoś ujął.

Kowal: A nie wydaje wam się, że za tym wszystkim stoi jakiś tępy specjalista od PR-u, który po naprawdę dokładnych badaniach polskiego społeczeństwa uznał, że to musi być robione w ten właśnie sposób, a nie inny?

Kuba: Nawet przemyślany obciach pozostaje obciachem.

Calak: Obciachowy nie jest w takim razie ten PR-owiec, bo on doskonale wiedział, co ma robić. Jest w tym zajebistym specjalistą.

Flint: Problem polega na tym, że społeczeństwo uwierzy w to, że jest burackie. Tak jest i z fonografią, i z kinematografią.

Kowal: Padły konkretne nazwy: Ich Troje, Leszcze, disco polo. Co jeszcze?

Calak: Promowanie zespołów za pomocą takich samych hitów. Jak Budce Suflera chwyciło „Takie tango", to potem kolejne przeboje były identyczne. Produkty.

Flint: Reanimacja dinozaurów. Właśnie Budka, Lady Pank.

Calak: I Borysewicz i Kukiz! Projekt-total z wielką myślą przewodnią „Bo tutaj jest, jak jest".

Flint: Tworzenie produktów, takich jak Ewa Sonnet. Rzeczy kompletnie sztuczne, wyreżyserowane, które poniosły klęskę. Nie ma nic smutniejszego niż komercja, która się nie sprzedaje. Do tego zespoły, które pojawiają się znikąd. Nie wiesz, co robiły wcześniej, ale nagle pojawiają się w telewizji, na festiwalach. I potem dochodzi do tego, że przed Ja Rule'em i Sistars występuje Zakopower.

Kowal: Zakopower jedzie na pewnym patencie, sprzedaje się Golec uOrkiestra, sprzedaje się folk rockowy.

Calak: I to mnie właśnie wkurwia. Te wszystkie Golce, Brathanki i tego typu rzeczy. U nas, jak coś chwyci, natychmiast próbuje się robić tego milion klonów.

Kowal: Ale robi się tak samo w Stanach i w Europie Zachodniej. Choćby w hip hopie. Pewnie ze 70 procent tego, co leci w dzień na MTV Base to są castingowcy. Czyli obciach nie jest jedynie polską domeną.

Calak: Oczywiście, że nie.

Flint: Z tym, że w Polsce jest taki problem, że jechanie na jednym patencie kończy się za późno. Nie wiemy, kiedy ciąć ten patent. No i poza tym widać niedofinansowanie. To wszystko jest biedne, odarte z jakiegokolwiek rozmachu.

Kowal: Czy myślicie, że polscy muzycy są w stanie dać z siebie coś nowego? Wiadomo, że w muzyce już nic się nie wymyśli, ale weźmy na przykład takie Velvet Revolver. Zespół niby nagrywa płytę ze standardowym kalifornijskim rockiem, ale to jest świeże, porywające. Czy u nas jest ktoś taki? Kayah nagrywa płyty, które są przedstawiane jako jej autorska muzyka, a grali tak chociażby Brand New Heavies osiem lat temu. Sistars ktoś wypomniał ściąganie od D'Angelo. Właściwie o każdym można coś takiego powiedzieć.

Flint: Są takie zespoły, ale nie da się ich wypromować. Choćby w hip hopie czy w metalu. Wnoszą coś ważnego, ale nie mają żadnej szansy na promocję.

LUDZIE

Kowal: Moim zdaniem jest tak, że ten cały polski obciach to pokłosie wojny i kilkudziesięciu lat komunizmu. Polskie społeczeństwo zostało niemal całkowicie pozbawione inteligencji i po prostu takie się stało. I być może jest tak, że za tym Wiśniewskim nie stoi wcale koleś od PR-u, tylko po prostu ludzie takiego go chcą.

Grabiszczy: Ale zachodnie społeczeństwa konsumpcyjne też są głupie. Amerykanie nie mieli takich trudnych doświadczeń, a są jeszcze większymi debilami.

Kowal: Zgadzam się, ale jednak procentowo poziom mu

zyk ambitnej w stosunku do syfiastej jest w każdym zachodnim kraju większy niż u nas.

Kuba: Ja mam wrażenie, że na Zachodzie z reguły jeśli nawet robi się coś z założenia u tramasowego i z estetycznego punktu widzenia niezbyt wartościowego, to jednak robi się to profesjonalnie. Wystarczy popatrzeć na hollywoodzkie kino, niektóre filmy są wybitnie odmóżdżające, ale zrealizowane świetnie. A u nas og ądasz kino komercyjne i wszystko ci opada.

Calak: Ja Rubik jest kiczowaty, ale możesz tego słuchać bez bólu, bo to jest znakomicie wyprodukowane, czuć te nakłady finansowe.

Kowal: Ponadto gdzies tam na świecie potrafią także wylansować i sprzedać w wielomilionowych nakładach takie rzeczy jak Pink Floyd, The Who czy choćby Rolling Stones. A u nas ambitniejsze rzeczy się nie sprzedają. Czy u nas był kiedykolwiek twórca, który zawładnął masową wyobraźnią? Może Niemen. I nikt poza tym. Dobra, wracamy do tematu. Co z tym kiczem?

Grabiszczy: Na pewno kiczem jest disco polo i to, co się do tej pory dzieje na wiejskich weselach. Ludzie po prostu bawią się przy takiej muzyce. Nie wiem, czy wykorzystywanie tego to obciach. To normalny zabieg komercyjny, jeśli komuś się coś podoba, to trzeba mu to sprzedać.

Kuba: Poza tym jeśli się nakurwisz na weselu, to trudno, żebyś słuchał Krzysztofa Komedy.

Calak: Prawdą jest, że taka muzyka – czy to nazwiemy chodnikową czy disco polo – zawsze było popularne i będzie.

Flint: A jakbyś nie pił, to nie byłbyś w stanie wytrzymać takiej muzyki. Biesiadny charakter twórczości w Polsce wynika przede wszystkim ze stopnia rozpicia społeczeństwa...

Kuba: A e tak jest w każdym kraju. Posłuchaj sobie tego, co śpiewają Szkopy na Oktoberfest. Człowieku, to się zrzygać można. Każdy ma taką działkę muzyki biesiadnej. Disco polo pozostawało niejako poza głównym nurtem promocji, nie było go poza Polsatem i straganiarzami sprzedającymi kasety z polówek. A jednak wszyscy to znali i wszyscy tego słuchali. Dla mnie najgorszym obciachem jest przede wszystkim to, co jest kiczowate, chujowe, a jednak szeroko promowane. Nie obchodzi mnie żaden zespół w rodzaju Amadeo, bo to po prostu kolesie, którzy kupili sobie syntezator i zarobili na tym trochę kasy i do tej pory pewnie grają po weselach.

PIENIĄDZE

Grabiszczy: Moim zdaniem promowanie obciachowej muzyki samo w sobie nie jest obciachem. To jest robienie hajsu.

Calak: Owszem, to robienie hajsu, ale u nas problemem jest to, że promuje się przede wszystkim gówno. Popatrz na listy przebojów w Wielkiej Brytanii. Tam na dziesięć pierwszych miejsc większość utworów broni się muzycznie, to często komercja, ale dobra, pokroju Radiohead.

Flint: U nas pojemność rynku jest na tyle mała, że wypełnia go obciach, a ambitne rzeczy nie mają siły przebić się. I miejsca, gdzie przebić by się mogły. To boli najbardziej.

Kowal: Pamiętajcie, że w Anglii też promowano gówno. Spice Girls, Atomic Kitten.

Calak: Atomic Kitten są fajne, bo ładnie wyglądają.

Kowal: Ale grają chujową muzykę.

Flint: To są jednak przejściowe mody. A u nas te mody trwają i trwają. I cały czas jest Bartek Wrona. Just 5 było popularne przez jakiś czas, zniknęło, a Bartek Wrona nagle wraca z jakąś marną kopią Ricky'ego Martina.

Kowal: A czemu tak się dzieje?

Calak: Wydaje mi się, że ludzie z branży idą na łatwiznę. To próba sprzedania trzy razy tej samej kanapki, chociaż jest już dawno przejedzona i wyrzygana.

Grabiszczy: To pójście po najmniejszej linii oporu. Nie starasz się wypromować czegoś zupełnie nowego, tylko jedziesz na starym, oklepanym patencie, bo to się na pewno sprzeda.

Flint: Radia i telewizje wychowują sobie głupiego odbiorcę i potem na nim żerują.

Kuba: A czy to nie wynika przypadkiem z tego, że u nas po prostu nie ma dobrego mainstreamu? Nikt nie będzie promował ambitnej muzyki niszowej.

Calak: Sistars udało się wypromować. Grają zajebiście wyprodukowaną, profesjonalnie zagraną muzykę. Jak na nasz rynek, przebiły się znakomicie.

Kuba: A e w dalszym ciągu to tylko Sistars.

Flint: Dla showbusinessu określenie „dobry pop" to oksymoron. To wynika z cynizmu wydawców. Jakby dzielili muzykę na dwie kupki: jedna to dobra muzyka, która i tak się nie sprzeda, więc po co się wysilać. Druga to pop, o którym wiedzą, że jest chujowy, ale wydadzą go, sprzeda się, bo odbiorca też jest przecież chujowy.

Calak: Skąd! Na całym świecie szuka się dobrego popu.

Kowal: Seal to jest dobry pop. Robbie Williams to znakomity pop.

Kuba: Elektryczne Gitary, hehe.

KIEPSKIE ŻARTY

Flint: Elektryczne Gitary to dla mnie potwierdzenie tego, że nie trzeba umieć robić dobrej muzyki, żeby się wypromować. Czy Kuba Sienkiewicz umie śpiewać?

Kuba: Nie umie śpiewać, grać, ani napisać dobrych tekstów.

Flint: Bo to jest muzyka oparta na specyficznym poczuciu humoru.

Kowal: Czy śmieszy cię poczucie humoru Sienkiewicza?

Flint: Tak.

Kuba: Chyba Henryka.

Kowal: Bo ty fanem Big Cyca kiedyś byłeś. Czy Big Cyc jest śmieszny?

Kuba: Był. Pierwsza płyta była całkiem udana.

Kowal: Pierwsza była śmieszna. Ale kolejne są już żenujące.

Calak: I to jest to, o czym już mówiliśmy: próba jechania ciągle na tych samych patentach i to podanych o wiele gorzej.

Kuba: Skiba już dawno przekroczył granicę żenady, choćby pisząc felietony do „Wprost".

Flint: Z drugiej strony, jeśli coś może być w naszym mainstreamie świeże, to chyba parodie. „POLOVIRUS" Kur był dla mnie płytą naprawdę oryginalną.

Kowal: Ale to już jest sztuka pastiszu. Pastisz to osobny gatunek muzyczny. Poza tym pamiętaj, że Tymański to genialny muzyk, multiinstrumentalista, Yass to nie była komercja, tylko przekozacka muzyka. Nagrywał też poważniejsze rzeczy, takie jak Poganie. I Kury są zajebiste, bo pastisz udaje się tylko tym najzdolniejszym.

Calak: Tym, którzy sami wiedzą, że robią pastisz.

Kowal: W Polsce to trudne. Najpopularniejszym komikiem u nas jest Daniec, króluje humor z „Posterunku 13".

Flint: ...a bo z „Kiepskich".

(Tu nastąpiła długa dyskusja na temat dowcipu i drugiego dna w „Świecie według Kiepskich", nie należąca jednak do tematu, którym się dziś zajmujemy. Zdania redakcji były podzielone, a debata przybrała na sile. Ostatecznie stosunkiem głosów 3:2 uznano, że „Kiepscy" mają drugie dno, którego przeciętny telewidz Polsatu nigdy nie dostrzeże.)

TO JEST JUŻ KONIEC

Kowal. Czas na podsumowanie. Czy jesteśmy w ogóle w stanie wybrać największe obciachy ostatniego piętnastolecia w polskiej muzyce? Jakiś ranking?

Flint: Funky Filon, Ewa Sonnet, Budka Suflera.

Calak: Dla mnie nie jest obciachem sama Budka Suflera, tylko jej renesans. Wcześniejsze płyty miały w sobie jakąś siłę. To był dobry rock z sensownymi tekstami.

Kuba: Moje „top 3" to Ich Troje... Oprócz tego Ivan & Delfin, Zakopower, Golec Uorkiestra, Brathanki i wiele innych. A najgorsze jest to, że część z tej muzyki robią ludzie, którzy mają naprawdę ogromne możliwości, wykraczające poza to, co produkują.

Grabiszczy: Golec Uorkiestra, Ich Troje, głównie za Wiśniewskiego, który ciągle robi z siebie pajaca. I całość z awiska discopolowego, łącznie z tekstami.

Calak: Muzyka chodnikowa wraz z disco polo, bo to jedno przeszło w drugie. Folki wszelkiego rodzaju, takie golcowe i brathankowe. I Kukiz z Borysewiczem.

Kowal: Kukiz. Wszystko, co robi, ale duet z Borysewiczem na pierwszym miejscu. Golec Uorkiestra numer dwa. Numer trzy to muzyka chodnikowa. Ale nie z powodu jej popularności, ani popularności. Wszędzie jest taka muzyka najniższego gatunku. Jednak do dziś nie potrafię zrozumieć, dlaczego ktoś próbował dorobić do tego ideologię, uczynić z tego – nawet z przymrużeniem oka – jakieś zjawisko społeczne. Swoją drogą nie wszyscy wymienili Ich Troje. Dajemy im szansę? Ja na przykład nie znoszę muzyki tego zespołu, ale podziwiam Wiśniewskiego za jedno. W kraju takim jak Polska, zacofanym, pełnym najgorszego chamstwa, zrobienie kariery, mając różowe włosy i pół kilograma żelastwa na ryju, to jest sztuka.

Flint: Ciekawe, że nikt nie wymienił Stachursky'ego.

Kuba: Bo to disco polo jest.

Flint: Ale disco polo zupgrade'owane do dance'u.

Kuba: Wszystko jedno. Jeśli wyrastasz z disco polo, to na zawsze w nim zostaniesz.

Kowal: Nie wiem, czy to wszystko poszło w dobrym kierunku. Trudno będzie zrobić z tego dobry tekst.

Kuba: Eee tam, ja to po prostu wszystko przepiszę. Łącznie z tym, że powiedziałem, że to przepiszę. I z tym, że to powtórzyłem. Tylko nie wiem, czy nie za mało znaków wyszło. Musimy jeszcze trochę popierdolić takie głupoty.

Amadusz Kraj
bs. tail

Five Stars Cortoz Skateboard Contest

3 września opolski skatepark już po raz kolejny stał się areną zmagań dekorolkowców podczas Cortoz 5 Stars. Co prawda, chodziły słuchy, że impreza w tym roku ma być przeniesiona na katowicką Paderewę, jednak plotki te okazały się niepotwierdzone i tradycyjnie kontest odbył się przy „Okrąglaku”

tekst Pc skate
foto Wojtek Antonów / WZRR

Już na długo przed zawodami w Internecie trwało głosowanie piątki szczęśliwców (tzw. „5 stars”), która przejdzie automatycznie, bez eliminacji, do finału. Po długim głosowaniu, które swoją frekwencją pobiło nawet wybory do gmin i powiatów RP, polski lud wzmocniony o tzw. ekspertów deskorolkowych wybrał następujących kandydatów: Krzyśka Poskrobko, Gutka Szymańskiego, Amadeusza Kraja, Przemka Cymbalskiego i Tomka Goławskiego. Każdy inny skejcik chcący wygrać niemałą nagrodę za pierwsze miejsce, musiał stawać w szranki z pozostałymi najpierw w arcytrudnych eliminacjach, a później w walce na śmierć i życie w finale.

Chętnych na główną nagrodę zjawiło się kilku. Niektórzy z nich byli wyjątkowo bezczelni i nieznający wstydu. Bo jak inaczej nazwać osoby, które dobrze nie umiały się odpychać i próbowały swych sił w zawodach. Ci, którzy się zapisali do startu, mieli do dyspozycji skatepark, który niestety nie był w najlepszej formie. Jeszcze kilka lat temu był to jeden z lepszych skateparków w Polsce, szczególnie, gdy był nowy i wszystko niemalże lśniło. Teraz upływający czas zostawił na nim swoje piętno i tor zamienia się powoli w ruderę. Jednak stan techniczny przeszkód nie wpłynął na szczęście na współczynnik zajarania u skejców, bo cały czas skatepark był wypełniony po brzegi. Mimo że imprez tego typu ostatnio w Polsce nie brakowało, do Opola zjechała się cała śmietanka skateboardingu w Polsce. Na pewno wpływ na to miała główna nagroda, którą była okrągła sumka nie do pogardzenia. Najliczniejszą ekipę stanowili jednak reprezentanci południa Polski.

Krzysiek Poskrobko
360 flip

Początek zawodów opóźnił się niemiłosiernie. Wreszcie niespodziewanie organizator, Adam ze Skate City, obwieścił, że czas rozpocząć kontest. Pierwszą rundą były oczywiście eliminacje. Jak zwykle dłużyły się one strasznie. Ponieważ start dla zawodników niesponsorowanych był darmowy, każdy dzieciak, który mniej lub bardziej trzymał się na desce, chciał w zawodach wystartować. Niestety, mimo że nieumiejących jeździć wystartowało bardzo wielu, do udziału nie zgłosiło się zbyt dużo gości, którzy reprezentują wysoki poziom. Być może było to spowodowane zmęczeniem, ale naprawdę dużo skaterów miało wtedy kiepski dzień.

Nudne eliminacyjne przejazdy co jakiś czas były przeplatane całkiem niezłymi występami opolskich lokali lub przyjezdnych. Bardzo dobrze zaprezentował się pewien małolat z Zielonej Góry Jakub Titaniec, który mimo młodego wieku, wie, do czego służy deska. Za kilka lat na pewno nazwisko to będzie bardzo znane w polskiej deskorolce. Nieźle pokazał się też Łukasz Szuba, który zapamiętany został głównie dzięki charakterystycznym lotom nad funboxem i wyprostowanym bs ... na płaskiej rurce. Swoich fanów w eliminacjach nie zawiódł Kulczyn, który poważnie traktuje starty w zawodach i bardzo dobrze przygotował się do startu w Cortoz 5 Stars, zwłaszcza, że organizatorem imprezy był jego nowy sponsor. Michał, podobnie jak Łukasz, częściej przebywał w powietrzu niż na ziemi, czego wynikiem była wygrana rundy kwalifikacyjnej.

Do finału oprócz szalonej piątki gwiazd weszła najlepsza dziesiątka z eliminacji. Szkoda, że nie zakwalifikowała się do niego pewna dziewczyna, choć na pewno każdy zapamiętał ją najlepiej z pierwszej rundy. Była ona niekoronowaną królową tych zawodów. Po wypiciu kilku drinków albo łyknięciu jakichś specyfików atakowała każdą przeszkodę w skateparku zarówno na desce, jak i bez niej. Biegała po torze, wspinała się na wysokie quatery, zjeżdżała z nich na tyłku i innych częściach ciała, pokazywała naokoło „fucki", aż w końcu ekipa techniczna musiała ją usunąć, gdy po raz kolejny wdarła się do skateparku w czasie czyjegoś przejazdu. Wielkie e o i yo d a n e, za zajebisty spektakl.

Po eliminacjach odbył się koncert wspieranej przez Cortoza grupy hardcore'owej Face of Reality (posiadającej korzenie deskorolkowe), która dała całkiem przyzwoity show. Finał zawodów wynagrodził wszystkie niedogodności z całego dnia. Miał on naprawdę niesamowity klimat, odbył się przy sztucznym oświetleniu. Wyraźnie ożywił się wtedy komentujący te zawody Pan JWG z Senior Składu, który dał z siebie wszystko, aby podkręcić dramaturgię wydarzeń. Przy nim wszyscy sprawozdawcy sportowi mogą się schować głęboko w lesie.

Dla piętnastu finalistów zwycięstwo było na wyciągnięcie rąk. Dlatego robili wszystko, aby nagrody przypadły im w udziale. Szczególnie czterech panów: Gutek, Kraju, Kulczyński i Przemek Cymbalski, pokazało na co ich stać. Gutek zaprezentował swoje standardy, czyli triki na rurkach wykonane bardzo czysto i pewnie. Pierwszy przejazd finałowy Gutka był bardzo dobry. Zrobił w nim m.in. bs nose grind na płaskim rail. Cymbi również nie próżnował, pokazał on bardziej różnorodne triki, bo oprócz ślizgania się próbował lotów. Jego asem w rękawie był zajebisty fs. feeble grind. Amadeusz Kraj, który jeździ w opolskim skateparku codziennie, czuł się w nim jak ryba w wodzie. Widać było, że ma każdą konstrukcję wyczutą na maksa, dlatego jeździł po całym torze, robiąc triki. Wykonał na przykład fs. bluntslide, bs. lipslide czy nollie bigspin heelflip. Zwycięzca eliminacji, Michał Kulczyński, był jednak tego dnia nie do zatrzymania. W swoim przejeździe zrobił wszystko, co chciał: ogromne ollie tail grab przez rurkę, beninanę, pop shove it tailgrab, blunt slide to tylko mała próbka tego, co pokazał Kulczyn. Wszystkie triki wykonywał na pełnym luzie, bez niepotrzebnego spinania się i zasłużenie wygrał te zawody.

Paweł Kopczyński
kick flip fs. board

Tomek Warzecha

PODIUM
FOOTWEAR AND APPAREL

beat box

zagubiony element układanki

Polska scena beatboxowa... Ilu z Was ma świadomość, że ona istnieje, rozwija się, rośnie w siłę, ba, jest nawet na całkiem niezłym poziomie? A może ten zapominany piąty element hip-hopu został przez Was zepchnięty do podświadomości i o jego istnieniu przypominacie sobie włączając stare płyty katowickich zespołów? Mamy nadzieję, że nie. Ów artykuł nie nauczy was robienia beatów i nie będzie zagłębiać się w dostępne w sieci techniczne detale. Ma raczej za zadanie odrobinę przybliżyć Wam rodzimą reprezentację tuż przed drugą edycją największej polskiej bitwy w tej dziedzinie. Zacznijmy jednak od początku....

tekst i foto Wiedźma Cess (CS)

Stara wiara

Tradycja tej zaskakującej formy wokalnego wyrażania siebie jest dość długa. Jedni upatrują jej korzeni w plemiennych śpiewach, inni obwołują praojcami francuskich renesansowych minstreli. Są i tacy, którzy za właściwy początek rozwoju beatboxu uznają schyłek XIX wieku. No cóż, jedno nie ulega wątpliwości: human beatbox, jaki znamy w obecnej formie, mocno związany z brzmieniem hip-hopowym, narodził się w latach 80. ubiegłego wieku w Nowym Jorku, podobnie jak rap czerpie z tradycji bluesowo-jazzowo-funkowo-soulowych. Kiedy w Stanach raperzy nie mogli sobie pozwolić na beat-maszyny, po prostu naśladowali je za pomocą własnych strun głosowych. Ponieważ w Polsce popularyzacja hip-hopu nastąpiła w czasach, kiedy najprostszy komputer nie jest aż takim problemem finansowym, nie pojawił się przymus, by ktoś coś imitował dostępnymi, skromnymi środkami. Pewnie dlatego beatbox, choć był u nas obecny od momentu, w którym wkroczyliśmy w świat „Yo MTV Raps" a następnie kaset Eroya, dopiero teraz przeżywa prawdziwy rozkwit. Pierwsi popularni zawodnicy, którzy zaznaczyli swoją obecność na scenie, to związany ze Śląskim 3 X Klanem Bit Bak i jego uczeń Bit Sot, którego skit oparty na hicie Anny Jantar podbił serca wielu, zwłaszcza jarających fanów Paktofoniki. To jest stare pokolenie, a teraz nadchodzi nowa fala.

Nowa fala

Rok temu pod szyldem WBW odbyła się pierwsza bitwa beatboxowa na niespotykaną dotychczas skalę. Zjawiło się 40 zawodników z całego kraju. Jeden z organizatorów przyznaje, iż był zaskoczony zarówno ilością występujących, jak i ich poziomem. Większość najzdolniejszych młodych zawodników ćwiczy dopiero 3 lata, jednak jest to czas intensywnych treningów i szlifowania umiejętności. Blady Kris, członek Punkt Widzenia Krew, a przede wszystkim aktualny mistrz Polski w beatboksie, doskonali się od około dwóch lat. Początkowo swoje sety opierał na mniej popularnych patentach Killa Kela, jednego z dwóch najlepszych beatboxerów na świecie, a następnie wypracował swój własny styl. Jest bardzo ambitny i nie ukrywa, że gdy rok temu na WBW stawał w szranki z zawodnikami z całej Polski, oczekiwał po nich czegoś więcej: „Większa część eliminacji to była porażka, najlepszy wydał mi się Arczi, zdecydowanie. Poza tym nie widać było kogoś, kto ma wypracowany swój styl." Czołowi zawodnicy przyznają, że to właśnie brak stylu jest największą bolączką początkujących beatboxerów.

Tik Tak to jeden z czołowych animatorów sceny i, choć jak sam świadomie ćwiczy dopiero od 3 lat, to ma na swoim koncie nie tylko sukcesy sceniczne czy organizacyjne, ale jest także autorem artykułów stanowiących podłoże teoretyczne dla początkujących zawodników. Dosyć trzeźwo patrzy na obecną sytuację: „Z jednej strony nie jest tak źle, bo w końcu w naszym kraju dopiero się wszystko rozkręca na dobre – poziom stale rośnie, szybko doganiamy Zachód i Stany. Skillsy naszych beatboxerów są coraz wyższe, zbliżają się do ogólnego wysokiego poziomu, powyżej którego wskakują tylko jednostki w skali światowej. Mam nadzieję, że wkrótce wyróżnikami poszczególnych zawodników będą różne podziały rytmiczne czy unikalny styl, a nie coraz szybsze tempo. Mam dość konkursów w stylu »kto lepiej skseruje Killa Kela« i to jest właśnie druga strona medalu – kryzys oryginalności wywołany tym, że ludzie nie poszukują nowych rozwiązań, tylko ślepo naśladują Killa Kela czy Rahzela, wprowadzając bardzo mało swoich własnych patentów. I co gorsza, tacy ludzie zjednują publiczność, która o dobrym beatboksie ma zazwyczaj takie pojęcie jak o dobrym jazzie albo dobrym hip-hopie – niestety trzeba edukować słuchacza, bo mało kto odwołuje się do korzeni tego wszystkiego."

Zapomnienie i nienawiść

Nie tylko odbiorcy, ale i artyści hip-hopowi, nawet ci, którzy nawołują do powrotu do esencji, dziwnym trafem zapominają o beatboxerach. Owszem, są wyjątki potwierdzające regułę, jak RDW z trójmiejskiej Analogii – popularny mc hip-hopowy i drum'n'bassowy, a także beatboxer słyszany na wielu koncertach czy płycie WWO. Jednak sam artysta jest już zmęczony tą samą dziedziną i kojarzeniem go głównie z nią, a na scenie czuć owczą postawę, która mimo iż ma się do światowych trendów nie powinna mieć u nas miejsca.

Tik Tak, co prawda, zauważył pewne ożywienie: „Coraz częściej na koncertach hh widać beatboxerów nie jako supportujących raperów i dj-ów. Miejmy nadzieję, że ta sztuka zyska uznanie zupełnie oddzielnie, nie jako dodatek do hh freestyle'u. Miejsce beatboxera jest obok perkusji w zespole funkowym, a nie jako 5-minutowa wstawka na rap koncercie." Niestety nasz beatbox cechują złe mechanizmy jakby żywcem przeniesione z rodzimej sceny rapowej. Egocentryzm, syndrom psa ogrodnika, czy internetowego hejtera, znacie to aż za dobrze. Ostatnio większość agresji nakierowana jest (jak to zwykle bywa) na mistrza, w tym wypadku Krisa. On jednak wykazuje zadziwiającą odporność psychiczną: „To naturalne, że wśród uważających siebie za najlepszych i nieznoszących krytyki beatboxerów mogę budzić zawiść. Zaczynałem mając 16 lat i po nauczeniu się podstaw też myślałem, że jestem najlepszy. Mam cudowny dystans do tego wszystkiego, jednak jak wchodzę na najpopularniejsze polskie forum beatboxowe, to jestem zniesmaczony. Odechciewa nam się od tego."

Nubi, JahDeck, Fat Matthew, czyli chłopaki z istniejącego od ponad roku lubelskiego zespołu Al-Fatnujah mówią, że trudno zauważyć jakieś szczególne różnice między sceną rapową i beatboxową: „Polacy to Polacy. Mentalność niestety zostaje ta sama. A tę mentalność niestety cechuje zawiść, zazdrość i ich pokrzywa, dlatego też uważamy, że polska kultura hip-hopowa to niestety jedno wielkie bagno. Sami staramy się to zmieniać i przyczyniać do tego, by propagować pozytywną zajawkę wśród beatboxerów."

Na plus

Całkiem nieźle im wychodzi, bo oprócz wspólnych występów i pracy nad płytą, należą do teamu beatbox p – portalu, a zarazem organizacji mającej na celu zebranie polskich zawodników, oraz do organizacji 2toxic. Dzięki niej wzbudzili zainteresowanie stawiających na oryginalne pomysły artystów z Teatru Akt i trafili do przygotowanego przez nich spektaklu „Ikar". JahDeck wspomina, że ekipa nie do końca wiedziała, czym jest beatbox, ale już po pierwszym spotkaniu stało się jasne, że nawiążemy współpracę." Obecnie zaś „Wszystko się układa świetnie. Łączymy kulturę wysoką z kulturą hip-hopu, sprawdza się bardzo dobrze."

Są też inne rzeczy, których środowisko hip-hopowe mogłoby się nauczyć od przedstawicieli piątego elementu. Na przykład szacunku do tworzących kobiet. Owszem, polski beatbox jest w 99 procentach męskim sportem, ale być najmniej nie z winy panów. Rzadko słyszy się tu głosy, że nie jest to zajęcie dla dziewczyn, wręcz przeciwnie, panowie tacy, jak Tik Tak próbują trochę rozkręcić artystki. Ostatnio w internecie został zorganizowany specjalny konkurs dla beatboxerek, odzew niestety jest póki co znikomy, organizator jednak ma sporo wiary w żeńskie zawodniczki, przyznając, że „choć z głębokim basem jest czasami krucho, dziewczyny wchodzą na wysokości dźwięku często nieosiągalne dla samców." Jak dotąd jedyną dziewczyną, która zaprezentowała swe umiejętności wokalne, a nawet dostała (dla wielu kontrowersyjne) wyróżnienie za najlepszy show podczas WBW 2004, jest Squeak. To dziewczyna pełna pozytywnej zajawki, która w tym męskim towarzystwie czuje się mile wyróżniona, bo, jak mówi, „nie dość, że jestem kobietą, to pasjonuję się tym równie mocno jak oni."

Jesień...

Jesienią scenę beatboxową czeka kilka ważnych imprez. Gdy powstaje ten artykuł, Kris przygotowuje się do mistrzostw świata w Lipsku, a w październiku zamierza obronić tytułu mistrza w drugiej edycji Beatbox WBW i ponownie ma olbrzymie oczekiwania wobec przeciwników: „pomijając sprawę oczywistą, iż dla beatboxera rok ćwiczeń to czas w jakim można niesamowicie się rozwinąć i poznać masę nowych jazd, to będziemy mieli do czynienia z nowym pokoleniem 16-, 17-latków, którzy są niesamowicie napaleni na tytuł mistrza Polski. Poziom będzie zdecydowanie wyższy, mam nadzieję, że nadal trzymam fason." A wszyscy zainteresowani sztuką human beatboxu po cichu lub odrobinę głośniej liczą na to, że będzie coraz lepiej.

B3
CLOTHING Co.
CISZA&SPOKÓJ
©2005 B3. All rights reserved Ad Sewer
B3 s.c. ul. Świtezianki 16 91-496 Łódź TEL.: +48 42 658 08 00, FAX +48 42 659 07 85 INF. HANDL. 0 502 150 727

lost boyz

straceni chłopcy

Można się spierać, czy nazwa zespołu była prorocza (bo i z taką opinią się spotkałem). Freaky Tah, najbardziej charyzmatyczny z jej członków, nie żyje. Zastrzelony 28 marca 1999 roku w dzielnicy Queens, dla której zrobił tak wiele. Spiggy siedzi w więzieniu skazany za napad na bank. Cheeks ma na koncie średnio przyjęte płyty solowe. Zespół podkreślał w wywiadach, że Lost Boyz nie przestaną „nigdy, nigdy, nigdy" nagrywać. „LB to rodzina niezależnie od tego, co się stanie, wciąż tu jesteśmy, ustalamy trendy, trzymamy rzeczy pod kontrolą i robimy gorącą muzykę. Teraz wracamy na ring" zapowiada Cheeks, który ma na koncie średnio przyjęte solówki. W 2005 ukazała się płyta „Forever", miks starych hitów i odgrzebanych rzeczy z nową oprawą opatrzony etykietką „10th Anniversary". Niespodzianką okazały się dwa kawałki na beatach Ericka Sermona z legendarnego EPMD. Tymczasem my przypominamy wam legendę

tekst destructo

Nie będę wam wciskał, że Lost Boyz byli jakoś wybitni dla hip-hopu zasłużeni, bo prawdę mówiąc nie byli kompletni. Rymy o mękach na ulicy, bluntach, imprezach i panienkach nie należą przecież do najoryginalniejszych i nie są bynajmniej tym, za co cenimy rap. I taka muzyka ma jednak rację bytu, tym bardziej, jeśli ludzie, którzy ją tworzą, są utalentowani. Freaky Tah był na pewno. Posiadał jeden z najbardziej przenikliwych i elektryzujących głosów w tym biznesie, cieszył się też zaszczytną opinią najlepszego hypemana. Na koncertach przypominał wulkan podczas erupcji i to głównie od jego predyspozycji zależało, czy występ danego dnia był udany. Dla zespołu był tym, kim Flavor Flav dla Public Enemy – niekoniecznie najbardziej płodny, za to najbardziej charyzmatyczny i przyciągający uwagę. Jeśli zaś Taha porównać do Flava, Mr. Cheeks aż prosi się o to, aby postawić go obok Chucka D. To ta sama duża dyscyplina pracy, co u frontmana PE, bardzo ciekawa barwa głosu i tajny wyluzowany flow. Nie dziwi fakt, jak bardzo udanie rozwija się jego kariera solowa. Pozostała dwójka – Pretty Lou i Spigg Nice – wspomagała zespół w produkcji beatów, pojawiając się od czasu do czasu za mikrofonem. W grupie nie występowało nic takiego jak ścisły podział ról i pensja zależna od rodzaju obowiązków i ilości włożonej w nie pracy. Byli przecież rodziną – poszczególni członkowie Lost Boyz to bracia lub kuzyni. Zdawało się też, że nigdy nie przywiązywali zbytniej wagi do pieniędzy. Mimo że nie należeli do ludzi zbyt znanych i bogatych, prowadzili szeroko zakrojoną działalność charytatywną na rzecz swojego miasta. Zaadoptowali m.in. kilka szkół w Queens i na Brooklynie, zapewniając im środki finansowe na pomoce naukowe i fundując stypendia najzdolniejszym uczniom. To przywiązanie do społeczeństwa było równie widoczne w tekstach kawałków, w większości niezwykle prostych (Cheeks przyznał kiedyś, że sporą część pisze podczas wizyty w ubikacji), ale jednocześnie bardzo szlachetnych. Zaczynały się najczęściej od słów „to dla moich ludzi", mówiły o problemach i podsuwały ich rozwiązania, przestrzegały przed AIDS, przypominały o tym, jak ważna jest edukacja. Ogłada i poprawność polityczna miała tu rzecz jasna swoje granice – hip-hop to hip-hop. Temat bluntów i marihuany pojawiał się właściwie non stop, dało się odczuć niechęć do białych i policji. Lost Boyz jako nieliczni z tego nurtu potrafili wzruszyć. Jednym z niezapomnianych kawałków zespołu był „Renee", w którym Mr. Cheeks opowiadał o kilku pięknych dniach spędzonych z kobietą, która w jakiś czas później została zamordowana. To historia prawdziwa. Renee miała na imię Ebony.

„Official Lost Boyz since the year of 86" – ten cytat z kawałka „Beasts From The East", doskonale oddaje, jak długą i żmudną drogę musiał przejść kwartet od czasu zawiązania do oficjalnego debiutu w 1996 roku. Dekada to bądź co bądź niebagatelna ilość czasu. Wysiłek przełożył się z czasem na rezygnację z la w lin.. prostej na nazwę zespołu – „Odkąd pamiętam, ludzie próbowali nas stłamsić, dlatego uznaliśmy, że „Lost Boyz" to adekwatna nazwa". „Straceni chłopcy" zaczynali w wieku trzynastu i czternastu lat, doskonaląc umiejętności w piwnicy babki i w szkolnej stołówce. Dorastając w specyficznym klimacie dzielnicy Queens, mieli wątpliwą przyjemność przeżyć to, co w tak sugestywny sposób pokazał Spike Lee w „Clockers" i Boaz Yakin we „Fresh". Kilku ich kolegów zginęło od kul, jeszcze inni skończyli w więzieniach z długoletnimi wyrokami, sama czwórka naszych bohaterów parała się drobnymi rozbojami i sprzedażą narkotyków. Jak sami podkreślają, gdyby nie muzyka, zajmowaliby się tym zapewne do dziś. Uwagę firm fonograficznych Lost Boyz zwrócili dopiero w roku 95 po niespodziewanym radiowym sukcesie kawałka „Lifestyles Of The Rich & Shameless". Na fali chwilowej popularności udało im się podpisać kontrakt z Uptown Records (jako pierwsza grupa rapowa) i by świecić triumfy swoim drugim singlem – „Jeeps, Lex Coups, Bimaz And Benz". Niestety problemy z Uptown sprawiły, że album niespodziewanie zniknął z zapowiedzi wytwórni. Wtedy jednak grupa szczyciła się już na tyle dużym rozgłosem, by dojść do porozumienia z Universal Records. Płyta pod tytułem „Legal Drug Money" ukazała się w czerwcu 1996 roku. Zapowiadała powoli nadchodzącą epokę Puff Daddy'ego i tanecznego hip-hopu, pozostając jednocześnie w klimacie takich pozycji jak „Illmatic", „Enter The Wu Tang". Było więc trochę prymitywne socjologii i Channel Zero („Keep It Real"), gangsterskiego braga („1 2 3" – obnażające niebezpieczne przestępcze zajawki Freaky Tana) i kawałków stricte imprezowych („Jeeps, Lex Coups, Bimaz And Benz", „Music Makes Me High").

„And to the hoods / East Coast, West Coast and World Wide / Ain't nuttin wrong with puffin on lai / And if you're with me let me hear you say 'Right'" – krzyczeli w refrenie do swojego największego hitu, nie pozostawiając wątpliwości, że to muzyka dla wszystkich. Marihuana miała tu duże znaczenie, jako czynnik spajający więzi międzyludzkie. Mogli zresztą zdawać się beztroskimi hedonistami lub ludźmi prymitywnymi, mieli jednak na tyle zdrowego rozsądku, by nie mieszać się w wojnę East vs West, wzorem chociażby mieszkających po sąsiedzku Mobb Deep i Capone-N-Noreaga. Skutkiem tego „Legal Drug Money" był wtedy najlepiej sprzedającym się nowojorskim albumem w Los Angeles, uzyskując ostatecznie status złotej płyty. Poszli za ciosem, wydając drugi krążek już rok później. Na podobnym do debiutu „Peace, Love And Nappiness" wystąpił Redman i dwójka młodych, ówcześnie trendowych raperów – Canibus i A+. Grupę docenił reżyser „Rhymes And Reason", filmu dokumentalnego o hip-hopie, w którym wystąpili u boku Wu-Tang Clanu, 2Paca, Notoriousa B.I.G., Dr. Dre, Busta Rhymesa i wielu innych. Zagrali w reklamówce Sprite'a. Zdawało się, że przydomek „straceni" przestał do nich pasować.

W marcu 1999 roku trzeci album był już praktycznie gotowy, zespół nie mógł jednak pozbierać się po egzekucji. Freaky Tah przez kolejne kilka miesięcy. „Kiedy straciliśmy Tana, ciągle powtarzałem, że to już nie ma sensu, że powinniśmy się wycofać" – wyznał Mr. Cheeks. Płyta trafiła ostatecznie do sklepów we wrześniu – album zatytułowany „LB IV Life", zadedykowany Freaky Tahowi. Niestety nie odniósł sukcesu, zbierając słabe noty od recenzentów i równie mało pochlebne opinie słuchaczy. Fakt, że Lost Boyz pozostają w tej samej tematyce i klimacie od czasu debiutu skutecznie zniechęcał do kupna płyty. To zaś jeszcze bardziej zniechęciło zespół do dalszej działalności. Kiedy zaczęło być jasnym, że możemy pożegnać się z nowymi nagraniami grupy, Mr. Cheeks powrócił solowym albumem. „Właściwie nie on – jego nowa ulepszona wersja". Zrozumiał, że aby przetrwać w tym biznesie, musi dostosować się do panujących w nim reguł, odrzucić archaiczny repertuar i postawić na rozwój. Gro tematów poruszanych na płycie tyczy się teraźniejszości, raper świadomie bądź nie odciął się od tego, co było, dedykując jeden jedyny kawałek zmarłemu kuzynowi. Starannie dobrał gości (rękę do nich będzie miał już zawsze), zapraszając Big Gippa z Goodie Mob i Stephena Marley'a (syna legendarnego Boba). Na pierwszy singiel wybrał potencjalny hit i klubowy banger – „Lights, Camera, Action!", o wykonanie którego przed publicznością American Music Awards poprosił go sam P. Diddy. Pojawiły się oczywiście głosy, że Cheeks „sprzedał się", on jednak wybrał sobie niszę, w której ma szansę zadomowić się na długie lata. Mainstream potrzebuje postaci wyrazistych, doświadczenie Cheeksa i lata w branży muzycznej nie pozostają bez znaczenia. Albumem „Back Again" z marca 2003 r. udowodnił, że jest w kim pokładać nadzieję. Krążek kusi do zakupu utworem z M.O.P., wielkim rapowym hitem lata i radbackowym „Crush On You". Z rzeczy bardziej wyrafinowanych mamy tu jednak występ genialnego żeńskiego zespołu Floetry z Wielkiej Brytanii, legendy lat 80-tych Alexandra O'Neala, oraz przeróbkę klasycznego „They Reminisce Over You (T.R.O.Y.)" z Journalistem, Pete Rockiem i C.L. Smoothem na featuringu. Balans jest więc wyważony odpowiednio, suma sumarum „Back Again" to bardzo przyjemna płyta. Kariera solowa Mr. Cheeksa nabiera więc sporego rozpędu, choć raper nie zapomina o macierzystej grupie. „Po śmierci Taha poszliśmy każdy w swoją stronę, dopóki jednak jesteśmy „Lost Boyz", spodziewajcie się nowych produkcji".

Sprawdźcie więc „Forever" i oddajcie szacunek weteranom.

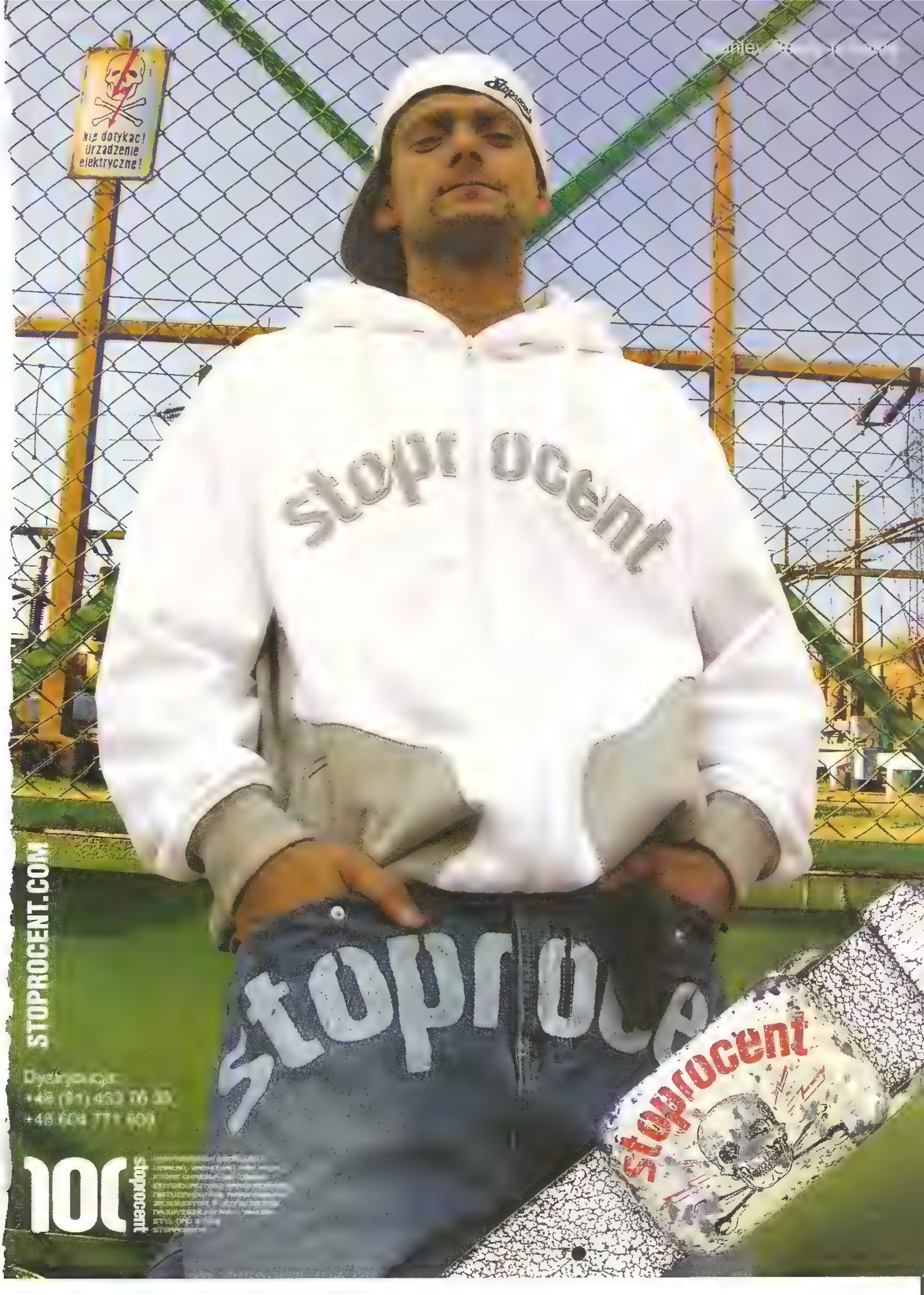

Nie dotykac!
Urzadzenie
elektryczne!
stoprocent
stoprocent
stoprocent
STOPROCENT.COM
100
stoprocent
stoprocent

bmx
milanówek

tekst i foto feliks.szewczyk.info

Milanówek pozornie niczym się nie różni od innych podwarszawskich miejscowości. Śmiało jednak można go nazwać jednym z czołowych ośrodków rowerowych sportów ekstremalnych w Polsce. To tutaj mieszkają jedne z najbardziej rozpoznawalnych postaci bmx i mtb: Nyper, bracia Jamaje oraz reszta składu MWEK TEAM. Prężnie działająca grupa bikerów odpowiedzialna jest za jeden z najlepszych w kraju dirtów odwiedzanych przez riderów z całej Polski oraz za organizację „Mistrzostw Polski Dirt Jump mtBmx". Aktualnie trwają przygotowania do kolejnych zawodów, które będą jedną z atrakcji dni Milanówka. Na razie milanowski dirt jest nieczynny, znajduje się w trakcie całkowitej przebudowy. Organizatorzy zapowiadają we wrześniu imprezę jeszcze lepszą niż ta, która odbyła się tu w ubiegłym roku. Trzymamy za nich kciuki ;-)

W duszne letnie przedpołudnie Milanówek „śpi". Większość mieszkańców wyjechała na wakacje. Atmosfera jest mocno chilloutowa. Słońce ostro przypieka, więc najlepiej byłoby się schować w jakimś miłym, zacienionym miejscu, z czymś zimnym do picia. Mariusz Marchwicki (Mario) i Marcin Żelazny (Zelek) z MWEK TEAM nie marnują jednak czasu. Dla gości, których największą życiową zajawką jest bmx, upał nie stanowi przeszkody do jazdy. Wolny, wakacyjny czas najlepiej wykorzystać na odwiedzenie ulubionych miejscówek.

Podmiejska architektura nie została stworzona z myślą o typowo streetowych akcjach i pewnie z tego powodu popularniejszy jest tutaj dirt. Można jednak potrenować na „dołku" i skleić tam efektowne wallride na siatce lub icepick na ławkach. Po takiej rozgrzewce wystarczy wsiąść do pociągu, żeby w pół godziny znaleźć się w Warszawie i zasmakować „wielkomiejskich" bmx-owych spotów.

Jeśli pojawi się ochota na dirt, wystarczy podjechać od września na nowy dirt na stadionie Milan. Do czasu zawodów można potrenować przy domu Szweda (MWEK TEAM) na prowizorycznej hopie. Po takiej rozgrzewce warto przejechać się do Grodziska Mazowieckiego. W parku są trzy średnie, wielkości hopki ustawione w rytmie. Można na nich w efektowny sposób skleić podstawowe bmx-owe ewolucje. W Milanówku znajdują się również dwa lub trzy prywatne baseny z gąbkami. Jeśli ktoś chciałby spróbować takiej zajawki, musi zagadać z chłopakami z MWEK TEAM.

Jeśli w miejscu, w którym żyjecie i śmigacie na małych rowerkach, istnieje skonsolidowane środowisko bmx i chcecie zaprezentować waszą ekipę i ulubione spoty na łamach, piszcie do nas na adres soultrane@go2.pl

Zelek / turndown360 na hopie

Mario / no foot cancan

To bodaj wobec Korna któryś z zachodnich dziennikarzy, chętnie wymyślających muzyczne etykietki, użył po raz pierwszy sformułowania nu-metal. Określenie szybko się przyjęło, dla jednych stając się synonimem komercyjnego podejścia do ciężkiego grania, dla innych – symbolem świeżości, kreatywności i energii, której od dawna w metalu brakowało. Sam Korn zaś stał się jednym z najpopularniejszych – obok Slipknota, Limp Bizkit i może jeszcze Soulfly i Deftones – najbardziej wpływowych zespołów na scenie nu-metalowej. Niedawno odbył się drugi koncert zespołu w Polsce, wkrótce premiera nowej płyty. Przed Wami Jonathan Davis i spółka. Are you ready?

tekst Kuba Demiańczuk

All In The Family

Muzycy Korna pochodzą z Bakersfield w południowej Kalifornii. Nie byłoby zespołu, gdyby nie małomiasteczkowa nuda i próba ucieczki od typowych rozrywek amerykańskich rednecków: picia na umór i szwędania się po pustawej okolicy. A wszystko zaczęło się zupełnie zwyczajnie: dwóch przyjaciół – basista Reggie „Fieldy" Arvizu i gitarzysta Brian „Head" Welch – postanowiło założyć zespół. Po kilku próbach dołączył do nich drugi gitarzysta James „Munky" Schaffer, perkusista David Silveria i wokalista. Nie, jeszcze nie Davis, a niejaki Richard Morales. Zespół został ochrzczony mianem LAPD i wydał nawet płytę „Who's Laughing Now", zawierającą dawkę szybkiego, ciężkiego hard core'u, bardzo odległego od późniejszych dokonań Korna. LAPD nie wiodło się jednak najlepiej. Chociaż muzycy już dawno wynieśli się z Bakersfield, szukając szczęścia w większych miastach, to jednak z reguły grywali za darmo bądź nawet płacili za możliwość zagrania koncertu. W końcu zespół rozpadł się, zaś Head postanowił wrócić do rodzinnego miasta, gdzie miał zaklepaną robotę na stacji benzynowej. Jednak zapadła i znienawidzona przez młodych metalowców dziura okazała się szczęśliwa. Bo to w Bakersfield Munky i Head (którzy tymczasem założyli kapelę Creep) poznali przyszłego wokalistę Korna, Jonathana Davisa.

Dead Bodies Everywhere

Davis to freak, co do tego nie ma wątpliwości. Jednak to nie dziwak pokroju Marylina Mansona, świadomie budującego wokół siebie atmosferę skandalu, tylko koleś, który sporo przeszedł w życiu, co odbija się wyraźnie w pisanych przez niego tekstach. Podobno był molestowany seksualnie w dzieciństwie przez kogoś z bliskiej rodziny, wtedy jednak nikt mu nie uwierzył. Zresztą rodzice Jonathana w ogóle nie poświęcali mu zbyt wiele uwagi. Rozwiedli się, gdy chłopak miał trzy lata. Ojciec był wówczas muzykiem sesyjnym w zespole country i większość czasu spędzał poza domem (swoją drogą, przez długi czas był zdecydowanie przeciwny muzycznym planom Davisa). Jonathana wychowywała więc macocha, z którą chłopaka nie łączyły raczej przyjazne stosunki. Wystarczy powiedzieć, że po latach zadedykował jej jeden z utworów Korna o wymownym tytule „Kill You".

Davis był zafascynowany muzyką od dzieciństwa. Nauczył się grać na kilku instrumentach, ale najbardziej polubił dudy. Cóż, pewnie odezwała się w nim szkocka krew, a że przy okazji gra na tym instrumencie była na przekór wszystkim, tym lepiej. Do dziś gra na dudach – słychać to na niektórych płytach Korna, a niedowiarkom pozostają koncerty zespołu, podczas których Jonathan często daje popis swoich możliwości instrumentalnych.

Młody Davis przez swój nonkonformizm i dziwaczne pomysły miał mnóstwo problemów w szkole. Nie wszystkim (a może bliższe prawdy byłoby stwierdzenie: nikomu) nie podobało się, że chłopak robi sobie makijaż i czasami nosi damskie ubrania. Dla jego szkolnych kolegów i nauczycieli nie docierało, że nie trzeba być gejem (żeby nie było wątpliwości: Davis nie jest), aby się tak nosić. Dla nich był pedałem i śmieciem. W końcu Jonathan stwierdził, że ma wszystkiego dość i wyjechał z Bakersfield, by zacząć dorosłe życie. I wcale nie chciał być muzykiem.

Zaczął naukę w szkole medycyny sądowej w San Francisco. Wkrótce został asystentem koronera, dorabiając jednocześnie w domu pogrzebowym. Chorobliwa fascynacja śmiercią niewątpliwie wywarła ogromny wpływ na późniejszą twórczość Davisa, ale też doprowadziła go do kresu wytrzymałości psychicznej. Nic dziwnego, sześć lat krojenia trupów i oglądania dziesiątków zmasakrowanych zwłok (do dziś Davis ze zgrozą wspomina ofiary wypadków przywożone do kostnicy) może zrobić człowiekowi niezły bałagan w głowie. W końcu – wbrew swoim planom i przestrogom ojca – Jonathan wrócił do muzyki. Został wokalistą w kapeli SexArt i to właśnie na koncercie tego zespołu Davisa wypatrzyli Munky i Head.

Let's Get This Party Started

Nie trzeba było dużo czasu, żeby panowie się dogadali. Davis dołączył do Munky'ego, Heada, Fieldy'ego i Silveiry i w ten sposób narodził się Korn. Nazwa kapeli to kolejny z pomysłów Jonathana. Miała być głupia i prosta. Pierwsze koncerty nie były zbyt obiecujące, ale mimo wszystko kapelę wypatrzył łowca talentów z wytwórni Epic/Immortal. Korn podpisał kontrakt i szybko nagrał debiutancki krążek, mając do pomocy niezwykle utalentowanego producenta, Rossa Robinsona. I dla zespołu, i dla Robinsona to był krok do wielkiej kariery.

Wydany w 1994 roku debiut, zatytułowany po prostu „Korn", przyniósł wybuchową mieszankę metalu, hard core'u, elementów funku i groove'u. To wpływ rozmaitych zainteresowań muzycznych wszystkich artystów – żaden nie chciał ustąpić ze swoimi pomysłami, więc połączyli je w całość, okraszoną niesamowitym wokalem Davisa, który raz śpiewa czysto, raz niemal histerycznie wrzeszczy, a czasami wydaje z siebie po prostu serie nieartykułowanych dźwięków. Obaj gitarzyści używają siedmiostrunowych instrumentów, co dodaje brzmieniu zespołu mocy, także sekcja rytmiczna – zwłaszcza szarpane brzmienie basu Fieldy'ego – to pracująca perfekcyjnie maszyna. Wśród swoich inspiracji członkowie Korna wymieniają m.in. Faith No More, Mr. Bungle, Johna Zorna, ale i NWA czy Duran Duran. Z takiego połączenia może wyjść tylko coś niezwykłego i wyszło.

Mimo niewielkiej promocji sława Korna rozchodziła się szybko. Zespół grał koncerty m.in. u boku Biohazardu, Sick Of It All, Metalliki, Fear Factory czy nawet House Of Pain i Cypress Hill. Fala „kornomanii" dotarła wkrótce do Europy, gdzie na festiwalowych koncertach zespół był przyjmowany entuzjastycznie. Nic więc dziwnego, że wkrótce Korn powrócił do studia, by nagrać drugą płytę.

It's On!

„Life Is Peachy", które ujrzało światło dzienne w 1996 roku, powstało w zabójczym tempie i spotkało się ze skrajnie odmiennymi opiniami krytyków: od zachwytu po określenia w rodzaju „pierwszorzędny przykład samoponiżania". To jednak nie opinie krytyków obchodzą zespół, a reakcje fanów, którzy Korna nie zawiedli i album zadebiutował od razu na trzecim miejscu listy przebojów „Billboardu" i nie schodził z niej przez wiele tygodni. Płyta przyniosła też pierwszy przebój zespołu – jeden z tych wykrzykiwanych przez fanów na koncertach od początku do końca – „A.D.I.D.A.S.", który nie jest raczej hołdem ulubionej firmie odzieżowej Davisa. Skrót zawarty w tytule rozwija się jako „All Day I Dream About Sex". Być może Jonathan, szczycący się wytatuowanym na lewym ramieniu napisem HIV, może tylko pomarzyć... W każdym razie wraz z rosnącą popularnością przyszła nie tylko większa sprzedaż płyt, ale i pierwsza nominacja do nagrody Grammy (za singiel „No Place To Hide").

Następny album, „Follow The Leader" (1998, gościnny udział Ice Cube'a i Freda Dursta) i trasa Family Values (na jej różnych edycjach grali m.in. Limp Bizkit, Rammstein, Rob Zombie, Redman i DMX) pociągnęły za sobą dalszy wzrost popularności zespołu, a co za tym idzie – zainteresowanie mediów. Nie zawsze pozytywne. Członkowie Korna przestali być anonimowymi muzykami, a ich wypowiedzi i słowa tekstów analizowano na wszystkie sposoby. Stało się to przyczyną problemów nie tylko Davisa i spółki, ale przede wszystkim ich wiernych fanów. Głośnym echem odbiła się sprawa Erica Van Howena z małej szkoły w Michigan, który został zawieszony w prawach ucznia za noszenie koszulki z logiem zespołu. T-shirt z napisem „Korn" został bowiem uznany za „obrażające obsceniczność, przemoc, narkotyki, alkohol i podteksty seksualne". Zespół wziął w obronę swojego małoletniego fana i z pomocą lokalnych stacji radiowych rozpoczął burzę

awantura o t-shirty zmieniła się w szeroko zakrojoną debatę na temat Pierwszej Poprawki do Konstytucji, gwarantującej obywatelom USA wolność wypowiedzi, a co za tym idzie, również noszenia koszulek Korna. Happeningi połączone z rozdawaniem t-shirtów zespołu pod szkołami przyniosły skutek, a Korn wytoczył szkole i kuratorium proces o zniesławienie. Ta reakcja nie dziwi, bowiem faktycznie zespół oskarżany przez niektórych o propagowanie przemocy, aktywnie angażuje się w działalność charytatywną (walka z AIDS, rakiem, obrona molestowanych dzieci, koncerty dobroczynne na rzecz uchodźców wojennych).

Wkrotce po tych wydarzeniach i ogromnym sukcesie trasy Family Values, Korn po raz kolejny wkroczył do studia i nagrał czwartą płytę „Issues" (1999). Dał też jeszcze raz dowód swojej wdzięczności wobec fanów, bowiem wydanie albumu poprzedził konkurs na okładkę – z tysięcy projektów został wybrany ten najlepszy, zaś trzy wyróżnione miały się ukazać w limitowanych edycjach płyty.

Did My Time

Zarowno „Issues", jak i „Follow The Leader" były nagrywane już bez udziału Rossa Robinsona, który w międzyczasie stał się jednym z najbardziej rozchwytywanych producentów w branży metalowej (m.in. pieczę m.in. nad „Roots" Sepultury i płytami Slipknota. Amen). Brzmienie zespołu było tym samym bardziej przebojowe, choć nie straciło nic ze swojej intensywności i agresji. A jednak muzycy Korna przyznawali, że taka formuła się wyczerpała, że trzeba poszukać nowych rozwiązań i możliwości. Szukali chyba po omacku, bowiem piąty album zespołu „Untouchables" (2002) to chyba najsłabsze dzieło Korna. Na szczęście wydana w 2003 roku płyta „Take A Look In The Mirror" to powrót do wysokiej formy, świetnych muzycznych rozwiązań, wcale nie tak dalekich od tego, co zespół proponował na poprzednich albumach, a jednak nie pozbawionych świeżości i dynamiki. Co ciekawe, to pierwsza płyta w całości wyprodukowana przez samych członków Korna. Jednak mimo sukcesu albumu i kolejnych singli, zespół postanowił zakończyć pewien etap działalności, podsumowując go zbiorem „Greatest Hits" i rozwiązaniem kontraktu z Immortalem, wydawcą ich wszystkich dotychczasowych płyt.

Here It Comes Again

W wywiadach Davis mówił, że zespół potrzebuje większej wolności artystycznej, że może sam wydawać swoje płyty. Na pewno status, jaki Korn osiągnął na muzycznej scenie, na to pozwala. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie jedno wydarzenie, które – na krótko – postawiło pod znakiem zapytania dalszą działalność kapeli. Po ponad dziesięciu latach wspólnego grania Korna opuścił Head. Nagle nawrócony postanowił poświęcić swoje życie Bogu (cokolwiek miałoby to oznaczać, swoją drogą ciekawe, co na to jego żona). To na pewno duża strata: gitarowe pojedynki Heada i Munky'ego i ich nieustanna pozytywna rywalizacja były motorem napędowym muzyki Korna. W krótkim oświadczeniu muzycy napisali jednak, że zespół będzie kontynuował swoją działalność. Z pożytkiem dla siebie i swoich coraz liczniejszych fanów. Dwa utwory z nowej płyty (powinna ukazać się na jesień), zagrane podczas katowickiego koncertu Korna dowodzą, że w Davisie i jego kolegach tkwi jeszcze ciągle wielki potencjał muzyczny. Potencjał, którego Korn nie zmarnuje. W końcu od tego jest gwiazdą wielkiego formatu.

Śródtytuły są tytułami utworów Ko

CZAS SURFERÓW

CZAS SURFERÓW
reż. Jacek Gąsiorowski
BEST FILM

Historia jest prosta. Dżoker (Linda) najmuje trzech nieudacz-
ników (Nowaczyk, Skarbiński, Obuchowicz) do porwania swojego
byłego pracodawcy, który postąpił z nim dość podle. Przy porwaniu
dochodzi do wielu nieporozumień, a jednym z nich jest wzbogacenie
się żałosnej ekipy o akwizytora Rysia, przemądrzałego pryszczatego
gnojka (przesłaby Maksiak). Co więcej, okazuje się, że porwano nie
tego człowieka. Tymczasem mafia z bezwzględnym Klamą (Zama
chowski) na czele traci cierpliwość.

Mamy więc materiał na komedię omyłek z wątkami gang
sterskimi. Od strony realizacyjnej jest to kawał amatorki. Błędy, rozjazdy, słabo zmontowa
ny film wygląda na nieudane kino offowe, prześladuje swoją chamską topornością. Scena-
riusz jest nielogiczny. Przez cały czas męczy widza wrażenie, że beznadziejność czołowej
trójki powinna być z miejsca ukarana, tymczasem zleceniodawca jest ciotowato dobrotli-
wy, mafiozo zachowuje się jak świetlicowy opiekun, a ludzie naokoło dają sobie mydlić
oczy, mimo że wymachuje się przed nimi spluwą. Chronologię zaburzono nieporadnie,
przeplatanie się wątków to dramat, po filmie nie za bardzo wiadomo, o co chodzi, i napraw-
dę nie da się zwalić tego na intrygujące niedopowiedzenie a la Tarantino. U Gąsiorowskie-
go z Quentina pozostała tylko wulgarność i sadyzm (sceny amputacji kończyn), ale pozba-
wiono ją klasy. Postacie przerysowano w sposób bezsensowny, pokraczne dialogi ani nie
przypominają tego, jak się mówi na ulicach, ani nie są zabawne, co mogłoby usprawiedli-
wić sztuczność. Czuć zżynanie i z komedii Lubaszenki, i z „Ciała" Koneckiego. Ale udało
się zerżnąć tylko „kurwa" w każdej niemal kwestii, bo dialog o Kaczce Dziwaczce nie do-
równuje nijak rozważaniom o Kubusiu Puchatku w „Ciele" właśnie. Poziom aktorski jest też
dużo niższy – kwestie są wyklepane bez odrobiny luzu jak na szkolnym przedstawieniu. De-
biutanci są najgorsi, Obuchowicz wścieka się i szlocha, jakby grał w melodramacie, a Lin-
da i Zamachowski jakby już w trakcie poczuli, w jakie gówno wdepnęli. Drewniana Maciąg
nie ma nawet krztyny seksapilu.

Jeżeli przyzwyczaimy się do jakości tego czegoś, od biedy można uśmiechnąć się
w dwóch momentach, choć ja podczas seansu obserwowałem idealnie ciche kino. Czasem
film potrafi być zabawny w niezamierzony sposób, jak np. w scenie, w której jeden z łebków
włącza RMF FM i trafia na „Ważne" Mezo (smutne, co trzeba robić, żeby na siłę upchnąć utwór
wszędzie gdzie się da, a przy okazji pokiepać po pupci stację, która łaskawie wepchnęła go
na rotację). Drugi typ mówi wówczas „Tata i tata, weź to ściągnij", ale chodzi mu akurat o gi-
bającą się przed kierowcą maskotkę. Nieporozumienie? Właśnie tak. Jak i cały „Czas surferów"
– film tak zły, że nie zasługuje na agresję czy pogardę, po prostu na litość. (flint)

surfing szkodzi

... a tak przynajmniej ustalili naukowcy z laborato-
riów SLG. Film powoduje frustrację, zniecierpliwie-
nie, może odbić się czkawką i zaostrzyć alergię
na polską kinematografię. Soundtrack jako anti-
dotum nie pomaga. Całości broni na naszych ła-
mach maczający palce w projekcie Doniu

Indagował i testował: Marcin Flint

**„Czas Surferów" został w recenzjach zmiażdżony. „Żenujący film"
to pierwsza dwa słowa recenzji z „Wyborczej", nie dopuszczono
go również do festiwalu w Gdyni, co zdarza się niezmiernie rzad-
ko. Wciąż jednak jestem ciekaw Twoich wrażeń.**

Recenzje, jak wiemy obaj, są subiektywnym spojrzeniem na określone dzie-
ło: płytę, film, sztukę teatralną itd. Byłem na filmie w kinie, słyszałem reak-
cje ludzi, słyszałem też reakcje na film w kinach w innych miastach i stwier-
dzam, że pokrywają się z moimi oczekiwaniami: film średni z małymi
wyjątkami, muzyka bardzo dobra (śmiech), aktorzy na poziomie, nawet de-
biutanci dali radę. Na szczęście, słyszę, nieskromnie mówiąc, że muza jest
lepsza niż film. Co do festiwalu w Gdyni, to nie wiem, skąd czerpiesz infor-
macje, ale są nieaktualne. Film miał być wyświetlany na specjalnym poka-
zie, jednak producenci wycofali go sami – tam chodzi o jakieś osobiste
sprawy. Nie mnie to rozkminiać.

**Informacja jest z „Polityki". Zdzisław Pietrasik sugerował rów-
nież na jej łamach, że Linda i Zamachowski musieli niezbyt do-
kładnie zapoznać się ze scenariuszem i stąd ich zgoda na udział
w projekcie. A co przekonało Ciebie – scenariusz, obsada, na-
mowy ze strony wydawnictwa?**

Dobre, dobre, dobre... po polskie. Z Zamachowskim spotkałem się
w Chicago dosłownie dwa dni po premierze w Warszawie i był zadowolo-
ny z filmu. Co do mojego wyboru – wytwórnia nie ma tu nic do gadania.
Zadecydował napisany z polotem scenariusz, ciekawy i zaskakujący. Pa-
miętam, że przeczytałem go za jednym razem – po prostu lekkie kino.
A że adaptacja i realizacja odbiegała od moich wyobrażeń, to już in-
na sprawa. Praca przy filmie to skomplikowana rzecz – i to mnie najbar-
dziej intrygowało, a nie jakieś kminki typu „będzie fajnie, to się pucuję,
a jak będzie wtopa, to spierdalam" (śmiech). To była moja pierwsza
przygoda z muzyką filmową i cieszę się, że zacząłem od takiej komedii.
Poznałem warsztat pracy, siedzieliśmy z DJ-em Story długie godziny
w studio w Łodzi – nabrałem doświadczenia dzięki ludziom, z którymi
mogłem profesjonalnie porozmawiać o muzyce i łączeniu jej z obrazem

Całe Ascetoholix sporo zawdzięcza „Blokersom" Latkowskiego, po których ludzie zaczęli się zastanawiać nad gośćmi rymującymi, iż „mówili, że raperzy upadną". Zespół zaczął być na językach. Z drugiej strony Latkowski to postać w światku nienawidzona. Jak do niej podchodzisz?

Pytanie widzę z gatunku tych „szukam sensacji" (śmiech). Latman jest postacią kontrowersyjną, mówi prosto z mostu, odparowuje tekstem w milisekundę, podbuszcza okrutnie i pewnie za to ludzie go nie lubią. Z kolei trzeba przyznać, że każdy jego dokument odbija się echem w mediach. Dawno go nie widziałem. Tyle.

Patrząc po klipach, wydaje się, że na ich planie dobrze się bawicie. Ludzi z rap branży od zawsze ciągnie do filmu. Doczekamy się Donia-aktora?

Klipy trzeba robić czasem z przymrużeniem oka (inteligentny widz zrozumie pastisz, a idiota niekoniecznie), czego nie widzę u wielu artystów, którym prawie żyłka pęka na scenach zbiorowych. A film? Czemu nie? Ogólnie marzy mi się rola prezesa jakiejś korporacji, który kręci konkretne wały, ale do takiej roli muszę się jeszcze postarzeć (śmiech). Na razie jestem piękny i młody, więc mogę co najwyżej zagrać gościa handlującego jakimś gównem, umierającego w końcowej scenie albo... producenta muzycznego. Nigdy nie mów nigdy.

Miałeś styczność z polskimi soundtrackami zawierającymi hip-hop, np. tymi do filmów „Sępona" albo „Poniedziałek"?

Pamiętam bardzie filmy niż płyty. Już parę dobrych lat minęło, ale tam szczątkowo zaistniał hip-hop, głównie dzięki WYP3 i numerom Edytoriału, dawne czasy...

Jakie są Twoje ulubione zagraniczne soundtracki?

No nareszcie jakieś normalne pytanie (śmiech). Swego czasu jarałem się okrutnie muzyką Ennio Morricone, później na tapetę trafił Philip Glass np. „Kundun" czy „Diaspora", a z hip hopowych klasyczny „Ghost Dog" albo z bardziej zabawnych „The Wash", czasem sobie przypominam „Romeo must die".

Nie chcę narzekać, ale coś mało premierowego materiału na OST „Czasu Surferów"... Mam nadzieję, że to nie jest tak, że zostało trochę instrumentali z płyty „Monologimuzyka", postanowiłeś zlepić to z paroma osłuchanymi hitami, dorzucić nie wiadomo czemu kawałek drum'n'bassowy, żeby wszyscy strasznie się zdziwili i przedstawić słuchaczom?

„No i płonne twe nadzieje, ty się spinasz, ja się śmieję...", wszystkie bity są nowe poza czterema ogranymi numerami. Kawałek Total EFX znalazł się tam, bo mi się – uwaga – bo to przecież takie „nie wiadomo czemu" dziwne i niepopularne słowo... p. o. d. o. b. a. ł (śmiech) i miałem taki twórczy kaprys, żeby tam się znalazł. Na tym polega wolność artysty. Zresztą lubię lekki d'n'b, albo 2step. A premierowe jointy to ludzie z podziemia, których wolę promować niż prosić o nagrywki jakieś biedniące „gwiazdy" naszej rodzimej sceny. Deep ma to „coś", co już dawno powinien przełożyć na legal, więc znalazł się na tej płycie, Dima ma talent (Zachodni Bastion – zapamiętajcie to, bo szeregi się poszerzają stale...), a np. W. B. z ekipą prezentuje specyficzny i niepowtarzalny poznański hardkor. Numer Dużego Pe rozpierdala mnie dokumentnie – znajdź mi takiego kozaka w Polsce, który poskromi taki bit? To jest masakra, co on tam wyrabia. Ja nie chciałem robić soundtracku na zasadzie 15 kawałków, każdy inny wykonawca itp... Postawiłem na plamy dźwiękowe, które znalazły się w filmie, bo tego lubię słuchać. Niektórych męczą rapy kolejnych sfrustrowanych wykonawców, wolą samą muzykę – to dla nich. Ogólnie zrobiłem tą płytę tak, jak chciałem, a nie tak, jak wypada. Proste. Jeśli zauważyłeś, cały czas robimy takie płyty, dlatego nam zarzucają odbijanie od standardów. Sram na schematy.

Gural zrezygnował z udziału w soundtracku w ostatnim momencie, tłumacząc się, że nie wiedział, że będzie to kolejna płyta Donia. Jakbyś to skomentował?

Odpowiedź jest prosta. DJ Story (który jest odpowiedzialny za produkcję tego numeru na swój mixtape) razem z Guralem nagrali numer „Wnioskujesz", który chciel wrzucić na soundtrack. Stwierdzili, że poczekają jednak na mixtape. Wyjaśnione to już zostało na samym początku w ich oświadczeniu. To wszystko.

Oj, enigmatycznie. Zdradź chociaż coś więcej na temat nowej płyty Drużyny A.

Jak to już kiedyś ktoś mówił: robi się poważny projekt, bądźcie czujni. Trochę namieszaliśmy na tej scenie przez ostatnie 3 lata i możemy się do niej zdystansować, popijając dobrą wódkę a nie wino (chociaż też się piło „Byka" i była luta!). Dojrzeliśmy, to już nie dzieciaki z demówki „Nazwij To Sam", ale ekipa z określonymi zamierzeniami. Myślę, że to będzie słychać. Może będzie kilka konkretów, jak s „Fist Stone" oberwie ponoć (śmiech), będą nowoczesne bity, ale też wręcz marszowe, wojenne traki. Zawsze chcieliśmy, żeby nasz słuchacz się zastanowił, jak nie przez poważny numer, to przez ironię i groteskę. Na razie mikrofon płonie. Kris jedzie ostro, Doniu intonuje, Liber zmyślne metafory knuje... czyli studio działa – czekajcie na efekty!

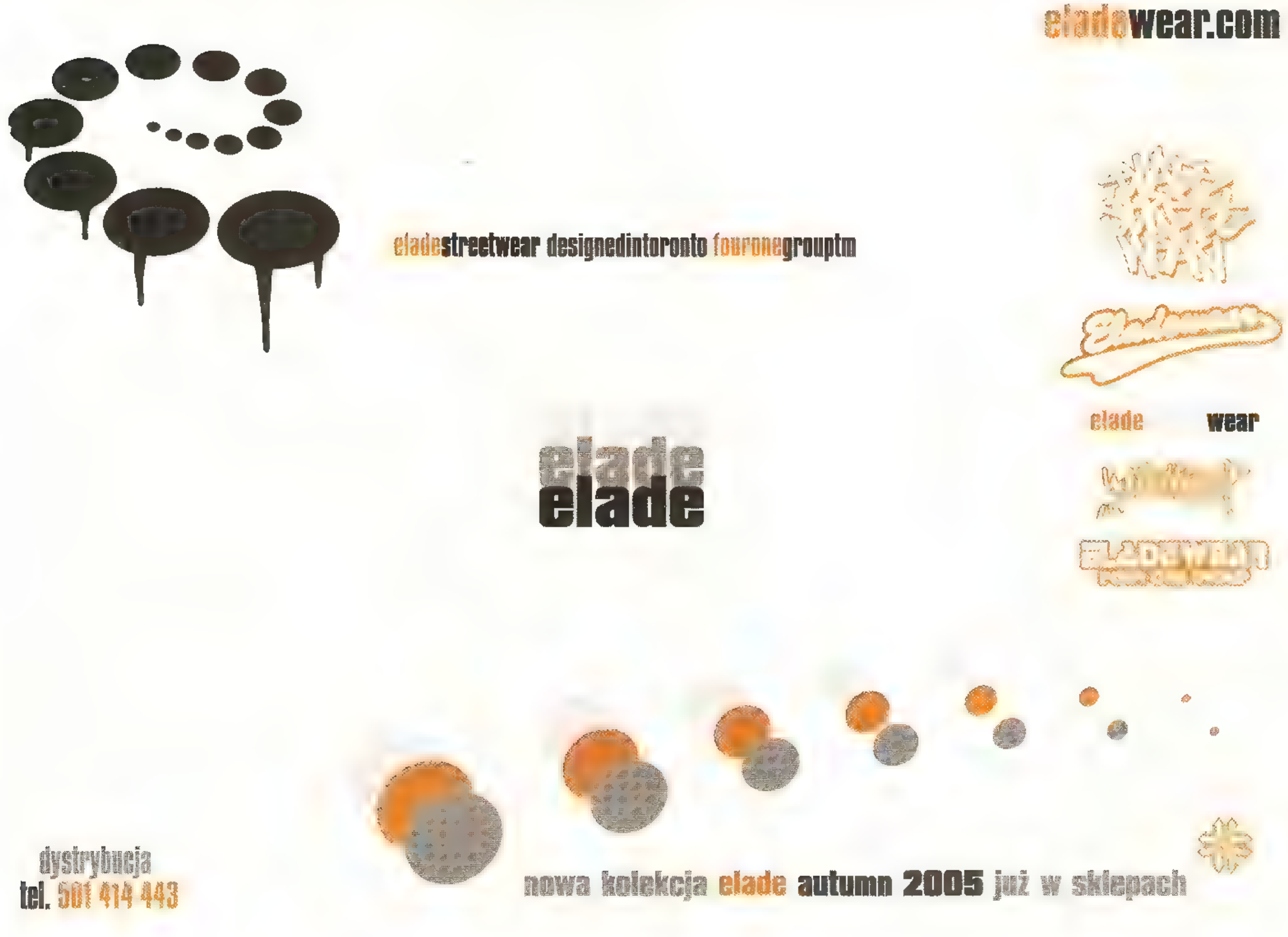

NOWA TWARZ

ASTEK (USTINTSTRUMENTALIX)

Łodzianin Astek nagrał trochę materiału w ramach Ustinstrumentalix (na zdjęciu), w tym ciepło opisane na naszych łamach „Ćw. 1: Peregrynacja", ostatnio wypuścił zaś epkę „Akustyka Ust Asteka", którą zamieściliśmy na cover cd. Teraz możecie sprawdzić, co do powiedzenia ma mocno niedoceniany producent i mc. Odwiedzajcie też www.utx.prv.pl.

Kiedyś funkcjonowało takie słowo jak „szkoleś". Dotyczyło ono miłych gości, ujmująco grzecznych i w życiu, i rapie, z gatunku tych, którzy zawsze kasują bilety, nigdy nie depczą trawy, z imprez dzwonią do rodziców, a po wypiciu piwa czują się winni. Po przesłuchaniu płyty można odnieść wrażenie, że trochę taki jesteś

„Szkoleś"? Pierwsze słyszę. Tak czy inaczej, fakt, jestem miłym gościem, nie sposób mnie nie lubić. Pierwszy mówię dzień dobry starszym sąsiadkom (oprócz tej z dołu, z dzieckiem wyczulonym na decybele), uprzednio otworzywszy im drzwi od windy. Biletów nie kasuję nigdy, nie mam głowy do takich detali. Wolę zaopatrzyć się w migawkę (bilet miesięczny, taki łódzki slang). Nigdy nie depczę trawy, bo polskie trawniki są zbyt obsrane, żebym ryzykował swoje piękne zółciaki. Z imprez nie dzwonię, bo na ogół mam puste konto. No a piwo...? Piwo jest sto procent. Bez dwóch zdań. Astek to dobry chłopak, dobrze mu z tym.

Czyli Robert Leszczyński byłby zrozpaczony, bo twój hip-hop nie wynika ani z frustracji, ani z buntu, ani z bezrobocia. Z czego zatem wynika?

Mój hip-hop wynika z zamiłowania do żartowania, popisywania się umiejętnością świadomego naginania języka polskiego stosownie do zaistniałych potrzeb, wosku i tworzenia przy jego pomocy czegoś z niczego. A do tego popatrz, jak to kozacko to brzmi. „Cześć, a czym się zajmujesz?", „Produkcją muzyczną, kotku, produkcją muzyczną..."

Gorzej już brzmi, kiedy dodasz „produkcją muzyczną, na którą jest małe zapotrzebowanie". W sumie macie tam w Ustinstrumentalix i pomysły, i dobrą technikę w składaniu słów, i beaty utrzymane w konwencji złotej ery, rapu ale trudno Wam się przebić do odbiorcy. Jeśli chodzi o pozytywny rap z waszych okolic, dużo większy oddźwięk zyskał Afront czy Klimat.

Taaa, fakt, chcielibyśmy fejmu, ale zachowując to niszowe brzmienie. Ciężki do poskromienia paradoks. Z Afrontami jest tak, przynajmniej moim „niezawsze dobrze poinformowanym zdaniem", że przed wydaniem legala nikt za bardzo o nich nie wiedział i nikt nie katował ich kozacko klasycznych nielegali. No, ale bity Ostrowskiego i parę ciepłych słów do ucha Tytusa, to jednak spory krok w kierunku przebicia się do odbiorcy. Tak czy inaczej platyny Afront nie dostał, choć materiał mają wyjebany w kosmos. A Klimat? To też przekoty, ciężko im dorównać. Chyba na „Ćw. 2" zaprosimy Patr00, żeby było, kurwa, pandemonium!

Powinniście raczej zaprosić Spinacza, byłoby większe zamieszanie... Przypominam sobie, że na płycie nawiązujesz do Smarka i Zkibwoya, teraz wspominasz o Patr00 i tak sobie myślę, że mamy teraz na scenie sporo undergroundowców zasłuchanych w undergroundowcach i do tego przekornie undergroundową publiczność. Czy to jest zdrowe?

Spinacz coś się miga, Chercheń musi go w końcu przyprzeć do muru... Hm, undergroundowcy zasłuchani w undergroundowców... Dość to nietuzinkowe zjawisko, jest, jakby zapewne powiedział mistrz Yoda, ale całkiem zabawne, moim zdaniem. Może w końcu grube ryby rapu zaczną się czerwienić i oddadzą nam, młodym, mikrofony! Może w końcu zostaną samiuteńcy, bez publiki, bez odbiorców i groupies i wymrą jak mamuty.

Te ryby i tak już często ledwo oddychają i rzucają się na byle haczyk. Ciekaw jestem na ile starczy wam animuszu. Astek, robisz muzykę na sprzęcie, który lada moment będzie już tylko maszyną do pisania, wyjeżdżacie na zachód żeby zarobić parę groszy (choć chodzą słuchy, że nieźle tam sobie poczynacie), a ja się pytam jak długo tak można? Przypominam, śmierć mamutów okazała się preludium do wymarcia innych form życia.

Moja dziewczyna czasem pyta: „Jaruś, a ty masz zamiar coś zrobić z tą muzyką?". Ja wtedy odpowiadam, że będę trzaskał te beaty i nawijał pod nie do momentu, w którym braknie mi na to czasu. Wiem też, że za rok znowu wyjadę, bo po tegorocznej peregrynacji wystarczy mi tylko na przeciętny komputer (w maszynie do pisania pierdolnęła płyta główna), może na jakieś odsłuchy. Jak długo tak można? Póki nie znajdzie się lekarstwo na to, co skasowało mamuty.

Czyli namawiałbyś prezydenta Stanów Zjednoczonych do podpisania protokołu z Kioto (śmiech)?

Poprosiłbym Chercha, on ma bliżej.

Na koniec szansa na autopromocję. Jakie były, jakie są i jakie będą produkcje spod znaku Ustinstrumentalix?

Były pełne pokracznego zapału i nieoszlifowanych skillsów. Są miękkie, sofciarskie i płynne, w kategoriach przełożenia muzyki na kolory – brązowe, piaskowe, zgniłozielone i karmazynowe. Kolejne produkcje dalej będą ustinstrumentalne – przegadane wysokimi głosami, które tak bardzo wkurwiają jebanych prawilniaków, subtelnie nieprzebojowe, co skutecznie skieruje je poza zakresy uszu ludu, kosmiczne, bo Ustinstrumentalix to skład z kosmosu. Podejrzewam, że kolejna płyta Utx, na którą muzykę zaczynam kleić lada tydzień, będzie najlepszą płytą w historii muzyki, gdyż Cherch, Cookie Monster a.k.a. DJ chROBOT i ja nie widzieliśmy się na polu rapu tak długo, że ów rap kipi nam z ust. Podejrzewam też, że owa najlepsza płyta w historii muzyki przejdzie bez większego echa, bo tak już urok jej autorów. No chyba, że jakiś zboczony na punkcie underrapu dziennikarz ją wyhaczy.

rozmawiał Flint

Baker 3

Na świecie znajduje się kilkanaście budzących strach hardcore'owych miejscówek. Posiadają one swoje nazwy i kiedy pojawiają się w filmie jakieś triki robione na nich, zwykle są to najlepsze numery w przejeździe. Miejsca, które mam na myśli, to np. osławione El Toro, Carlsbad Gap, Hollywood High, Wilshire, Big Four.

Wyobraźcie sobie jednak film, w którym proporcje zostały odwrócone. Tak oto powstała produkcja Baker. W tym video nie ma kiepskiego triku, nie ma też średniego ani nawet dobrego, w najnowszej produkcji Baker oglądamy tylko najbardziej pojebane triki. Do tego popisu kaskaderstwa każdy ze skaterów nagrywał bardzo długo, widać jednak rezultaty, bo nakręcony materiał jest przezajebiście trudny. Nie będę wymieniał trików, żeby nie psuć zabawy z oglądania filmu. Powiem tylko, że Reynolds ma swój najlepszy part w historii i aż dziw bierze, że można mieć taki progres z filmu na film.

Jedyne, do czego można się przyczepić, to klimat, a praktycznie jego brak. Szkoda, że twórcy podobnie jak przy dwóch poprzednich produkcjach zrobili go tak, żeby wcale nie chciało się go oglądać. Mimo tego jest to na pewno ogromny krok w historii deskorolki i trzeba go obejrzeć. tOi Oi

SKATEPARK HAJNÓWKA

Oto zdjęcia nadesłane przez naszego czytelnika. Popatrzcie sami jak się chce, to można to osiągnąć. Bierzcie przykład z chłopaków z Hajnówki, którzy wystarali się o pieniądze od miasta na budowę skateparku. Jednak to nie on jest tutaj najważniejszy, obok niego powstała sztuczna miejscówka (ciężko tu mówić o skate plazie), która spełnia wszystkie podstawowe wymogi dobrego spotu: są tam murki, poręcz, zajebisty double set. Proponuję więc od jutra zgłaszać się do swoich urzędów miejskich i bombardować ich różnego rodzaju petycjami. Może i do was się szczęście uśmiechnie jak do loka z Hajnówki. Projektowanie własnego spotu to piękna rzecz, a oni to właśnie zrobili, czego im zazdroszę.

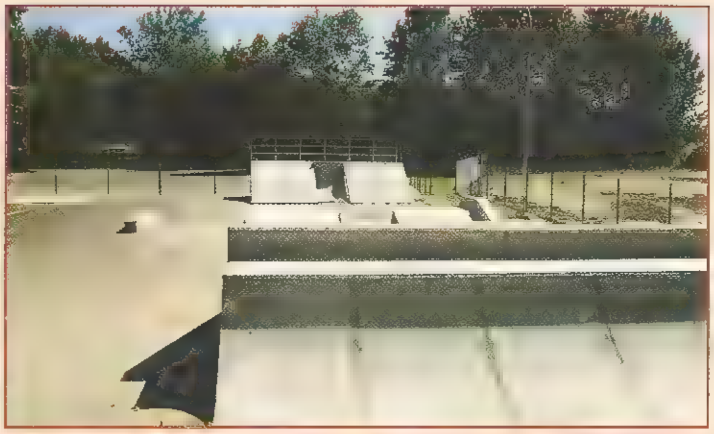

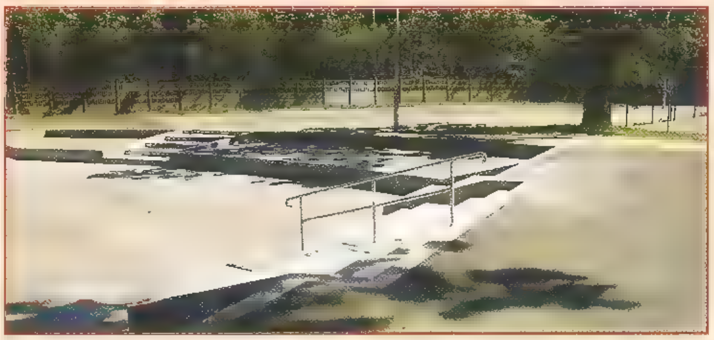

BITWA O ANGLIĘ VOL. 3

New Flesh 4 Old

Nikt nie lubi zaczynać od babrania się w przeszłości, prawda? Owszem, uznane jest, by to robić „najsampierw", ale przecież ludzkie upodobanie przekornym jest, więc dopiero trzecia „Bitwa" dotyczyć będzie legend sceny.

Nie można powiedzieć, że nie są częścią nowego brzmienia, bo gdyby nie oni nie byłoby pewnej łączności. Stali się prekursorami chorego groove'u. Jedni nazywali ich twórczość „trip hopowym hardcore'em", drudzy mówili, że to coś jakby szatan siedział na chmurce i sobie pykał na harfie. Oni sami określili się jako New Flesh 4 Old, czyli nowe ciało dla starego. W podtekście oczywiście można sobie już dopowiedzieć, czego konkretnie.

Grupa musi mieć silnego przywódcę, zwłaszcza jeśli każda osoba jest silnym indywiduum. Siłą napędową New Flesh jest Part 2, człowiek – instytucja, którego historia zapewne urzekłaby magistra Bokersa i innych piewców socjologizacji hip hopu. Otóż Part 2 jest kolejnym niepokornym dzieckiem ulicy uratowanym dzięki hip hopowi. Zimny chów i twarda rzeczywistość sprawiły, że wyrósł na regularnego chuligana szukającego okazji do bijatyk. Stał się też hardcore'owym graffitiarzem zaangażowanym głównie nielegalnymi akcjami. Z czasem zrezygnował z bombingu i zajął się artystyczną odmianą malowania sprayem (a było to na przełomie lat 80. i 90. XX wieku). Wraz z tuzami brytyjskiej sceny, Loomitem, Rougniem czy Stormiem, należał do Ikonoklast Movement – czegoś, co rzeczywiście stało się ruchem, a nie po prostu crew graffiti. Na początku ostatniej dekady ubiegłego stulecia zaczął twórczo robić muzykę, a w pewnym momencie nowe hobby zupełnie go pochłonęło. Specyficzny, delirycznу styl malowania Parta 2 (fachowe magazyny okrzyknęły go nowym Salvadorem Dalim, jedna z jego prac, które do dziś mam w pamięci, to puszka coca coli na kołach zakończona głową konia) znalazł odbicie w jego podkładach – brudnych, czasem dysharmonijnych, pełnych dziwnych brzmień, a czasem bardzo energetycznych i nawiązujących do klasycznego brzmienia. Jak to zawsze bywa w przypadku eklektyzmu, jego muzyka jest trudna do zaszufladkowania, ale pobudza wyobraźnię. Wszystkim zainteresowanym polecam solową epkę „Prelude To Cycle 6".

Jednak ciężka i przesycona emocjami muzyka to 1/3 charakterystyk New Flesh. Trzeba przy tym przyznać, że doskonale komponuje się ona z szalonym jamajskim flow Toastie Tailora (którego styl czasem kojarzy się z monologiem nawiedzonego kaznodziei) i z niepokojącym, zachrypniętym wokalem Juice Aleema, trzeciego członka zespołu. Warto dodać, że Tailor i Aleem mają za sobą barwne dzieciństwo. Pierwszy jest synem strongmana z Grenady (jego ojciec znany był z triku, w którym ciągnął samolot zębami), drugi zaś od dziecka przejawiał talenty wokalne, zajmował się głównie gonieniem po mieście białych kolesi, którzy z kolei ganiali jego młodszego brata.

Wracając do muzyki – razem działają już ponad 11 lat i mają na koncie więcej demówek i nielegali niż... No dobrze, po prostu mają ich całkiem sporo. Niestety, w większości nagrywane były na tradycyjny dla tamtego okresu nośnik, czyli kasetę, więc nie bardzo można do tego dotrzeć, zapewne też sami autorzy o to zadbali. Ostatecznie po to robi się selekcję na legal, żeby był lepszy, przynajmniej za granicą. A legalnych płyt długogrających pod szyldem New Flesh (ta krótsza nazwa jest obecnie jedyną obowiązującą) mają panowie sztuk dwie: abstrakcyjne, mroczne „Equilibrium" (plus wydany rok później album instrumentalny) oraz odwołujące się do reggae'owo-soulowych brzmień „Understanding" (na którym pojawia się oczywiście gama dźwięków na czele z mistrzem Gift of Gabem, Roots Manuvą i Beansem z Antipop Consortium). Dodatkowo dwa lata temu na rynku pojawił się „GOSH! Mix nr 2", przygotowany przez Parta 2 dla Big Dada – wytwórni, z którą związana jest cała grupa. Oczywiście możecie też sięgnąć po liczne single, no i świetne „Nanotech Pilots" Parta i Aleema... jeśli tylko macie ochotę na taką podróż.

Cess (CS)

WRZESIEŃ 2005 - kolekcja jesienna/nowa płyta WSZ i CNE "Jeszcze raz"

PRO-DUKCJA VOL. 3

Ike

„Produkuję od 2000 roku. Jest to dla mnie świetna zabawa dająca jednocześnie możliwość wyrażenia siebie poprzez muzykę. Dlatego staram się produkować nie tylko w czysto hip-hopowym klimacie, bo wychowałem się na zgoła innej muzyce niż rap. Eksperymentuję z drum'n'bassem i ambientem. Współpracuję zarówno z ekipami podziemnymi, jak też z artystami znanymi", mówi o sobie toruński producent i DJ (1 miejsce na Turntable Contest 2005 w kategorii advancement), Ike. Patrząc na jego dorobek, od razu w oczy rzuca się wszechstronność – wyprodukował cały legal hardcore'owemu warszawskiemu TZWM, ale jednocześnie zrobił beat Owalowi ze stajni UMC. Na jego podkładzie płynął gustujący w funky hh Jot, ale i trueschoolowa Pierwsza Flotylla. Znakomicie odnalazł się na „Znakach Zapytania" Procenta pośród tłustych brzmień Kociołka, Poleja i Malina. Warto więc przeczytać poniżej, w czym gustuje.

Najchętniej słucham... produkcji Premiera oraz muzyki, do której ciężko jest zna eźć MC's (DJ Krush, DJ Sak, DJ H de, DJ Shadow). Od kilku lat słucham nałogowo liquid drum'n'bassow (Logistics, High Contrast, Calibre, Nu: Tone).

Mój styl w jednym zdaniu... załóż słuchawki, zamknij oczy i wsłuchaj się w to, czego nie słyszy większość ludzi. To serce włożone w muzykę.

Najchętniej sampluję... artystów, który tworzyli w latach 70. oraz polskie solistki (Jantar, German, Jarocka etc.)

Beaty oparte na pętlach, to dla mnie... minimum programowe i pójście na łatwiznę.

Beaty, z których jestem najbardziej dumny... zrobiłem razem ze Stone'em na płytę „ReaStone" na przełom e 2003 i 2004 roku. To (osobiście) najważniejszy album jaki do tej pory wyszedł spod mojej ręki.

„Żywe instrumenty" w hip-hopie to... coś, czego brakuje, a jednocześnie coś, co się w Polsce n eprędko przyjm e ze względu na wypaczoną wrażliwość muzyczną dużej części odbiorców tej muzyki.

„Elektronika" w hip-hopie to... coś, w czym wielu producentów nie znajduje umiaru. E ektron ka powinna stanowić tło a nie być motywem przewodnim.

Moi trzej ukochani producenci, to... Premier, Pete Rock i Embee.

Moi trzej znienawidzeni producenci... „Gniew jest zaczynem niedorzeczności" (Cyceron). Staram się nikogo nie nienawidzić, nawet, jeśli kaleczy muzykę.

Hip-hop instrumentalny jest dla mnie... sposobem wyrażenia siebie poprzez muzykę i pokazania swoich umiejętności, swojej kreatywności i pracowitości przy aranżacjach.

Najbardziej chciałbym współpracować z... Freemanem.

O brzmieniu francuskiego hh mogę powiedzieć, że... chciałbym kiedyś mieć tak soczyste stopy i werble jak Logilo.

O nowym brzmieniu hh angielskiego mogę powiedzieć, że... aż pachnie przedmieściami Londynu.

Mając beaty Marley Marla i Large Professora wybieram... jako że gram od kilku lat i bez winy i nie wyobrażam sobie nawet jednego dnia, to zdecydowanie Marley Marl – „Can we hear a funky fresh scratching again?"

Mając beaty Pete Rocka i Premiera wybieram... obaj są fenomenalni, ale wybieram Premiera, ponieważ jest mistrzem digg ngu i głębokich brzmień. Przy jego muzyce nie da się siedzieć w jednym miejscu.

Mając beaty RZA i El-P wybieram... RZA, żeby poczuć dawkę zaszumionych sampli i charakterystycznych, mokrych pętli perkusyjnych.

Nigdy nie zrobiłbym beatu dla... p en ędzy.

(flint)

X-ECUTIONERS

Zbudowane ze skreczu?

X-Ecutioners zrobili tyle dla popularyzacji i rozwoju praktyk turntablistycznych, że zupełnie nie razi to, iż pod własnym szyldem wydali album „Scratchology", rozpoczęty zresztą intrem „What Is A Scratch?" w ich wykonaniu. Trudno traktować to jako pychę, to po prostu świadomość własnych dokonań i własnego miejsca w historii. Z drugiej strony X-drużyna rozprzedaje legendę.

Swoją drogą „Scratchology" jest imponującą lekcją. Mamy Grand Wizard Theodore'a, wynalazcę skreczu. Mamy Grandmastera Flasha z jego „wściekłą piątką" i „przygodami na stalowych kołach", które wg Roba Swifta są „Pierwszym na graniem zorientowanym na skrecz". Jest oczywiście Grand Mixer DXT, który na płycie Hancocka pierwszy raz połączył tak mocno świat jazzu i dj'ingu. Kawałek „Rock it" znajduje się na płycie „Future Shock" i rzeczywiście dla ówczesnych odbiorców mistrza musiało to być szokiem. Pojawiają się tytani pokroju Invisibl Skratch Piklz czy The Beat Junkies. Widać, jak beatmaking Pete Rocka i Premiera rodził się z ich własnych dj'skich talentów, ponieważ jak to mówi Total Eclipse „zajebiesty DJ to ktoś, kto umie cąć, rozwalać imprezy i... produkować zajebiste beaty". W nagraniu 3rd Bassa uwieczniono nawet Supermen, ekipę, która zmotywowała dj'ów z obecnego X Ecutioners do stworzenia X Men, by móc powalczyć poprzez gramofony. Oczywiście, można narzekać – jak to możliwe, że nie ma „Three mc's and one DJ" Beastie Boysów z udziałem fenomenalnego kosmity (trudno mi zapomnieć wypowiedzi z filmu „Scratch") Mixmaster Mike'a, skoro to prawdziwy hymn złożony DJ'om w czasach, gdy wielu już zaczęło o nim zapominać. Gdzie jest „Pump me up", z zupełnie komercyjnego albumu Willa Smitha, w którym Jazzy Jeff przeprowadza przez świat gramofonowych ewolucji mając w swoim raperze umiejętnego konferansjera? Gdzie jest coś od Jurassic 5, drużyny, która przywróciła i odświeżyła oldschool, a na pokładzie ma dwóch speców od winyli, w tym samego autora szóstej „lekcji" – Cut Chemista? I skoro płyta dedykowana jest Jam Master Jayowi, „najbardziej wpływowemu dj'owi w hip-hopie", to czemu nie ma próbki jego talentu? Tak to jest z X Ecutioners – gościnnie by nie do wyjęcia, ale wybierający cokolwiek dziwne ścieżki.

Włączamy „Revolutions", ostatnie fonograficzne dziecko grupy powite w 2004. Słyszymy radosny rock w dzikim tempie z wokalem puszczonym przez dziwny filtr (kawałek z Anikke), rock tak nafaszerowany elektroniką że ledwo oddycha („C'mon"), agresywny numer który mógłby się znaleźć na soundtracku do „Judgement Night" („Let me rock"), brudne, przytłumione gitary w kolaboracji z Cypress Hill, czy wreszcie zderzenie „nekromaniakalnego psychola" (jak pieszczotliwie nazywa Roba Zombie Glub z S33) z lirycznym nadwrażliwcem Slugiem, oczywiście na tle kąśliwych riffów. To zupełnie wystarczająco, żeby fan hip-hopu poczuł się cokolwiek oszukany i przyznał rację Jonowi Caramanica z „Rolling Stone'a" piszącemu już o poprzedniej produkcji, iż wszelkie egzotyczne naraz współprace „ujawniają jeden fatalny feler w formule albumu. Cały sprowadzony hałas czyni del katne rutyny dj'ów beznadziejnie niewyraźnymi". Niestety, to numer z Linkin Park i Wayne'em Statikiem ze Static-X, a nie świetny kawałek z Large Professorem okazał się wtedy wytyczną na przyszłość. Po drodze trafił się genialny projekt z Pattonem, ale generał miał koncept, nawiązał dialog i utrzymał chaos w ryzach. Zaś po albumach X Menów słychać tylko „turntablism zredukowany do minimum. Ograniczył swój wpływ do zadziwiającego minimum, które każe ci się zastanawiać, dlaczego nazywają to swoim albumem". Diagnoza Tadah z Urban Smarts jest tu niestety trafna.

Ma też rację w jeszcze jednym. Total Eclipse, Rob Swift i Roc Raida (bo Mista Sinista niestety odszedł) to team, który warto zobaczyć na żywo, bo dokonują cudów. Ale turntablism odarty ze sfery wizualnej i możliwości obserwacji dj'a wydobywającego z biednego technicsa piski i zgrzyty nie przekonuje. Kiedy zaś jest odarty z głębokich basów, kiwających łbem perkusji i podnoszących ciśnienie sampli, a przy tym traktowany jak przyprawa wręcz zniechęca. X-Ecutioners zawsze umieli dobrze sprzedać swój wizerunek, ale to właśnie ten punkt, w którym zaczynają rozprzedawać swą legendarność. I biedną.

(flint)

HIP-HOP W PIGUŁCE

czyli o czym każdy słuchacz wiedzieć powinien...
Część 4. Debiuty 1991

Organized Konfusion

Jeden z najbardziej niedocenianych duetów w historii hip-hopu Prince Poetry i Pharoahe Monch, dwóch doskonałych raperów a zarazem producentów, znali się od najmłodszych lat, mieszkając niedaleko siebie w nowojorskim Queens. Na początku swej działalności nagrywali pod szyldem Simply 2 Positive, przybierając nazwę Organized Konfusion w 1990 r. Poznali wówczas producenta Paula C, z pomocą którego udało im się podpisać umowę z labelem Hollywood, wchodzącym w skład imperium Walta Disneya. Tam też w 1991 r. wydali „Organized Konfusion", debiutanckie LP. Jest to z pewnością jeden z najlepszych debiutów lat 90. na rapowej scenie. Wspaniałe, funkujące bity z kapitalną, wysuwającą się na pierwszy plan perkusją. Dynamika. Werwa, pasja. Przede wszystkim zaś doskonałe rymy, w większości kapitalne storytelling, które rapowali często poza bitem, nadając przy tym terminowi „flow" nowe znaczenie. Niestety album nie przebił się, zawinił brak promocji ze strony labelu. Historia powtórzyła się przy okazji follow-upu krążka „Stress: The Extinction Agenda" z 1994 r. Nie pomogły ani kontrowersyjna okładka, ani kilka bitów Bucktowna, ani jeden z najlepszych klasycznych bangerów, jakie słyszałem w życiu – „Let's Organize" z Q-Tipem i O.C. Po niepowodzeniu marketingowym dwóch doskonałych płyt Pharoahe i Prince Po zdecydowali się zmienić label i przeszli do Priority. Tam wydali w 1997 r. „The Equinox", najtrudniejszy i najbardziej przeintelektualizowany album w swej dyskografii. Próba ukazania na płycie świata zagubionych w mieście buszu nastolatków, oddania ich lęków, wewnętrznych rozterek i losów, była za trudna w odbiorze dla większości słuchaczy. Szkoda tym większa, że album stał na bardzo wysokim poziomie muzycznym, do czego poza samym duetem przyczynili się m.in. Showbiz, Rockwilder, Casper, odpowiadający za skrecze Tota, Eclipse. Po niepowodzeniu „The Equinox" Prince Poetry i Pharoahe Monch zdecydowali się na rozwiązanie O.K. i rozpoczęcie solowych karier.

Dyskografia: Organized Konfusion (1991, Hollywood), Stress: The Extinction Agenda (1994, Hollywood), The Equinox (1997, Priority)

Black Sheep

Kolejny fantastyczny duet, jaki debiutował oficjalnie w 1991 r. Black Sheep tworzyło dwóch rodowitych nowojorczyków – Dres (Andre Titus) i Mista Lawnge (William McLean), którzy jednak okres dorastania spędzili i poznali się w Północnej Karolinie w połowie lat 80. Obaj nagrywali bity, ale ich głównym zajęciem od początku był rap (Dres) bądź didżejka (Mista Lawnge). Pod koniec lat 80. Lawnge powrócił do Nowego Jorku, gdzie podjął się grania imprez, m.in. z Red Alertem. Ten z kolei zapoznał młodego dj-a z członkiem Jungle Brothers – Mikiem Gee. Za jego namową Mista Lawnge ściągnął do N.Y. Dresa i w 1990 r. młodzieńcy założyli Black Sheep, duet, który stał się automatycznie członkiem rodziny Native Tongues. Pierwszym oficjalnym singlem grupy było nagranie „Flavor of the Month", doskonale przyjęte w rapowym środowisku. Ogromna popularność kolejnego singla „The Choice Is Yours" sprawiła, że debiutancki album zespołu „A Wolf in Sheep's Clothing" z końców 1991 r. znalazł niemal milion nabywców. Był to ogromny sukces i niestety ostatni w karierze Czarnej Owcy. Wydane w 3 lata później „Non Fiction", którego promocja ograniczyła się niemal do zera, stało na równie wysokim jak debiut, ale przeszło bez echa. Nie pomógł ani doskonały singiel „Without a Doubt", ani producencka pomoc Salaama Remi, ani gościnny udział Showbiza & A.G. Black Sheep wielokrotnie zapowiadał powrót na scenę hip-hopową, ale ostateczne nie wydanie nagranego w 1999 r. albumu „The Tragedy of A'most" przeważyło szalę i duet definitywnie ogłosił zakończenie współpracy. Żałować możemy przede wszystkim dlatego, iż Dres i Mista Lawnge w piękny sposób umieli łączyć klasyczny rap z jazzem i funkiem i soulem, zaś rymy tego pierwszego po dziś dzień przykuwają uwagę i mogą stanowić niezłą pożywkę dla spragnionych poszukiwania w wersach ciekawych przestań i podwójnego dna.

Dyskografia: A Wolf in Sheep's Clothing (1991, Mercury), Non Fiction (1994, Mercury)

Main Source

Małe odstępstwo od reguły – tym razem bierzemy na tapetę trio. Trio odrobinę nietypowe, bo jego założyciele – bracia K Cut i Sir Scratch zajmujący się produkcją i dj'ingiem, są na dobrą sprawę postaciami anonimowymi, zaś najważniejszy członek Main Source dostał się do zespołu w wyniku ogłoszonego przez rodzeństwo konkursu. Kimże jest ta tajemnicza postać, nie jako z castingu? Chodzi oczywiście o Large Profesora, fantastycznego producenta i emce, który wygrał wspomniany konkurs jako szesnastolatek. Miało to miejsce w 1989 r., dwa lata później nowojorskie trio wstrząsnęła rapową sceną fantastycznym krążkiem „Breaking Atoms". Wielu fachowców uważa, że produkcja tego albumu była w dużej mierze inspiracją dla późniejszych dokonań chociażby samego Preemo. Dodając do tego świetne rymy dostaliśmy w efekcie album pełny, porywający. Co z tego, skoro dziś w zasadzie się o nim nie pamięta, a jeśli już, to przede wszystkim dlatego, że w numerze „Live at the Barbeque" debiutował u boku Large Pro i Akinyele sam Nas. Niedługo po wydaniu „Breaking Atoms" grupę opuścił, po kłótniach i rozbieżnościach dotyczących – jakby mogło być inaczej – kasy, jej filar Large Professor. Skład Main Source uzupełnił przeciętny raper Mikey D i nagrany z jego udziałem w 1994 r. krążek „F*ck What You Think" był klapą, o której nie warto pamiętać.

*Dyskografia: Breaking Atoms (1991, Wild Pitch), F*uck What You Heard (1994, Wild Pitch)*

Konkurs Ślizgu i Eurosportu

Jeśli chcecie wygrać zimowe i letnie czapki, koszulki, longsleevy i bluzy od firm Rip Curl i Billabong, musicie odpowiedzieć na proste pytanie zadawane w progamach pod szyldem „YOZ - Youth Only Zone" na antenie Eurosportu i Eurosportu 2 (polujcie na nie późnymi popołudniami między 18 a 20). Kiedy znacie już odpowiedź, wpisujecie ją na ten kupon i wysyłacie do nas! Powodzenia.

odpowiedź...

nazwisko i imię...

adres...

....

Ślizg YOZ Xtreme EUROSPORT 2

kite-surfing

marek zach

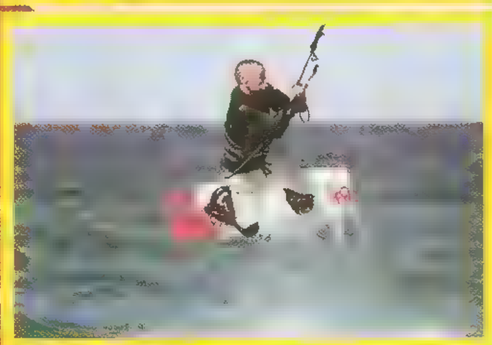

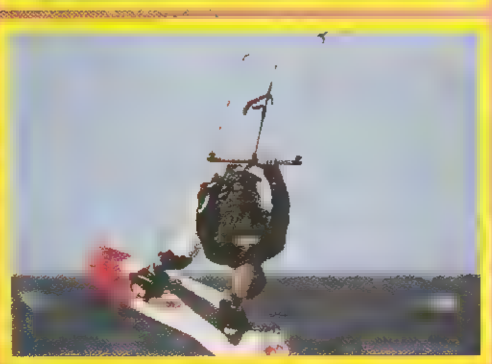

rozmawiał Szczepson

Jak się nazywasz i od kiedy jeździsz?

Nazywam się Marek Zach, wszyscy do mnie mówią Murphy, mam 25 lat. Sporty ekstremalne uprawiam od małego. Zacząłem na nartach, potem był snowboard, a następnie to przeszło do deskorolki i wakeboardingu i kite.

Co robiłeś, zanim zacząłeś uprawiać kiteboarding?

Zacząłem zupełnie od małego grać w tenisa i jeździć na nartach, karate trenowałem parę lat, w piłce ręcznej byłem mistrzem kraju z chłopakami, no a potem to już mnie bardzie ciągnęło do tych ekstremalnych rzeczy. Przestałem jeździć na nartach, zacząłem na snowboardzie i na deskorolce. Na desce jeżdżę od 10 lat, ale już nie na zawodach, tylko dla siebie. No i przy okazji mam pracę, bo czasami w Czechach robimy skateparki. A dzięki deskorolce mam jeszcze 4 śruby w kolanach i zerwane wiązadła krzyżowe. Rehabilitację przechodziłem na wakeboardzie, delikatnie jeździłem na wyciągu, nie skakałem i tak się nauczyłem na tej wodzie troszeczkę jeździć. Potem przyszedł do mnie mój kumpel Filip Holy, który mnie przyciągnął do Polski na Hel, dał mi latawiec do ręki i powiedział, żebym spróbował.

A jak to się zaczęło w Polsce?

Jak przyjechałem na Hel, to pierwszy dzień wiało jakieś tam 6 beauforta, dostałem windsurfingową deskę do ręki i po godzinie już jeździłem w ślizgu, elegancko, w trapezie. Na drugi dzień miałem próbować z latawcem. Jakieś 3 dni później pojechałem pierwszy ślizg, dojechałem w Jastarni aż do bunkra i potem wracałem na piechtę tych parę kilometrów.

Jaka była Twoja pierwsza ekstremalna sytuacja podczas pływania?

Niedługo jeździłem na kajcie, może tydzień. Chciałem odpalić system bezpieczeństwa, tylko że go nie miałem na tym latawcu. Więc pociągnąłem za jedną linkę, aby latawiec położył się na wodzie i zgubił moc. Niestety nie zdążyłem ściągnąć tych 5 m linki do siebie i latawiec wystartował z powrotem i to tylko zrobiło „tsiu”. No i wszędzie leciała krew, miałem przecięte palce kawałek od kości. Parę ładnych dni to trwało, nim mi się zagoiło.

Ile czasu spędzasz na wodzie w ciągu roku?

W tym roku jest trochę gorzej, bo jestem tylko 3 miesiące na wodzie pókico, ale w zeszłym roku byłem jakieś 6 miesięcy na wodzie. Na kajcie, na surfingu i jak jestem w Czechach – na wyciągu na wakeboardzie.

Jakie masz plany na najbliższy czas?
Teraz dostałem zaproszenie do pierwszej polskiej bazy w Egipcie i z teamu Nobile do Wenezueli na dwa miesiące. Będę tam jeździł z mistrzem świata, Markiem Shinnem.
Miałeś jakieś kontuzje na kajcie?
Więcej kontuzji zawsze jest na deskorolce. Z tego mam właśnie te 4 śruby w kolanach. Bark miałem na zewnątrz, jak jechałem na rękach na deskorolce i próbowałem takiego typa, jak robi Rodney Mullen. Jakoś mi się ześlizgnęła ręka i deską dostałem w głowę i wtedy druga ręka mi wyskoczyła.
Co najbardziej lubisz w kajcie?
Wakestyle, z tych dużych tricków co były na początku. Teraz się robi dużo tricków na powierzchni, kiteloopy, handlepassy, przekładanie drążka za plecami, to są teraz najlepiej punktowane tricki na zawodach i to mi się bardzo podoba. No i riding na falach - to chyba najładniejszy styl pływania.
Czy jest ktoś, kogo podziwiasz ze światowej czołówki?
Podziwiam Marka Shinna, który wygrał parę razy mistrzostwo świata, a teraz już nie jeździ na zawodach, tylko działa jako menadżer tej firmy, dla której pływam. Na ostatnich zawodach przybił mi piątkę, powiedział "good work", że podoba mu się mój styl i mój best trick był spoko.
Co możesz powiedzieć, żeby zachęcić ludzi do kiteboardingu?
Kite to zupełnie inna bajka niż wakeboarding albo skateboarding. Jest uzależniony od wiatru, uprawiany na wodzie albo na śniegu, ale da się jeździć też po zwykłej ziemi na rolkach i na mountainboardzie. Możecie mieć 60 lat i spokojnie jeździć i próbować ładnych skoków lub lat 10 i naprawdę zapierdalać, skakać wakeowe, duże triki, 10-15m w górę. No i jest to takie "free".

kite-surfing

ania grzelińska

Lato się właśnie kończy, więc żeby osłodzić Wam nieco nadejście jesieni, jeszcze odrobina typowo letniego sportu, a konkretnie kite'a. Ania Grzelińska jest bez wątpienia najlepszą polską kiteboarderką. Jest również członkinią międzynarodowego teamu Northa i zajęła pierwsze miejsce podczas ostatnich zawodów pucharu świata. Pozwólmy jej powiedzieć parę słów o sobie

rozmawiał Szczepson.

Ile masz lat i jak długo pływasz?
Skończyłam właśnie 18 lat, a pływam od kwietnia 2002 roku, nigdy nie wiem ile to czasu.
Skąd pochodzisz?
Z Wrocławia
Sponsorzy?
Billabong, North, on wetsuits i pan Cezary (uśmiech)
Na jakim sprzęcie pływasz?
Deska North Jamie 123, latawce North Vegas. Moje ulubione to 6 i 8
Ile czasu spędzasz na desce?
Od czerwca w domu spędziłam 2 dni i 2 w Warszawie
Co najbardziej lubisz w kiteboardingu?
Nie wiem... Ludzi, plaże, freestyle
Czego nie lubisz?
Nie lubię, jak nierówno wieje i jest zimno
Ulubiony trick?
360 kite loop flat 3
Nad jakim trickiem obecnie pracujesz?
Back to rapt, handle pass
Osiągnięcia?
Pierwsze miejsce w ostatnich zawodach pucharu świata PKRA Fuerteventura na Wyspach Kanaryjskich, obecnie 2 miejsce w klasyfikacji generalnej PKRA
Ulubieni riderzy?
Alvaro, Etiennethote
Ulubiony spot?
Dominikana
Co Cię inspiruje?
Ludzie, którzy pływają ze mną oraz postępy, jakie robię. To mnie motywuje
Jak przełamujesz strach?
Czasem nie przełamuję, bo potrzebny jest do tego odpowiedni dzień
Zainteresowania?
Snowboard (choć w tym roku jeździłam 1 dzień), sporty, shopping
Co preferujesz – wave czy płaską wodę?
I to i to, zależy. Płaska woda staje się nudna po trzech dniach, ale pozwala na naukę nowych tricków, które niestety trzeba tam potrenować, żeby wychodziły na falach
Co sądzisz o sliderach i kickerach?
Generalnie jestem na tak. Jeżeli ktoś spoko na nich jeździ, wygląda to dobrze, jeżeli słabo sobie radzi, to mniej. Sama nie miałam okazji, bo gdy chciałam spróbować, okazało się, że slider ma 5 metrów wysokości! Więc trochę dużo jak na początek
Czy lubisz zawody?
Najbardziej lubię uczucie po zawodach, gdy wiem, że dobrze mi poszło. Same zawody też są w porządku
Co to jest styl w kicie i kto go posiada?
Styl ma osoba, którą rozpoznamy od razu po tym, jak wykonuje poszczególne tricki i nie musimy widzieć jej twarzy. Takimi ludźmi są według mnie Alvaro, Aaron Hadlow a z Polaków Wiktor Borsuk
Co sądzisz o polskim kiteboardingu?
Rozwija się, coraz więcej ludzi zaczyna pływać i coraz więcej mamy zawodników
Po zwycięstwie w ostatnich zawodach, jakie masz plany na przyszłość?
Wygrać w Kanadzie oraz na wszystkich kolejnych zawodach tego sezonu, co zagwarantuje mi wygranie Pucharu Świata.

TELEWIZJA MUZYCZNA VIVA

ZDEJMUJE AUTORSKIE PROGRAMY HIP-HOPOWE

Nie tak dawno publikowaliśmy obszerny artykuł dotyczący tego, że polski hip-hop zdaje się kończyć jako biznes. Tym bardziej szokująca okazała się dla nas informacja, że telewizja muzyczna Viva zdejmuje autorskie programy hip-hopowe. I choć stacja usiłuje przekonać nas w oficjalnym oświadczeniu, że „hip-hop nie zniknie z anteny Vivy", to jakoś ciężko uwierzyć, by sprawy przybrały obrót korzystny dla fanów tej muzyki

tekst Marcin Flint

Odgórne zmiany

VIVA będzie grać głównie przeboje najchętniej słuchane i wybierane przez młodych ludzi, w tym dużo polskiego hip-hopu. Skupi się również na pokazywaniu tego, co dzieje się na polskiej scenie muzycznej. Jeśli na polskim rynku hip-hop nadal będzie jednym z czołowych nurtów, oznacza to, że VIVA będzie grać teledyski artystów reprezentujących ten styl muzyczny. Nie będą one jednak skupione w ramach programu, tylko emitowane w ciągu całego dnia. Choćby nie brzmiało to najgorzej, ale oznacza to parę przykrych rzeczy. Po pierwsze, leczy ze złudzeń – stacja puści wszystko, co jest na tzw. topie, zupełnie nie kierując się jakimkolwiek gustem, a jedynie koniunkturą. Stanie się też kolejnym medium, które będzie podążać za trendami, nawet nie próbując ich kreować. Po drugie, przekazuje czytelny komunikat – chcesz posłuchać hip-hopu, to siedź przed ekranem kilkanaście godzin dziennie i chłoń reklamy dzwonków na komórki, a my rzucimy ci może jakiś ochłap. Zainteresowani wiedzą, że właścicielem Vivy i MTV jest ta sama firma – Viacom. Być może ktoś dojdzie do wniosku, że MTV powinno być bardziej „cool", a ochłap będzie rozrywany dodatkowo na dwie części. „Właśnie wprowadziliśmy wiele nowych programów do jesiennej ramówki" – informuje telewizja, dodając, że „nie są one w żaden sposób odpowiedzią na zmiany w Vivie. To prawda, że Viacom jest właścicielem obu stacji, wciąż jednak działamy w Polsce jako osobne firmy. Mimo to nie chcemy się nawzajem zjadać. Dlatego zarówno ramówka MTV jak i Vivy ma na celu zainteresowanie trochę innych widzów". Cóż, przynajmniej wraca „Yo MTV".

Zamiast dalej gdybać, spotykam się z WSZ-em i CNE, by zrozumieć, o co w tym chodzi i dowiedzieć się detali. Panowie sami za bardzo nie wiedzą, na czym tak naprawdę stoją, ale udzielają informacji. „W Vivie, jak zwykle, nastąpiła zmiana ramówki od września, ale zmieniło się brand policy stacji w związku ze zmianą właściciela. Zniknęły programy, o ile można je tak nazwać, niszowe – program rockowy i nasze programy hip-hopowe. Zostały bloki, w których można prezentować wszelaką muzykę mainstreamową – chyba ponieważ taka ma być Viva" – mówi CNE. „Zmiany są odgórne. Firma ... właściciela, właściciel ma nową politykę. Myślałem, że będą patrzeć na rynek lokalnie ... że nasza Viva zrobiła się i stanęła na hip-hopie w dużej mierze na naszych programach. Ale po ... protest Vivy wdrażany jest ... bez sugerowania się tym, co było" – tłumaczy ..., zwłaszcza że „Megazin" i „Rap ..." ... są przy bardzo przyzwoitej oglądalności.

Interakcja?

Interakcja jest słowem odmienianym namiętnie przez wszystkie przypadki, serwowanym w sosie z wykrzykników. „Jesienną VIVA stawia na polskie i światowe hity oraz większą interaktywność z widzami! VIVA Polska od września mocno zbliży się do swoich widzów. Po sukcesach «Get the Clip» oraz list przebojów «Tramwajowa lista», «Chartsurfer» i «PL TOP 10», na których kształt mają wpływ widzowie, stacja stawia na jeszcze większą interakcję z publicznością. «Get The Clip» to nie jeden program, ale płaszczyzna interakcji na różnych poziomach, kryjąca w sobie jeszcze wiele innych niespodzianek, które będą stopniowo ujawniane (...). Zwiększy się także interaktywność kanału i reakcja na zapotrzebowanie widzów". Kiedy już jesteśmy interaktywni do poziomu mdłości, na końcu czeka formułka „(...) jeśli widzowie będą domagać się drogą sms-ową muzyki hip-hopowej, wówczas na antenie może jej być jeszcze więcej". Dochodzi więc kolejna sprawa – nie dość, że płaci się kablówce za możliwość oglądania Vivy, to żeby oglądać w niej hip-hop, trzeba dodatkowo płacić za sms-y. Na nich opiera się również jedyny pozostały program. „Przez cały czas mamy tramwajową listę" – pociesza Wujek. „Jestem jej producentem, razem z Wujkiem tworzymy duet producent-prezenter" – dodaje CNE. „Ale z wizji zszedłem zupełnie i nie będę się pojawiał" – WSZ. „Tomek zszedł z wizji, bo za bardzo przytył" – CNE. „Wujek ma postawiony warunek, że ma przytyć. Inaczej za miesiąc też zniknie". Panowie żartują, ale nie próbują nawet ukryć, że czują się zdegradowani. „Możliwe, że będą nas wykorzystywać w programach w rodzaju Vivamat czy In&Out, jeżeli przyjdzie tam Hemp Gru i Daro akurat zachoruje". To żart, ale w ustach Wujka brzmi dość gorzko. Przyznaje on w końcu: „Atmosfera jest niewesoła. Ciężko, coraz ciężej... na «Cięższa»".

Miejsce w tramwaju

„Tramwajowa lista" zmusza WSZ-a do zapowiadania w kółko tych samych, często mało strawnych kawałków. Pytam, czy to nie frustruje. „Ja bardzo dobrze się czuję, jadąc w tramwaju, będąc z ludźmi. Słuchają mnie tylko ci przed telewizorami. Lista mi zostawia pole do komentarza, jeśli ktoś ogląda ją któryś raz, wie, jakie są moje antypatie. Nie powinienem tego robić, ale można to wyczuć". Gorszą sprawą są nieszczęsne sms-y, teoretycznie mogące sprzyjać machinacjom i robieniem sobie małych przysług. CNE kontruje: „Pewnie gdzieś zdarzają się listy, gdzie nie ma sms-ów, maili i redakcja układa je sama. A u nas w Vivie widać, kto ile sms-ów dostał, jest odpowiednia strona. Teraz w pierwsze miejsce po wakacjach była specyficzna sytuacja, bo wszystkie numery były nowościami, to w jakiej kolejności leciały, nie miało znaczenia. Ale już od następnej decydują głosy ludzi. Możliwość manipulacji jest znikoma". Wujek jest zaś niepewny: „Możliwość manipulacji występuje, mamy stronę, na którą wchodzimy i sprawdzamy głosy. Jeżeli ktoś by był dobrym specem, może tak zamieszać głosy, że nawet nie będziemy wiedzieli". W końcu Człowiek Nowej Ery przyznaje: „Było kilka takich sytuacji, że nie wiedzieliśmy, czy to hakerzy, czy ktoś kupił kilka aparatów i wysłał tyle sms-ów. W historii listy zdarzały się takie zawirowania odnośnie pewnych klipów". Wujek nie wyklucza, że wydawcy „podpierają" czasem teledyski swoich artystów.

Zrozumieć Vivę

„Viva to nie Caritas, ma przynosić zysk, to oczywiste. Można próbować ją zrozumieć. Koniec hip-hopu? Stał się modnym zagadnieniem", choć duet WSZ i CNE nazywa go „bladoleniem". „Rynek się przesycił, za dużo było całej otoczki – gazet, ubrań, sklepów, promocji płyt, specjalnych wydań Popcornu. Może teraz będzie tego w sam raz. Patrzyłem tego lata pod kątem koncertów – choć Reebok Hip-Hop Tour i New Yorker nie wyszedł, jak oczekiwano, to było super. Frekwencja na koncertach jest ważna – to główne źródło zarobku raperów, poza tym męczony przeze mnie duet zawsze chętnie ruszał się w teren. Kiedy idziesz na koncert, z przyjemnością zobaczysz potem relację w telewizji, to normalne. Słabo wygląda sprawa klipów. Jeszcze rok czy dwa lata temu bywało tak, że w tygodniu pojawiało się i siedem nowych teledysków. A teraz jest jeden czy dwa" – twierdzi CNE, zaraz jednak uzupełniając, że „wydawcy potrafią wciąż przyinwestować w zespoły z wyrobioną marką czy dobrze rokujące – budżety są mniejsze, ale można się dogadać na product placement". Moi rozmówcy sobie poradzą. „Spisujemy nowe koncepcje. Jesteśmy na tyle kreatywni, że długo nie wytrzymamy w zepchnięciu do formy, która jest w obecnym momencie. Czujemy w sobie potencjał, po wakacjach wręcz nabraliśmy oddechu. Ten rynek jest wolny, a my jesteśmy free lancerami. Trudno o prowadzącego program hip-hopowy, słyszę – jestem o nich spokojny. Należy się raczej zastanowić, czy stacja nie popełnia błędu, stając się w pewnym stopniu telewizyjną Eską". Coś w tym jest. Wspólnym punktem Vivy i Eski będzie promowanie takich wykonawców, jak Nowator, Lerek, Mleko, wyrok(i?) je Cygar. Właściwie to nic nowego, ale Viva wspierała też inne, ambitniejsze rzeczy, a panowie próbowali przy okazji wbić coś do głowy młodszym słuchaczom. Szkoda.

viva bo nie chcę

Eviva l'arte

W MOCNO ZWIĘKSZONEJ DAWCE
Marika
Sprawdzcie wkrotce album Kameral
ENDORFINAJEANS
dystrybucja +48 (91) 453 76 35

anime sześć klasyków

Manga już od dawna trzyma się w Polsce mocno, teraz nastały dobre czasy dla anime: sporo tytułów na DVD, trochę zapowiedzi w kinach, słowem dzieje się. Japońskie animacje cieszą się zasłużoną popularnością – wśród nich powstało kilka arcydzieł, które zapiszą się na stałe w historii kina. Oczywiście, problem w tym, żeby z całej masy filmów powstających w kraju Kwitnącej Wiśni wybrać te, które warto pokazać polskim widzom. Wkrótce czeka nas kilka premier: nowy film Hayao Miyazakiego znajdzie się w kinach, podobnie jak nowa wersja „Appleseed". Nowości DVD nawet nie sposób wymienić. W związku z tym przeprowadziliśmy wśród fachowców i przyjaciół Ślizgu małą ankietę na najlepsze anime. Jej wyniki nie są zaskakujące: na czołowych miejscach znalazły się filmy uznane i popularne, często oparte o mangi wydane już na naszym rynku. Wynika to przede wszystkim z ograniczonego jednak dostępu do japońskich filmów (i, oczywiście, bariery językowej: niewielu z nas jest w stanie obejrzeć anime w oryginale). A jednocześnie potwierdza klasę twórców, stojących za poszczególnymi tytułami. Oto więc przed Wami kilka filmów, które warto znać, w kolejności z naszej ankiety

1. AKIRA (1988)

Katsuhiro Otomo... Ten to dopiero ma talent Jego najsłynniejsze dzieło licząca ponad 2000 stron manga „Akira" zdobyło entuzjastyczne recenzje na całym świecie i jest podziwiane również przez tych czytelników którzy z reguły trzymają się od japońskich komiksów z daleka Otomo wyszedł ze słusznego skądinąd założenia, że jeśli ktoś ma zrealizować na podstawie „Akiry" film, to niech to będzie człowiek, który tego nie schrzani sam zabrał się do roboty, tworząc film zasłużenie zajmujący pierwsze miejsce na naszej liście

Przerażająca i porażająca wizja postapokaliptycznego świata, podnoszącego się z ruin po III wojnie światowej W gruzach Neo Tokio (szykującego się do zorganizowania pierwszej po wojnie olimpiady) szaleją gangi motocyklowe, a w niektórych dzielnicach życie wraca powoli do normy Kaneda młodociany przestępca jednocześnie bohater całej opowieści zostaje przypadkowo wciągnięty w tajemniczą aferę w którą wplątane są tajne służby wojskowe, prowadzące badania i eksperymenty na tzw. „uzdolnionych" – ludziach w których tkwi potężna moc Wśród nich jest były towarzysz Kanedy z gangu, Tetsuo, który po uwolnieniu swojej mocy dąży do zdobycia coraz większej władzy. Najpotężniejszym z „uzdolnionych" jest mały chłopiec Akira, którego przebudzenie (na razie śpi w podziemnych laboratoriach armii) może przynieść zagładę Neo Tokio a nawet wybuch kolejnego konfliktu nuklearnego Od Kanedy i jego dość przypadkowych wspólników zależy los świata muszą powstrzymać Tetsuo, zanim przejmie kontrolę nad Akirą.

Zarówno komiks, jak i film, można określić krótko arcydziełem. Otomo stworzył świat przepełniony goryczą i nienawiścią świat, którego można się bać a jednocześnie nie sposób oprzeć się jego sile Siłą rzeczy musiał wielowątkową mangę przykroić do niespełna dwugodzinnego filmu ale opowieść nic na tym nie traci po prostu autor wiedział, co i jak skrócić żeby anime było godne swojego pierwowzoru. Swoją drogą film powstał, zanim Otomo zakończył swoją komiksową sagę „Akira" to z pewnością jeden z najważniejszych filmów sf lat 90 Wywarł ogromny wpływ nie tylko na japońskie animacje i komiksy, ale i na sporą ilość filmów fantastycznych Jeśli komuś anime kojarzy się za przeproszeniem z „Czarodziejkam z Księżyca" i „Pokemonami" to powinien obejrzeć „Akirę" Ten film jest tak daleko od „cukierkowych" animacji, jak tylko może być to, że jeszcze nie doczekał się polskiego wydania DVD jest po prostu skandalem (jd)

2. SPIRITED AWAY (2001)

„Spirited Away" Hayao Miyazakiego to wspaniała baśń. Sam pomysł łaźni dla bogów jest już zarazem poetycki i intrygujący, tu zaś dopełniono go japońską mitologią i walorami estetycznymi zawdzięczanymi barwnej, pełnej, detali animacji uciekającej od komputerowej rutyny oraz po prostu ładną, stonowaną muzyką. Ważna jest też duża dawka ciepła wynikająca z tego, że nie ma w tym obrazie czarnych charakterów, za maską oschłości ukryte jest dobro i nawet sroga władczyni łaźni zadziwia miłością do swojego dziecka Brzmi sentymentalnie ale o dziwo sentymentalne nie jest bo ogrom ładunek emocjonalny przekazano z powściągliwością charakterystyczną dla kraju kwitnącej wiśni Uważny widz wiele rzeczy może podpatrzeć – jest tu i przesłanie ekologiczne, i krytyka konsumpcjonizmu, i trafne odwzorowanie hierarchii społecznej, a nawet szczypta groteski (trzy wąsate łby u Yubaby). Nie chodzi jednak o rozkładanie „Spirited..." na czynniki pierwsze – to rzecz z gatunku „podziwiaj i odczuwaj" ważna jest magia całości liryzm, zmyślność fabuły. I co tu dużo mówić wykonanie powodujące że na biegnącą przez korytarz kwiatów Chichiro mogę patrzeć w nieskończoność, a gdy na olbrzymim statku zapalają się lampiony i łaźnia ożywa, zawsze przechodzi mnie dreszcz (flint)

3. GHOST IN THE SHELL (1995)

Drobiazgowa naładowana akcją techniką manga „GITS" Masamune Shirow (również autora „Appleseed", o którym niżej) to dzieło wysokiej klasy, ale trudne do przełknięcia na raz, nawet dla tych czytelników, którzy lubią cyberpunka Komiks odniósł ogromny sukces, co musiało się przełożyć na produkcję filmu Jego re-

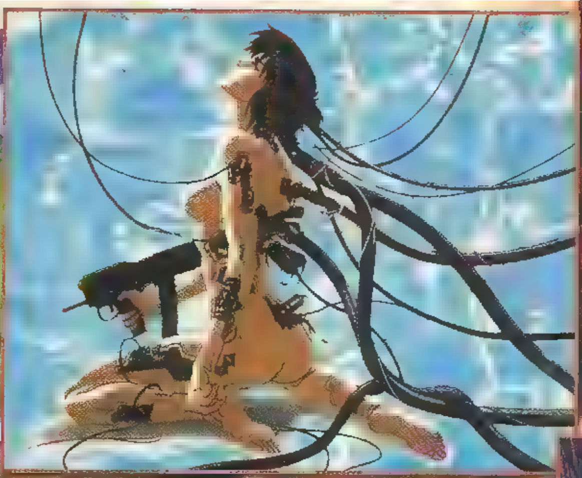

alizacją zajął się Mamoru Oshii (polskim widzom powinien się kojarzyć z fabularnym filmem „Avalon", w którym jedną z głównych ról zagrała Małgorzata Foremniak). Wyciągnął on z „Ghost in The Shell" esencję, którą przełożył na płynną animację (wspomaganą komputerowo, co w połowie lat 90. nie było jeszcze tak rozpowszechnione jak teraz).

Akcja filmu toczy się w dalekiej przyszłości, w prawie zupełnie zinformatyzowanym świecie, gdzie najwyższą wartością jest technika pozwalająca kontrolować niemal wszystko. Większość ludzi to cyborgi – sztuczna inteligencja osiągnęła już kolejny poziom rozwoju. Różnicę pomiędzy żywymi ludźmi a wytworami techniki określa „duch" – część świadomości, która pozwala człowiekowi pozostać człowiekiem. Nawet jeśli ma niemal w całości sztuczne ciało, tak jak major Motoko Kusanagi, główna bohaterka filmu, pracująca w Shell Squad – wydziale bezpieczeństwa. Wraz ze swoim partnerem, cyborgiem Bateau i Togusą (który, dla odmiany, jest niemal w całości człowiekiem) poszukuje genialnego hakera nazwanego Władcą Marionetek. Przestępca przejmuje kontrolę nad umysłami (a w zasadzie „duchami") swoich ofiar, które, żyjąc nieświadomie w tworzonej przez Władcę iluzji, popełniają na jego rozkaz wszelkie przestępstwa. Śledztwo prowadzone przez major Kusanagi prowadzi jednak o wiele głębiej, niż mogła się spodziewać. Spisek ma podłoże polityczne, a sama Motoko ma w planach Władcy szczególne miejsce...

Pewnie niektóre elementy fabuły „GITS" mogą się wydać Wam znajome. I nic dziwnego, film wpisuje się zgrabnie w cyberpunkową tradycję. Zapewne nie byłoby „Ghost In The Shell" bez powieści Philipa Dicka. A bez „GITS", „Matrix" wyglądałby inaczej. Co by jednak nie mówić, w filmie Mamoru Oshii jest wszystko, czego można oczekiwać: wartka akcja, świetna animacja i – oczywiście – seksowne cyborgi i wielkie spluwy. „Ghost In The Shell" ma jednak jeszcze to coś, co sprawia, że wynosi się wysoko ponad poziom zwykłej futurystycznej opowieści: sporą dawkę mądrej filozofii. A to sprawiło, że doczekał się kontynuacji w postaci serialu i drugiej części wersji kinowej.

„Film, jaki mógłby nakręcić James Cameron, gdyby tylko wytwórnia Disneya mu pozwoliła" – napisał po europejskiej premierze magazyn „Empire". Moim zdaniem, zarówno Cameron, jak i Disney mogą tylko pomarzyć o osiągnięciu podobnego poziomu. **(jd)**

4. APPLESEED (1988)

Witamy w upgrade'owanej wersji nowego wspaniałego świata, mieście-państwie Olimp, wzniesionym na gruzach pozostawionych przez globalną wojnę. Do tego zaludnionego przez ludzi i bioroidy (sztuczne humanoidalne twory) metropolis trafiają weterani walk partyzanckich – żołnierka Deunan Knute i cyborg Briareos. Oboje mają chronić Olimp przed terrorystami, ale prawdziwe zagrożenie czyha wewnątrz pozornie pełnego ładu systemu panującego w mieście. Technologiczny reżim ma wkrótce objawić swoją prawdziwą twarz.

Filmowa adaptacja komiksu Masamune Shirow, podobnie jak jej mangowy odpowiednik, dostarczyła prawdziwej transfuzji pomysłów kostniejącemu gatunkowi popularnego sf. Wyreżyserowany przez Kazuyoshiego Katayamę „Appleseed" zapoczątkował całą falę animowanych japońskich techno-dystopii, prognozujących przyszłość w niekoniecznie jasnych barwach. Bez „Appleseed" nie byłoby „Ghost in the Shell", a być może wielkiej popularności i kultowego statusu nie zdobyłyby także „Akira" i „Battle Angel Alita".

Film udowodnił także, że anime może wyrażać naprawdę przemyślane, głębokie opinie na fundamentalne kwestie polityki, filozofii i socjologii. Teraz zaś, kiedy kreowanie sztucznego życia, transnarodowy terroryzm i globalizacja stają się składowymi rzeczywistości, Masamune Shirow wydaje się prawdziwym profetą. Japoński Lem w wersji pop? **(Sebastian Rerak)**

5. KSIĘŻNICZKA MONONOKE (1997)

Konflikt między przemysłem a siłami natury nie jest czymkolwiek nowym. Zdaniem wielu, zderzenie się masowo wytwarzanych w monumentalnych czeluściach Isengardu orków i zadymionego, wypalonego do cna Mordoru z nadrzewnym, żyjącym w symbiozie z przyrodą królestwem elfów i rolniczą, zamieszkującą norki nacją hobbitów w dużej mierze taki spór właśnie symbolizowało. Ale Miyazaki to nie Tolkien ani nie „japoński Disney", jak ku jego rozpaczy próbuje go ochrzcić część krytyków, i nic u niego nie dzieli się tak łatwo na czarne i białe. Wszyscy mają racje, które wypadałoby rozważyć, a człowiekowi trudno znaleźć swoje miejsce między bogami i demonami.

„Księżniczka Mononoke" to pełen rozmachu moralitet wepchnięty w ramy surowej, dynamicznej legendy. Na stworzonych tradycyjnie i z pietyzmem malarskich tłach dzieje się dużo – kamienne groty urywają dłonie, a krew wyssana z ran krzepnie na twarzy. Japończycy to dziwny naród. Epatowanie okrucieństwem w czymś, co mogłoby wydawać się (swoją drogą bardzo błędnie) bajką dla dzieci, jest przyjmowane z mniejszym zażenowaniem, niż wejście w butach na tatami. Ale można ich rozgrzeszyć, bo w międzyczasie padają pytania o wartości i priorytety. I nadal nic nie jest oczywiste. Nawet miłość rozwija się w sposób daleki od hollywoodzkich kanonów. Kawał świetnej, epickiej opowieści ze szczyptą ciepła (np. rozkoszne, eteryczne leśne duchy) i sporą dawką goryczy. **(flint)**

6. HELLSING (2002)

Nieco niespodziewanie „Hellsing" znalazł się na naszej liście. To chyba raczej wpływ polskiego wydania mangi Kohty Hirano niż popularności serialu animowanego, który łatwo dostępny dla nas nie jest. „Hellsing" to, jak łatwo można się domyślić po tytule, horror. Głównym bohaterem jest wampir Alucard, pracujący dla tytułowej organizacji (inna nazwa: „Zakon Rycerski Kościoła Anglikańskiego"), broniącej protestantów przed wszelkiej maści siłami zła. Alucard tępi więc ghule, potwory, inne wampiry, a wreszcie nawet neofaszystów – wszystko w imię dobra i prawości. Hirano czerpie, jak może, z rozmaitych horrorów, niemal bezczelnie pożyczając patenty od wszystkich, począwszy od „Draculi" Brama Stokera, na „Hellboyu" kończąc. Robi to jednak sprawnie i umiejętnie bawi się konwencją, choć o stosunkach pomiędzy wyznaniami w Europie większego pojęcia chyba nie ma. Co prawda, im dalej, tym dziwaczniej, ale „Hellsing" trzyma klasę. Tej klasy nie zmarnowali twórcy serialu animowanego – Umanosuke Iida oraz Yasunori Urata – tworząc lekki w odbiorze, choć krwawy i brutalny cykl. Nie sposób jednak nie zauważyć, że znalazłoby się parę filmów od „Hellsinga" lepszych i bardziej zasługujących na szóste miejsce na naszej liście. **(jd)**

KONKURS:

W naszym mini konkursie możecie wygrać płyty DVD z filmami „Arjuna, córka Ziemi" oraz „Submarine 707" (recenzję tego filmu przeczytacie za miesiąc), ufundowane przez dystrybutora, firmę Vision.

Wystarczy odpowiedzieć na bardzo proste pytanie: Czym różni się manga od anime? Łatwe, nie? To do roboty. Odpowiedzi przysyłajcie na adres redakcji: Ślizg, ul. Brzozowa 35, 00 258 Warszawa. Powodzenia!

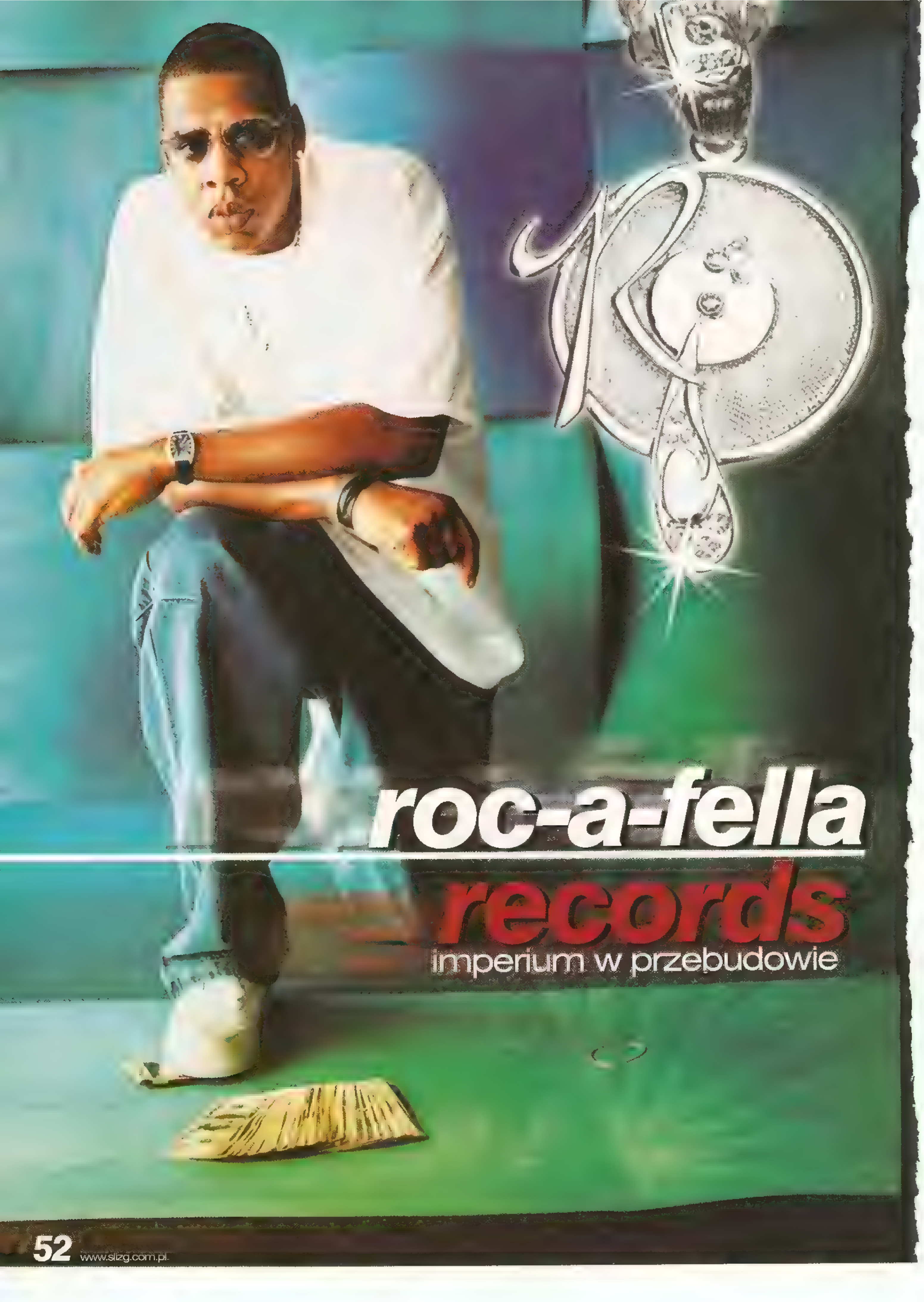

roc-a-fella records

imperium w przebudowie

[illegible] „I'm a Colombia slave", [illegible] nie mogli znaleźć labelu, w jakim mogliby wydawać swoje płyty i liczyć na odpowiednią promocję i uczciwe warunki, a 50 Cent'owi umowę wymówiła Columbia, był ktoś kto zacierał ręce i przeliczał banknoty przebierając w ofertach dystrybucyjnych. Ktoś, kto jeszcze przed wydaniem debiutanckiego krążka doskonale wiedział, że jedyny sposób na to, by naprawdę dorobić się w rap grze i być w 100% panem swojego losu, trzeba mieć wszystko pod kontrolą i możliwość pociągania za odpowiednie sznurki. Ktoś, kto jest najlepszym przykładem spełnienia amerykańskiego snu i przejścia od zera do multimilionera. Ktoś, kto samemu zarabiając grube miliony dał te szanse innym. Ktoś, kto nazywa się Shawn Carter.

Nie jestem kurwa biznesmenem?!

Jay-Z nigdy nie miał tego dylematu. [illegible]

Dobór artystów

Wiadomo, że na początku [illegible]

Przebudowa imperium

W drugiej połowie 2004 r. Jay-Z [illegible]

Stan obecny

Koniec końców [illegible]

Przyszłość

Najbliższe plany [illegible]

Chami Marcos
bs. nose grind
PKIN

Kilian Heuberger
nollie half cab
Ursynow

globe tour

Globetroterzy w Polsce

W czasie trwania wakacji na zaproszenie polskiego dystrybutora na Mentor Session wpadła do nas połowa europejskiego teamu Globe w składzie Kilian Heuberger, Chami Marcos, Severin von Ow i Eero Antilla. Druga część ekipy pojechała do Holandii, gdzie w tym samym czasie rozgrywała się konkurencyjna impreza. Chłopaki wystartowali sobie w zawodach, jednak od razu widać było, że nie start w konteście był ich głównym celem w Polsce. Po zakończeniu imprezy ekipa Globe wyruszyła na streetowe spoty do Warszawy.

Do nagrywek wybierali sobie tylko mega trudne przeszkody. Gdziekolwiek przyjeżdżali, przeważnie robili w pół godziny po kilka trików i jechali dalej. Wyjątkiem była scena na lotnisku, gdzie jest idealny gap. Globe'owcy zajarali się nim i chcieli od razu coś próbować, niestety na posterunku byli agenci ochrony. Wywiązała się wtedy mała sprzeczka, zakończona interwencją policji, jednak ten nieprzyjemny epizod na pewno nie zaważył na całej wycieczce.

Najlepsza była chyba sesja na double secie przy jednym z kościołów. Znajdują się tam wprost idealne marmurowe podwójne schody. Miejscówka ta ma dodatkowe utrudnienie, jest nią mówiący w kilku językach ksiądz, który nie raz wypraszał ekipy z różnych państw. Tym razem na szczęście przeprowadzany był remont kościoła i huk maszyn zagłuszał stukot desek i goście z Globe mogli jeździć bez przeszkód. Wtedy zaczęła się rzeź spotu, poleciały takie triki jak np. sw. fs. flip, sw. big spin, sw. hard flip. Chłopaki po kolei zaliczali swoje triki, a rozradowany kamerzysta wszystko uwieczniał na taśmie.

Jakby tego było mało zniszczyli jeszcze double set na Ursynowie. Kilian Heuberger nie przestraszył się asfaltu i na luzie zrobił nollie frontside i switch pop shove it. Właściwie to Kilian był tzw. man of the trip. Na każdej miejscówce zawsze coś robił, ciężko sobie wyobrazić tak wszechstronnego kolesia. Trzeba było skakać ze schodów on skakał, były banki – on jeździł na bankach, a jak trzeba było się ślizgać, to jeździł na murkach. Istny skater renesansu.

Globe'owcy odwiedzili też warszawskie centrum Blue City, gdzie w podziemiach razem z Polakami katowali duży kontener różnymi slide'ami. To, co zaprezentowali oni w Polsce udowodniło że europejska deskorolka nie odbiega dużo od amerykańskiej. Niedługo zobaczymy film Globe Europe, w którym na pewno znajdzie się materiał nagrany w Polsce, bo ekipa wracała z naszego kraju bardzo zadowolona. Ciekawostką jest to, że byli oni najbardziej obleganym przez polskich fotografów teamem. Rodzimi paparazzich lgnęli do nich strasznie. Ta straszna popularność mogła wydawać im się trochę dziwna, bo nie sądzę, żeby spotykało to ich na każdym kroku. Ś

dj vadim

„naprawdę kocham polski jazz!”

Nie ma drugiego artysty pochodzącego ze Wschodniej Europy, który zaszedłby na scenie hip-hopowej tak daleko i nagrywał z takimi tuzami jak np. Gift of Gab (Blackalicious). Niewielu jest również producentów, których wielu dziennikarzy i odbiorców porównywałoby do takich geniuszy brzmień abstrakcyjnych jak DJ Shadow i DJ Krush. No i chyba nie ma drugiej tak uznanej postaci rapowego światka, która by tak często gościła w Polsce. DJ Vadima dopadłem jednak wcale nie podczas polskiej trasy, gdy promował z Yarah Bravo i Blu Rumem oraz DJem Woody płytę projektu One Self, lecz po wspaniałym koncercie, jaki dali na Hip Hop Kempie. Oto efekt naszej rozmowy

Wywiad i foto Andrzej Cała

Spotykamy się w Hradcu Kralove, na piątej edycji Hip Hop Kempu, dlatego też ten temat poruszę na wstępie naszej rozmowy. Jesteście tu razem z Yarah i Blu Rumem już nie pierwszy raz, obserwując wasz koncert, i generalnie luz, zabawę odnosiłem momentami wrażenie, że czujecie się tu jak w domu.

Do pewnego stopnia masz rację. Czujemy się na HHK naprawdę wyśmienicie i co roku przyjeżdżamy z wielką radością i pełni energii. To niesamowite przeżycie, gdy tylu tysięcy ludzi ogląda z uwagą Twój show, reaguje spontanicznie i przede wszystkim wyraźnie widać, iż szanują Twoją twórczość. Tak – ten festiwal to zdecydowanie miejsce, do którego zawsze wracamy z największą przyjemnością.

Jakie widzisz zmiany, jeśli chodzi o tegoroczny Kemp, w stosunku do poprzednich?

Choć trudno mi w to uwierzyć, jest jeszcze więcej ludzi. Tego się nie spodziewałem. Bardzo ciekawie przedstawia się też lista artystów, jacy wystąpią, organizatorzy naprawdę postarali się pod tym względem, by każdy z tych, którzy kupili bilet na festiwal, zobaczył przekrój ciekawych, interesujących postaci. Reszta pozostała bez zmian – pokojowa, bardzo przyjazna atmosfera, doskonałe nagłośnienie, to robi wrażenie.

Zgadzam się. Zaczynałeś nagrywać na poważnie muzykę ponad 10 lat temu. Co zmieniło się w Twojej twórczości przez te lata, jakie dostrzegasz różnice między DJ Vadimem AD 1994 i tym, który siedzi teraz naprzeciw mnie?

Sam czasem o tym myślę. W zasadzie zmieniło się wszystko, może poza tym, że wciąż tak samo kocham to robić (śmiech). Przez te lata nabrałem wielu doświadczeń, wydałem kilka ciekawych albumów, poznałem mnóstwo fascynujących artystów. Zwiedziłem dziesiątki krajów, wtedy nawet nie marzyłem, że to wszystko tak się potoczy. Jako muzyk dojrzałem, to na pewno. We wspomnianym 1994 roku wyciskałem ostatnie poty z taniego samplera, jaki udało mi się kupić za zaoszczędzone ciężko pieniądze, teraz mam komfort pracy w doskonale wyposażonych studiach, mogę poprosić moich znajomych muzyków o pomoc, gdy chcę dograć coś żywego. Po prostu ciężką pracą doszedłem do jakiegoś komfortu w samym procesie robienia muzyki.

Jak z kolei postrzegasz różnice pomiędzy muzyką wówczas, a tym, co słyszysz obecnie?

Myślę, że wtedy więcej osób robiło ją dla samej przyjemności, chcąc się wykazać, zaprezentować swój talent. Jednak nie należę do tych, którzy narzekają, że coś utraciliśmy, odeszło bezpowrotnie. Uważam, że wciąż wychodzi mnóstwo doskonałej muzyki, trzeba jedynie umieć szperać, wyszukiwać ją, a nie zadowalać się tym, co proponują media komercyjne.

Miałeś okazję pracować z polskimi twórcami, co o nich sądzisz? Często bywasz w Polsce, na pewno dostajesz wówczas od artystów z mojego kraju różne płyty, znajdujesz czas, by je przesłuchać?

Co do pierwszej części pytania – miałem okazję pracować m.in. z Urszulą Dudziak, uważam, że jest niesamowitą wokalistką! Jestem wielkim fanem jej talentu, znałem jej płyty, dlatego tak bardzo chciałem nagrać z nią kawałek. Uważam, że Polska ma najciekawszą, najlepszą scenę jazzową w Europie. Od wielu lat śledzę z uwagą to, co robi chociażby Michał Urban lub Tomasz Stańko, jestem pełen podziwu. Ale podoba mi się też to, co robią młodzi polscy twórcy, mam na myśli Skalpela czy Fisza. Jego brat też robi muzykę, prawda?

Tak – Emade, to producent.

Właśnie, mam płytę POE i uważam, że jest niesamowita, naprawdę doskonała. Tak samo jak nowy album Skalpela, który niebawem wyjdzie, to kawał świetnej muzyki.

Odbijmy na moment od muzyki. Polska sąsiaduje z Ukrainą, która z wiadomych powodów jest Ci bliska. Jakie jest Twoje zdanie odnośnie tzw. „pomarańczowej rewolucji”?

Hmm... Wiesz, uważam, że to wszystko było... Nie wiem, jak to określić...

Naturalnym procesem?!

Nie do końca to miałem na myśli. Nie śledziłem tego wszystkiego z wypiekami na twarzy, mam trochę inne podejście. Musisz wiedzieć, że żona obecnego prezydenta – Juszczenki, pochodzi z Chicago. Kiedy oglądałeś jego kampanię wyborczą, widziałeś cały sztab ludzi i rodzi to się pytanie – skąd mieli na to wszystko pieniądze, by tak to zorganizować. Odpowiedź jest prosta – ze Stanów. To wszystko jest propagandą, wszyscy krytykowali Rosję za jej postawę wobec Ukrainy, a tak naprawdę Ameryka robiła to samo, może w odrobinę inny sposób. To wszystko jest złożoną kwestią. Kiedy oglądasz CNN, widzisz dwa modele postaw, dwa światy – ten z rosyjskiej perspektywy i ten amerykański. Ale dla mnie osobiście żaden z nich nie jest dobry.

To trochę jak z kolorami – najbardziej wyraźne są przecież czarny i biały…

Ale jest przecież ogromna przestrzeń pomiędzy nimi. Chociażby Unia Europejska. Widzisz – Polska czy Czechy weszły do niej, ale to nie znaczy, że od razu wszystkie wasze problemy zniknęły. Tak samo nie wszystko, co rosyjskie, jest złe, a to amerykańskie doskonałe. Ludzie tak bardzo krytykują ustrój, jaki był kiedyś w Europie Wschodniej, ale zobacz co się dzieje teraz – jak wielu dobrze wyedukowanych ludzi nie ma perspektyw, szans na pracę! Gdy był komunizm, ludzie mieli pracę, podstawowe środki do życia.

Nie było też takiego rozwarstwienia społecznego, jak obecnie.

Tak, dokładnie to mam na myśli. Dlatego nie można tak bezkrytycznie patrzeć na to, co działo się na Ukrainie i jedynie widzieć jedną stronę medalu. Owszem – ci, którzy chcą wprowadzić ten kraj do Europy, dokonać w nim zmian, powinni być popierani, ale nie można ślepo wierzyć, że wystarczy odciąć wszystko co rosyjskie, wziąć ślepo to, co amerykańskie i nagle stanie się cud. Szczególnie, że wiesz – wydaje mi się, iż tak naprawdę Ameryka ma gdzieś interesy Polski i Ukrainy, zależy jej na przyjaźni z tymi krajami, by ulokować tam bazy militarne znajdujące się możliwie jak najbliżej Rosji. Boją się Rosji i takimi postawami chcą się zabezpieczyć. Dlatego mają swoje ośrodki i bazy w Finlandii, na Łotwie czy Estonii. Udało im się zdobyć przychylność tych państw, teraz zabiegają o przyjaźń Turcji, Ukrainy, Pakistanu czy Taszkientu. Amerykanie liczą, że tym samym uda im się zmniejszyć militarną przewagę Rosji. To po prostu wciąż walka dwóch mocarstw, chociażby nam wmawiano, iż tak nie jest. Nie znam wszystkich odpowiedzi na dręczące pytania odnośnie polityki i tego wszystkiego, co się dzieje, ale nie możemy dać się omamić tym wszystkim, którzy wmawiają, że przyjaźń i środki finansowe płynące dla biednych krajów, idą tam bezinteresownie. To bzdura. Zawsze kryje się za tym jakiś interes.

Rozumiem, że sceptycznie podchodzisz do zmian, jakie miały miejsce na Ukrainie czy w Gruzji chociażby?

Powiem inaczej – mam nadzieję, że ludziom tam będzie się żyło lepiej, znajdą własny sposób na wolność i demokrację taką, jaka będzie im najbliższa. Znajdą drogę tak jak Polacy ponad 15 lat temu i będą konsekwentnie podążali jej śladem.

Nowy album firmowany przez Ciebie, choć jako One Self, czyli „Children of Possibility” osobiście odbieram jako najbardziej spokojną, stonowaną porcję muzyki autorstwa DJ Vadima.

Wiele osób tak twierdzi, ale mi trudno osobiście to ocenić. A podoba Ci się?

Tak, nawet bardzo. Najbardziej właśnie to, że stworzyłeś przystępną, pełną soulowych, jazzujących smaczków ścieżkę muzyczną, otwartą również na wpływy innych gatunków, ale zarazem bliską klasycznemu hip-hopowi. Czy takie było zamierzenie?

Nie mieliśmy z Yarah i Blu Rumem jakiegoś ściśle sprecyzowanego planu na ten album. Wchodziliśmy do studia, wpadały nam do głowy pomysły i próbowaliśmy od razu – jak to będzie brzmiało, czy wyjdzie z tego coś dobrego? Nasza praca w dużej mierze opierała się na spontanicznej, otwartej wymianie poglądów. Dlatego też ta płyta jest tak różnorodna, tak jak różni jesteśmy my i nasze nastroje.

Ciekawi mnie czy też jesteś zwolennikiem głoszonej przez wielu twórców opinii, że hip hop, muzyka w ogóle, może być dla ludzi impulsem do zmian w życiu, odnalezienia swojego miejsca?

Rozumiem, co masz na myśli i powiem tak – nie jestem zwolennikiem czynienia z muzyki czegoś metafizycznego. Oczywiście dla wielu osób może ona być szansą znalezienia swojej drogi ucieczki, ale ślepe podążanie za tym, co mówią raperzy, co sugerują autorzy książek albo twórcy filmów, to nie jest właściwa postawa. Impulsu do zmian, rozwoju własnej osobowości musisz szukać tylko w sobie, a jaką pomoc w tym wybierzesz – muzykę, medytację, lekturę, to już drugorzędne.

Racja. To już zbliżając się do końca, bo czas nas goni takie pytanie – jak wyobrażasz sobie hip-hop i świat za – przypuśćmy 20 lat?

O, to ciekawe! 2025 rok, hmm... Mam nadzieję, że wtedy Hip Hop Kemp będzie w tym samym miejscu, a ja będę na nim grał i będę wtedy naprawdę starym skurwielem (śmiech). Będę miał wtedy grubo ponad pięćdziesiątkę. Co poza tym? Wierzę, że ludzie zwolnią, zatrzymają się trochę w tym pędzie i dążeniu do władzy, sławy i pieniędzy, a muzyka dla każdego z nas będzie wciąż tak samo ważną i istotną częścią życia. Pozdrawiam wszystkich moich fanów w Polsce, zawsze z przyjemnością do was wracam!

Wielki konkurs bJEŻcie nagrody rozwiązany!!!

Nasz wielki konkurs „bJEŻcie nagrody" rozwiązany!!! Dosłownie zasypaliście nas pracami i ankietami. Wasze wizje Jeża Jerzego są naprawdę zadziwiające – uwierzcie, że mieliśmy poważne problemy, aby wybrać zwycięzców. Postanowiliśmy wreszcie nagrodzić przede wszystkim kreatywność i poziom zaskoczenia – naszego zaskoczenia, po otworzeniu przesyłki od Was. Debatowaliśmy i tak długo, mało nie doszło do rękoczynów, jednak się udało.

I oto ogłaszamy, że **I nagrodę**, czyli zestaw w postaci odtwarzacza mp3 (opis obok), oryginalnej grafiki z Jeżem i autografem Tomka Leśniaka, kilku gadżetów i roczne prenumeraty Ślizgu, zdobył **Michał Dorofiejczyk** z Piły. Gratulacje.

II nagroda – niemal równorzędna, bowiem w jej skład wchodzi odtwarzacz mp3, gadżety i półroczna prenumerata SLG – **Jan Krzysztof Szum** z Siemiatycz. I wreszcie **III nagroda** – paczka z gadżetami i półroczna prenumerata Ślizgu – trafia do autora tzw. robojeża – tego samego, którego widać na zdjęciu (nie widać tylko, że Jeż świeci oczami i ma automatyczną puszkę z piwkiem). Niestety, Ślizg zmieniał ostatnio siedzibę redakcji i przy przeprowadzce zagubił nam się karton, w którym robojeż przyjechał. Proszę więc bardzo autora tego projektu o kontakt mailowy (hellboy@slizg.com.pl) lub telefoniczny do redakcji. Sorry za problem, ale nie możesz nie zostać nagrodzony!

II nagroda

I nagroda

III nagroda

Ponadto nagrody – niespodzianki trafią do kilku jeszcze autorów, których prace nam się niezmiernie podobały. Oto oni:

Magdalena Bułka, Łosice
Piotr Kazana, Nowy Sącz
Dima Korlotian *(skontaktuj się z nami, proszę)*
Piot Łazarski, Wrocław
Marta Miernik, Ząbkowice
Antonina Pater, Wrocław
Rafał Pawlak, Warszawa
Gabriel Radko, Rzeszów
Agnieszka Trymerska, Sztum
Ela Urbaniak, Chyby

Ponadto część prac znajdzie się w galerii na stronie internetowej www.jezjerzy.pl – oto lista autorów prac, których rysunki tam trafią.

Monika Włodarczyk, Wierzchowo
Tomasz Chuszcza, Krasnystaw
Marcin Kik, Celiny
Marcin Sapieja, Jagów
Piotr Ciesielski, Puławy
Martyna Jargiło, Katowice
Rafał Rybak, Chęciny
Piotr Rzepka, Rzeszów
Konrad Zamiar, Warszawa
Patryk Sobczak, Lublin
Marcin Kłosek, Zabrze
Mateusz Kownacki, Białystok
Monika Koralewska, Łęki Strzyżowskie
Mateusz Mazurkiewicz, Kraków
Marcin Zaborek, Gorzów Wielkopolski
Przemysław Szeliga, Bogacica
Paweł Bruski, Brusy

I JESZCZE KILKA NAGRODZONYCH PRAC

Wszystkim zwycięzcom gratulujemy! zapraszamy do udziału w następnych konkursach. Wszystkim również dziękujemy bardzo za wypełnienie naszych ankiet. Pomogą nam w pracach nad nowymi numerami Ślizgu. Elo!

AKTIVIST

EXKLUSIV wyróżnia!

Karolina Marchlewska i Vudu, Trójmiasto
Kim jesteś? graficzką z głową w chmurach
W co wierzysz? w voodoo i dobry smak
Co czytasz? **EXKLUSIV**, miesięcznik dla ludzi z pasją,

txt: Rafał Skarżycki gfx: Tomasz Lew Leśniak

www.jezjerzy.pl

PODEJDŹ BLIŻEJ I ZAKOŃCZMY TĘ FARSĘ... JEŚLI BĘDĘ MUSIAŁ CZEKAĆ, BĘDZIE BARDZIEJ BOLAŁO...
PIERDOL SIĘ PSYCHOLU!!!
CO ZA MATERIAŁ NA FILM! NIE PRZERYWAJCIE!
?
UWAGA...
...CIĘCIE!

c.d.n.

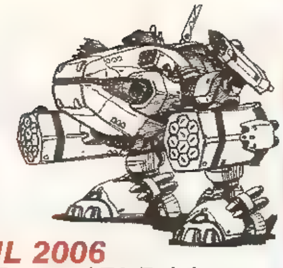

NHL 2006
EA Sports / EA Polska

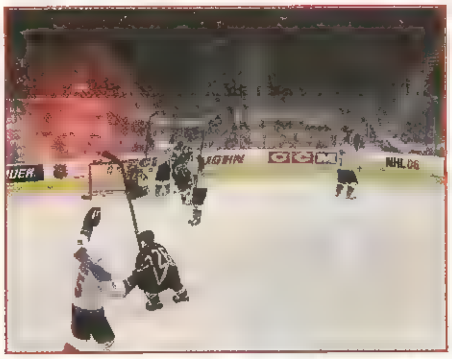

W Polsce hokej nie jest aż tak popularny jak piłka nożna (choć sukcesy w obu tych dyscyplinach mamy raczej podobne -/), co oczywiście nie przeszkadza w odpaleniu najnowszej wersji NHL, prawda? Jak to zwykle bywa w przypadku serii wydawniczych, od razu ciśnie się na usta pytanie, co się zmieniło w stosunku do poprzednich części. Jeśli chodzi o tryby gry, to raczej tradycyjnie. Mamy więc tryb Dynast sezon, mecz towarzyski. Do wyboru mamy ligę fińską, szwedzką, niemiecką, szkoda że brakuje choćby czeskiej, nie mówiąc już o rosyjskiej. Grafika w NHL stała zawsze raczej na dobrym poziomie, więc i teraz nie ma specjalnie na co narzekać (oczywiście nie jest to nowy Doom czy Half-Life 2, ale jakby też inny typ gry). Widać pewne zmiany (na lepsze) w animacji hokeistów, wszystko jest bardziej realistyczne (także w samej rozgrywce, która już nie przypomina tak bardzo gier akcji, tym razem zmysł taktyczny bardziej się przyda). Niestety wszyscy przyzwyczajeni do gry klawiaturą lepiej niech od razu zamówią wizytę u lekarza – gra klawiaturą w NHL niechybnie zakończy się połamaniem palców (zdecydowanie przyda się pad – ten okropny przyrząd konsolowców). Najnowsza odsłona NHL nie rozczarowuje, choć też na pewno nie rzuca na kolana (ale właściwie czego możemy oczekiwać: specjalnych kombosów na odcinanie głowy kijem albo strzał krążkiem w środkową część ciała hokeisty?). Bez wątpienia przydałaby się jakaś konkurencja dla NHL, ale nic z tego – jak się ma prawa na wyłączność...

Dungeon Siege II
Gas Powered Games/ CD Projekt

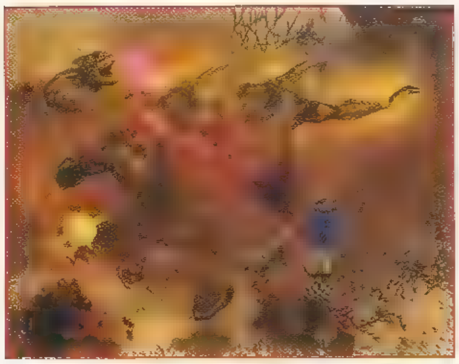

Gdy pojawiła się pierwsza część Dungeon Siege, gracze od razu podzielili się na dwa obozy: tych, którzy zakochali się w tej grze, i tych, którzy za wszelką cenę starali się doszukać wad. Ci drudzy uważali, że DS to nędzna namiastka Diablo, tyle że w trzech wymiarach, a nie prawdziwy rpg z możliwością rozwoju postaci. Cóż, myślę, że teraz i wszyscy malkontenci będą nieco bardziej zadowoleni. Jest zdecydowanie więcej możliwości rozwoju postaci (i oczywiście kupa zadań do wykonania, masa różnych pobocznych questów – jak rpg przystało, oczywiście taki rpg nieco hack'n'slashowy). Gdy odpalimy gierkę powita nas tutorial, który lepiej przejść, co by się nauczyć interfejsu, a potem... potem budzimy się w więzieniu i zaczynamy zabawę. Oczywiście jest drużyna, walka, czary i co tylko chcecie. Co może denerwować, to fakt, że nasza drużyna może liczyć maksymalnie cztery postacie, a możliwość jej powiększenia następuje dopiero wraz z osiągnięciem pewnego poziomu doświadczenia... no ale nikt nie powiedział, że będzie łatwo. W sumie pozycja obowiązkowa dla wszystkich „erpegowców" – i tych spod znaku sieczki mieczem, i tych, którzy preferują czary i kombinowanie.

Dead to Rights II: Hell to Pay
Namco

No cóż, nie byłbym sobą, gdybym nie popastwił się nad jakąś strzelanką czy inną rozwałką złych ludzi. Tym razem padło na drugą część Dead to Rights. I cóż my tu mamy? Znowu wcielamy się w Jacka Slate'a, twardego gliniarza, który musi uratować sędziego porwanego przez bandziorów. A że tych bandziorów jest baaaardzo dużo, więc i Jack ma pełne ręce roboty. Musi używać pukawek, własnych rąk, by eksterminować przeciwników, czasem poprosić o pomoc swego wiernego psiaka, by ten zagryzł jakiegoś niedobrego człowieka i przyniósł gnatka. Gra jest liniowa, akcja non stop, więc nikt nie powinien się nudzić. Takie gry też są potrzebne od czasu do czasu, nawet jeśli są gorsze od swojej pierwszej części. Rzekłem.

gad

newsy

... w 2006

Czy już wspominałem o tym, że w 2006 roku ujrzy światło dzienne kolejna odsłona Unreal Tournament, tym razem o numerze 2007? Na pewno. I na pewno wspominałem, że wszystko będzie jeszcze bardziej cacy, nie mówiąc o nowym trybie Conquest, który będzie wypadkową starego Assault i znanego z nowszych odsłon serii Onslaughta. A czy dodałem, że wszystko ma chodzić na nowym silniku Unreal Engine 3? No to teraz uwaga: podobno w Epic Games (firma odpowiedzialna za UT) zaczęły się już prace nad wersją czwartą silnika graficznego! Jest to o tyle interesujące, że jeszcze nie ma gier powstałych na wersji trzeciej.

Na poważnie...

... mogę mówić tylko o wyłącznie o niejakim Samie, który jak wieść niesie ma się objawić w nowej grafice z nowym silnikiem jeszcze w październiku tego roku, a nie – jak wcześniej chodziły słuchy – dopiero w przyszłym. Czy jednak Croteam, twórcy Serious Sama 2, dadzą radę? Zobaczymy. W każdym razie niefrasobliwy następca Duke'a Nukema nadchodzi, a wraz z nim milony wrogów do sfragowania.

Lara 2006

Choć to tylko pogłoski, ale być może piękną panią archeolog zobaczymy dopiero w przyszłym roku. Cóż, lepiej, by twórcy popracowali troszkę dłużej, oddali nam do użytku (hehe) najnowszego Tomb Raidera Legend w lepszym stanie niż ostatnia odsłona serii, Angel of Darkness. Mamy tylko po cichu nadzieję, że nie zainspiruje to Hollywoodu do nakręcenia kolejnej części filmu. Chociaż ta Angelina Jolie...

Żegnaj Carmageddonie!

Była już mowa o wcześniejszej premierze, o opóźnieniu premiery, teraz więc będzie o całkowitym braku premiery czy zaprzestaniu prac nad grą. A taki los przypadł projektowi Carmageddon 2006 Stars. Gracze lub maniacy retro gierek pewnie pamiętają Carmageddon, samochodówkę, gdzie punkty można było zdobyć, jeśli mnie pamięć nie myli, za rozjeżdżanie przechodniów i inne wesołe akcje w tym stylu. Fakt wstrzymania prac nad grą trochę dziwi, bo w końcu nic tak nie robi darmowej reklamy i nie nakręca sprzedaży jak kontrowersyjna zawartość płytki.

Stworzeni do Piekła

Rzadko – niestety – coś ciekawego dzieje się na polskim rynku gier, więc jak już coś się dzieje, to tym razem padło na „stołeczne" Metropolis, które właśnie pracuje nad grą zatytułowaną Diabolique: License to Sin. A cóż też ma być ciekawego w tej grze? Ano np. to, że głównym bohaterem jest agent Piekła, który ma doprowadzić, nie, nie do końca świata, a do utrzymania równowagi w nim. Gdyż ci z góry nieźle czysto grają. Specjalnie odkrywcze to nie jest, ale tu liczą się też inne rzeczy, zwłaszcza że stykamy do czynienia z grą akcji w konwencji tpp. Graficznie, jeśli wierzyć screenom, jest naprawdę dobrze. Należy więc teraz tylko czekać do wiosny 2006 na starcie Piekła z Niebem. Trzymamy kciuki za Metropolis.

Bój się...

Jeśli lubicie horrory, zwłaszcza The Ring (bądź „Ringu" – oryginalne też japońskie pierwowzory), nieobcy wam „Matrix", a w dodatku lubicie sobie postrzelać, to myślę, że F.E.A.R. będzie grą dla was. Chyba nic wcześniej nie było o tej grze, ale nic straconego, podobno ma ona ukazać się już w październiku. Ale do rzeczy. W grze wcielamy się w kolesia z F.E.A.R. (First Encounter Assault Recon), czyli twardziela od spraw paranormalnych, i nie tylko. Ma być dużo strzelania, walk, specjalnych bullet time'ów, odrobina horroru – chyba właśnie zaczął się sezon na gry tego typu – i zajebista grafika! To wszystko zebrane do kupy ma rozwalić konkurencję. Czy dodałem, że pojawiać się będzie też pewna tajemnicza dziewczynka? To nam coś chyba przypomina...

PRIEST tom 1

scenariusz i ilustracje: Min-Woo Hyung
KASEN

Co my tu mamy? Napad na pociąg, rewolwerowcy ładujący z coltów do potworów rodem z p anu zdjęciowego „Hellraisera" i tytułowy ksiądz – upadły kaznodzieja, który w niefrasobliwości swej wdał się w konszachty z Rogatym. „Priest" to krwawy western-horror w satanicznym sosie, który mógłby narodzić się w głowie jakiegoś sfiksowanego fana Sergia Leone, Clive'a Barkera i H. P. Lovecrafta. Niewykluczone, że właśnie z dorobku tych panów czerpał koreański rysownik i scenarzysta Min Woo Hyung, kiedy przenosił na papier swoją makabryczną wizję Dzikiego Zachodu. A ponieważ Hyung może pochwalić się nie tylko spaczoną wyobraźnią, ale i świetną kreską, jego ociekające krwią rysunki tworzą iście sobzoidalny klimat. Gratulacje należą się wydawnictwu Kasen, bo „Priest" to bodaj najlepszy komiks koreański, jaki przedstawili polskiemu czytelnikowi. Już wypatruję kolejnych części. /SBTN/

WILQ tom 8

scenariusz i ilustracje:
Bartosz Minkiewicz, Tomasz Minkiewicz
BM VISION

O braciach Minkiewiczach i ich radosnej twórczości dowiecie się więcej, czytając wywiad, który znajdziecie w tym numerze „Ślizga", więc tutaj tylko anonsuję niedawne wydanie ósmego już albumu o opolskich superbohaterach i superfotrach. Już sam tytuł „Jednogłowy pirat" może dać tym, którzy „Wilqa" jeszcze nie znają (uchowali się gdzieś tacy?), co to za rozrywka. Jednogłowy pirat, doktor Wyspa, Alc-Man, Entombet i oczywiście Wilq – mamy wszystko, czego moglibyśmy chcieć. A nawet więcej, serię wygłaszanych przez Alc Mana cytatów z trenera Piechniczka („Prawo Pascala" kto wykopie, zap erdala") i genialne rozwinięcie szyfru „Pokolenie JP2", którego tu nie przytoczę, bo brzydkie. Musicie poszukać sami. (jd)

SANDMAN. ULOTNE ŻYCIA tom 1

scenariusz: Neil Gaiman
ilustracje: Jill Thompson
EGMONT

Niedawno ukazała się druga część „Refleksji i przypowieści", a już mamy możliwość przeczytania kolejnego tomu sandmanowskiej sagi. Jak zwykle to prawdziwa uczta dla miłośników dobrego komiksu. Śmierć i Sen wyruszają na ziemię w poszukiwaniu Zniszczenia, który opuścił rodzeństwo Nieskończonych przed wiekami i od tej pory nie daje znaku życia. Sandman co prawda nie wierzy w możliwość odnalezienia brata, jednak za namową młodszej siostry udaje się wraz z nią do rzeczywistego świata. Dla obojga będzie to podróż pełna nieoczekiwanych – nawet jak dla nich – wydarzeń. To tylko ogólny zarys fabuły, zresztą streszczanie kolejnych tomów „Sandmana" nie ma sensu, bowiem to lektura, w której rzeczywistość miesza się z sennymi marzeniami, realizm z magią, groza z humorem. Swoje opowieści Gaiman splata z niezwykłą biegłością i ogromną erudycją, tworząc barwną, fascynującą i bogatą komiksową epopeję. (jd)

prasa

CHICHOT nr 1

Dawno, dawno temu, w odległej galaktyce, istniało kilka pism satyrycznych („Szpilki", „Karuzela"), w których można było znaleźć ilustracje wybitnych twórców polskiego humoru. Publikowali tam m.in. Mrożek, Mleczko, Lipiński i inni artyści. Wielu z nich jest do dziś uważanych za ważne postacie dla polskiego komiksu, nawet jeśli tym gatunkiem twórczości zajmowali się na marginesie swoich artystycznych działań. „Chichot" jest udaną próbą przywrócenia na polski rynek pisma satyrycznego z klasą. Zawiera dawkę publicystyki, recenzji i poezji, ale znaczną jego część wypełniają komiksy. I stąd krótki opis magazynu na tej stronie. Dla miłośników opowieści obrazkowych jest to bowiem nie lada gratka, jedyne w tej chwili pismo, w którym można znaleźć komiksy i żarty rysunkowe w takiej ilości. Bohdan Butenko, KRL, Marek Lachowicz, Leśniak & Skarżycki, Janek Koza, Krzysztof Ostrowski, Andrzej Janicki, Ryszard Dąbrowski, Henryk Sawka, Mateusz Skutnik – to (niepełna) reprezentacja Polski. Mamy też sporą dawkę stripów zagranicznych – i to w wersji AllStars: Garfield, Peanuts, Calvin i Hobbes, Dilbert i parę jeszcze pasków mniej znanych, co nie znaczy, że mniej śmiesznych. W sumie kawał dobrej roboty (choć nigdy nie jest tak, żeby nie mogło być lepiej). Mocno trzymam za „Chichot" kciuki, oby się utrzymał na polskim rynku, który swoją drogą, sam w sobie jest dość śmieszny. (jd)

wydarzenie

SOLIDARNOŚĆ. NADZIEJA ZWYKŁYCH LUDZI

scenariusz: Maciej Jasiński
ilustracje: różni autorzy
ZIN ZIN PRESS

Obchodzone hucznie w tym roku 25-lecie Solidarności przyjmuje różnorodne formy, więc dlaczego nie miałaby znaleźć swojego odbicia w komiksie? Tym bardziej, że to nie pierwsza opowieść obrazkowa poświęcona ruchowi, który doprowadził do upadku komunizmu w Europie Wschodniej i Środkowej. W 1984 roku ukazał się – w drugim obiegu, poza ingerencją cenzury – album „Solidarność – 500 pierwszych dni", narysowany przez Jacka Fedorowicza do scenariusza Jana Owsińskiego. Na szczęście autorzy opisywanego tu komiksu o swoich poprzednikach nie zapomnieli, publikując poświęcony im esej i kilka kadrów (a może by tak ktoś pokusił się o wznowienie całości?). Czy jednak następcy Fedorowicza i Owsińskiego stanęli na wysokości zadania? Pracę mieli w jakiś sposób ułatwioną: dziś można już powiedzieć i publikować wszystko. Można wydawać książki w dowolnych nakładach i żaden państwowy urząd nie ingeruje w ich treść. Jednak wielu – zwłaszcza młodych – najwyraźniej nie pamięta, komu to zawdzięczamy. „Nadzieja zwykłych ludzi" jest przeznaczona właśnie dla nich. Dla wszystkich, którzy nie znają dramatycznych losów powojennej Polski, których – brutalnie mówiąc – niewiele one obchodzą.

Zawarte w albumie cztery historie są siłą rzeczy skrótowe i przedstawiają cztery ważne wydarzenia lat 80. – wydarzenia, które na zawsze odmieniły historię naszego kraju: mentalność ludzi. Mamy tu więc strajk w Stoczni Gdańskiej zakończony podpisaniem porozumień sierpniowych, przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego, śmierć księdza Jerzego Popiełuszki i obrady Okrągłego Stołu. Zabrakło jedynie planowanej piątej historii o papieskiej pielgrzymce do Polski. Scenarzysta tych opowieści przypomina, że niestety, wypisz z podręcznika lub narysowaną wersję filmu dokumentalnego. Ratuje je jednak świetny pomysł autora: każda z nich jest relacjonowana z punktu widzenia zwykłej osoby – jednego ze strajkujących robotników, partyjnego aparatczyka, młodego księdza czy wreszcie brytyjskiego dziennikarza. Wprowadza do niezbędny dystans i nieco życia, ale mimo wszystko całość to raczej ilustrowany bryk niż wciągająca fabuła. Ilustrowaniem poszczególnych komiksów zajęli się Jacek Przybylski, Jacek Michalski i Krzysztof Wyrzykowski, zas ostatnią historię – mom zdaniem najciekawszą graficznie – stworzyło aż czterech autorów: Andrzej Janicki, Janusz Ordon, Janusz Wyrzykowski i Przybylski. Każdy w zupełnie innym stylu, każdy znakomicie. Album uzupełniają krótkie eseje świadków tamtych wydarzeń, m.in. Jana Rulewskiego i historyka Wojciecha Roszkowskiego. No i nie można zapomnieć o wstępie, napisanym przez Lecha Wałęsę – jaki inny komiks może się czymś takim poszczycić?

Niewątpliwie „Nadzieja zwykłych ludzi" jest na naszym komiksowym rynku wydarzeniem. Rysunkowy hołd oddany Solidarności i ludziom ją tworzącym to znakomity wstęp do tego, żeby bliżej zainteresować się najnowszą historią Polski. Choćby po to, by pamiętać, co doprowadziło do zmian w 1989 roku. By pamiętać o czasach, kiedy cała antykomunistyczna opozycja była jednością i walczyła pod wspólnym sztandarem, a nie opluwała się nawzajem... choć sam komiks mógłby (a może nawet powinien) być lepszy i ciekawszy, to tym razem ten aspekt możemy odsunąć na drugi plan. (jd)

PIOTRUŚ PAN. LOSY

scenariusz i ilustracje: Regis Loisel
EGMONT

Długo oczekiwane zakończenie cyklu, opartego na motywach klasycznej powieści dla dzieci Jamesa Matthew Barrie'ego. Cały trik polega jednak na tym, że Loisel ową historię przedstawił w wersji dla dorosłych. W ten sposób baśń o chłopcu, który nie chciał dorosnąć, zmieniła się w raczej ponurą opowieść o samotności i zagrożeniu, o szaleństwie i zbrodni (pojawia się tu chociażby Kuba Rozpruwacz). Trzeba przyznać, że to dziwna i pokręcona historia, niepozbawiona humoru, ale i momentów prawdziwej grozy. Patrząc na cykl już jako zamkniętą całość, muszę powiedzieć, że Loisel mi zaimponował. (jd)

PODRÓŻ SMOKIEM DIPLODOKIEM

scenariusz i ilustracje:
Tadeusz Baranowski
MANZOKU

Reedycja albumu, w którym czarnoksiężnik Hokus-Pokus wraz z tytułowym Smokiem (w rzeczywistości diplodozaurem) wyrusza w podróż w czasie i przestrzeni. Twórczość Baranowskiego znają doskonale na pewno wszyscy miłośnicy polskiego komiksu, więc i tym razem się nie zawiodą: fajna kreska, zabawne pomysły i mnóstwo żartów słownych i sytuacyjnych, spychających na dalszy plan fabułę opowieści. Jak zwykle, świetna robota. Album jest jednak godny Waszej uwagi nie tylko ze względu na tytułową historię, ale i sporą ilość dodatków. Znajdziecie wśród nich m.in. komiksy drukowane wcześniej we francuskim magazynie „Tintin", niezłą historyjkę „Szarp i Burp kontra Thorgal" a także odpowiedź autora na pytania czytelników. W sumie kolejna dobra pozycja do Waszych kolekcji. (jd)

recenzje filmowe

PIŁA
reż. James Wan
MONOLITH

Gdy „Piła" wchodziła na ekrany naszych kin, została delikatnie mówiąc niezbyt przychylnie przyjęta przez krytykę. A szkoda, bo to jeden z najciekawszych thrillerów, jakie ostatnio u nas gościły. Na pewno niezbyt odkrywczy – powielający ograne kliszee, ale na swój sposób świeży i, co najważniejsze, trzymający w napięciu. Dwóch mężczyzn budzi się w obskurnym pomieszczeniu. Nie wiedzą, jak się tam znaleźli i dlaczego, a co gorsza obaj są przykuci łańcuchami do rur. Szybko okazuje się, że są ofiarami psychopatycznego mordercy, zwanego Jigsaw Man, który pozostawił im instrukcje do wykonania i dwie piły, niewystarczające do przecięcia stalowych łańcuchów, ale dostatecznie solidnych by ciąć kości... Debiutujący „Piłą" na dużym ekranie reżyser James Wan porusza się w makabrycznej materii sprawnie, tworząc klaustrofobiczny, przygnębiający klimat. Z pewnością nie jest to film na każde nerwy. Warto jednak spróbować, tym bardziej, że sequel już się powoli produkuje. (jd)

ZA WSZELKĄ CENĘ
reż. Clint Eastwood
BEST FILM

Wreszcie ukazuje się na DVD film, za który Clint Eastwood zgarnął w tym roku kilka Oscarów – całkowicie zasłużenie. Zaczyna się jak klasyczne kino bokserskie: młoda dziewczyna, pragnąca zrobić karierę na ringu, zwraca się z prośbą o pomoc w szkoleniu do starego, doświadczonego trenera. Ten początkowo się wzbrania, widząc jednak upór i ambicję kobiety rozpoczyna z nią morderczy trening, który doprowadzi ją na szczyt sławy. Wówczas jednak jedno wydarzenie, głupi wypadek, zmieni życie obojga na zawsze, zaś akcję filmu popchnie na tory chwytającego za gardło (a wcale nie łzawego) dramatu. Do Eastwooda pasuje stary, wyświechtany slogan: ten facet jest jak wino – im starszy, tym lepszy. Zarówno jako reżyser, jak i aktor. Robiąc filmy w gruncie rzeczy komercyjne, korzystające z różnych schematów przynależnych danemu gatunkowi (tak było przecież choćby w genialnym westernie „Bez przebaczenia") tworzy dzieła głębokie, dotykające najgłębszych zakamarków ludzkiej duszy, a przy tym pozbawione patosu i zadęcia. Wielkie kino spod ręki wielkiego artysty. (jd)

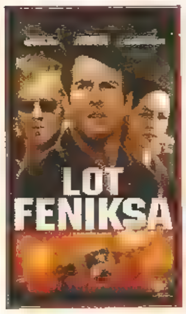

LOT FENIKSA
reż. John Moore
UNIVERSAL

Niewielki samolot traci sterowność podczas burzy piaskowej i rozbija się gdzieś na pustyni Gobi. Część pasażerów ginie, większość jednak wychodzi z katastrofy cało, tyle tylko, by znaleźć się w śmiertelnej pułapce: dookoła rozżarzone piaski pustyni, wszelkie przyrządy nawigacyjne zawodzą, skromne zapasy wody wystarczą tylko na kilka dni, a na ratunek nie ma właściwie szans. Jeden z rozbitków – w cywilu projektant samolotów – wpada wtedy na pomysł, by z ocalałych szczątków maszyny zbudować nową, wystarczająco silną, by wywieźć ludzi w cywilizowane rejony. Absurdalna idea okazuje się jedynym wyjściem z tragicznej sytuacji... „Lot Feniksa" miał szansę być porządnym filmem o ludzkiej sile i woli przetrwania, czymś w rodzaju „Alive – Dramat w Andach" Franka Marshalla. Bardzo szybko jednak fabuła skręca w stronę kolejnej opowieści o „robinsonach", z tym że bezludną wyspę zastąpiła tu pustynia, zaś ludożerców – bezwzględni przemytnicy broni. To kolejna próba wskrzeszenia kina przygodowego, w którym emocje zastępuje działanie i niemal macgyverowski spryt bohaterów. A ewentualnie jest to najgorszy film i jeśli chodzi o zabicie czasu, to nawet daje radę. (jd)

MGŁA
reż. John Carpenter
VISION

Kolejny z klasycznych horrorów Johna Carpentera doczekał się wydania na DVD. Ten akurat, choć przez krytykę niezbyt doceniany (no dobra, w ogóle Carpenter nie należy do ulubieńców tzw. światłych krytyków), należy do mocniejszych. A to ze względu na specyficzny klimat i umiejętnie budowane napięcie. Fabuła jest prosta: nadmorska, spokojna miejscowość, niczym żywcem wyjęta z powieści Stephena Kinga. Nad miasteczko – wbrew wszelkim meteorologicznym zapowiedziom – nadciąga gęsta mgła, w której czai się zło, a konkretnie żądne krwi duchy piratów z okrętu zatopionego u wybrzeży miasta przed laty... Resztę można się łatwo domyślić – podobnie jak w przypadku innych horrorów zrealizowanych przez autora „Mgły". A jednak, mimo swojej przewidywalności, film wciąga i trzyma w napięciu. Co prawda, w dzom przyzwyczajonym do nowoczesnego kina grozy, pełnego spektakularnych i krwawych efektów, „Mgła" może wydać się nieco anachroniczna, ale warto skusić się na seans. Jeszcze tylko gdyby ktoś wydał na płycie pierwszą część „Halloween" tegoż Carpentera... (jd)

strefa mroku

Renesans horroru trwa na dobre. Nie ma miesiąca, w którym parę filmów grozy (bądź zawierających ich elementy) nie trafiłoby na ekrany kin, a kilka kolejnych na DVD. Obok starych mistrzów (George Romero, Wes Craven) swoje propozycje przedstawiają debiutanci. Okazuje się też, że horrory to nie tylko domena Hollywood: straszą nas także Europejczycy i Azjaci. W Polsce filmów grozy się nie kręci. Pewnie dlatego, że dotychczasowe próby raczej śmieszyły, niż wzbudzały lęk. Światełkiem w tunelu może być nowy film Mariusza Pujszy, ale ten pojawi się w kinach dopiero za jakiś czas. Na razie musimy zadowolić się produkcjami ze świata. A jest w czym wybierać...

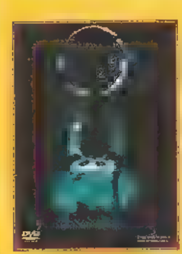

Amerykanie nakręcili już tyle horrorów, że od dawna robią przede wszystkim sequele i remake'i. Kopiują swoje stare pomysły („Dom woskowych ciał", „Amityville", szykowana właśnie „Mgła") i oczywiście udane straszaki z innych krajów, szczególnie z Japonii. Właśnie na płycie ukazał się „**Krąg 2**" (dystrybucja Universal), pozycja warta uwagi choćby z tego względu, że jej reżyserem jest twórca oryginału, Hideo Nakata. Próba rozwiązania tajemnicy śmiercionośnej kasety video (kto obejrzy nagrany na niej film, umrze w ciągu tygodnia) dobiega wreszcie końca. Ze wszystkich remake'ów japońskich filmów grozy ten jest jednym z lepszych, choć oczywiście lepiej obejrzeć oryginał. A już najlepiej przeczytać literacki pierwowzór Kojiego Suzukiego (książka została wydana po polsku).

Amerykanie kopiują, tymczasem Azja trzyma się mocno. Horror rodem z Korei Południowej to dla nas absolutna nowość, tymczasem okazuje się, że i tam potrafią. Po znakomitym „Oldboyu" (który co prawda horrorem nie był, ale za to był przerażający) na DVD trafia „**R-Point**" (reżyseria Kong Su-chang, dystrybucja Mayfly). Film łączy ze sobą historię o duchach z pełnokrwistą opowieścią wojenną, a jest przy tym próbą rozliczenia z pewnymi epizodami w historii kraju (udział Koreańczyków w konflikcie wietnamskim). Armia wysyła mały oddział w poszukiwaniu grupy żołnierzy zaginionych w dżungli. Wojsko trafia do opuszczonego przez Amerykanów budynku, w którym kryje się zło o wiele groźniejsze od kryjącego się w gęstwinie wroga. Pomysł prosty, ale chwytliwy, na dodatek podany w atrakcyjny, świeży sposób. Warto obejrzeć choćby dlatego, że kinematografia koreańska radzi sobie coraz lepiej, a dla nas to ciągłe propozycje egzotyczne.

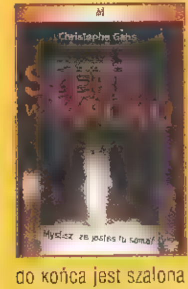

Wreszcie coś z Europy. „**Szepty w mroku**" (reżyseria Pascal Laugier, dystrybucja Monolith) to propozycja prosto z Francji. Pod pretensjonalnym polskim tytułem kryje się całkiem udana „ghost story". Co prawda złożona niemal wyłącznie z samych klisz (opuszczony sierociniec, duchy zmarłych dzieci, kobieta doczekająca prawdy w towarzystwie wariatki, która tak naprawdę nie do końca jest szalona etc.), natomiast ma swój klimat, porządne wykonanie (producentem filmu jest autor „Braterstwa wilków" Christophe Gans) i nie nudzi. Debiutant Pascal Laugier, choć nie ustrzegł się paru błędów, wyszedł z pojedynku z filmem o duchach obronną ręką.

To oczywiście nie wszystko. Wciąż w kinach możemy obejrzeć m.in. „Bękarty diabła" Roba Zombie'ego, „Grę wstępną" Takashiego Miike czy „Klucz do koszmaru" Iaina Softleya. Wkrótce premiery „Red Eye" Wesa Cravena, „Nocnej straży" (ekranizacja kultowej powieści Łukjanenki, wydanej w Polsce jako „Nocny patrol"), czyli rosyjskiego hitu, który podbił Zachód. Wielbiciele filmów grozy mają spory wybór. A to, czy wszystkie filmy naprawdę straszą, to już zupełnie inny temat. (jd)

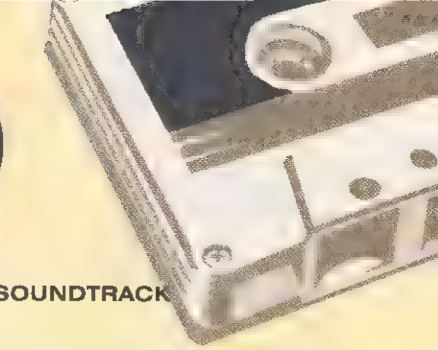

newsy

Witam. Ostatnie tygodnie mieliśmy pełne piłkarskich emocji. Szacun dla reprezentacji za ostatnie wyniki, choć czulibyśmy się zdecydowanie lepiej, gdyby nie bramka Ibrahimovicia dla Szwedów w ostatniej minucie meczu z Węgrami, wtajemniczeni wiedzą, o co chodzi. Na razie pozostaje nam czekać. To z kolei, co zrobiłaWisła Kraków, woła o pomstę do nieba i aż mi się nie chce komentować. Zamieszanie związane z wyborami mamy również w polityce. Na ten typ emocji kładę jednak laskę i zdania mego w tej kwestii nie zmieni nawet zorganizowanie przez prezydenta miasta stołecznego imprezy plenerowej z udziałem Geniusa GZA. Zresztą mimo tego i tak ciągle uważam, że „Kaczyński ma małego fiutka" ;) To tyle mych głębokich przemyśleń na ten miesiąc, wszak nie jest to felieton, przynajmniej póki co. Trzymcie się i do następnego numeru!

M-1 z ***Dead Prez*** szykuje się do wydania solowej płyty. Mężczyzna Eryki Badu (choć w sumie cholera wie, czy jeszcze są razem – wokalistka ta bowiem ma tendencję do dość szybkiego zmieniania partnerów z hip-hopowego światka) zatytułować chce ów album „Confidential", zaprosił na nią m.in. Stylesa P. i Scarface'a, ale to jedyne szczegóły, o których można w tej chwili napisać, gdyż resztę informacji M-1 zachował póki co dla siebie, łącznie z datą wydawnictwa.

Amerykański magazyn dla panów (ale nie z tych pisemek, jak dla samotności) Esquire ogłosił listę najlepiej ubranych mężczyzn świata. No i kogo mamy na jej szczycie? Otóż tytuł „The Best Dressed Man" przypadł w tym roku ***Pharrellowi Williamsowi*** za wprowadzanie dobrego smaku w podziemiu hip-hopowym. Proszę, proszę, gratulacje. Oprócz tego Williams ma otworzyć w swym rodzinnym stanie Virginia sieć dziesięciu restauracji z niezdrowym żarciem pod wiele mówiącym szyldem „Fatburger". Smacznego.

P. Diddy znowu zmienia ksywkę. Od teraz proszę zwracać się do tego dżentelmena per „Diddy". Sean Combs swą decyzję umotywował powtarzającym się rzekomym zakłopotaniem nowopoznawanych przez niego ludzi, którzy nie byli do końca pewni, jak mają się do rapera zwracać. Doprawdy, przezabawne. Na taką decyzję Combsa oburzył się z kolei 50 Cent (czyli inaczej „Fiddy"), który oskarżył rywala o stosowanie nieuczciwych chwytów marketingowych. Jak to rzecze swierszcz: „[illegible], [illegible] wszyscy są jednej [illegible]".

Na początku listopada do sklepów trafi [illegible] album ***O.C.*** Płyta byłego członka D.I.T.C. będzie nosić tytuł „Smoke & Mirrors". Co ciekawe, wydawnictwo ukaże się nakładem niezależnego labela Hiero Imperium, prowadzonego przez członków The Hieroglyphics. O.C. jest pierwszym artystą ze wschodniego wybrzeża, który wyda materiał w Hiero.

Lubię ***Eminema***, gdyż dzięki niemu zawsze jest o czym napisać w „Newsach". Tym razem, żeby było zabawniej, rapera pozwali do sądu jego ciocia i wujek, którym Em obiecał dom i 100 tysięcy dolarów co rok, kiedy ci przeprowadzą się bliżej Detroit. Tymczasem, zdaniem rodziny Marshalla, nie wręczył im on aktu własności rzeczonego domu, a co do pieniążków też jakoś nic nie słychać. Dwa tygodnie później i kolejny proces – tym razem Eminem został pozwany przez pewną parę z Michigan jako organizator Anger Management Tour po tym, jak autobus [illegible]

recenzje muzyczne

DONIU
CZAS SURFERÓW - SOUNDTRACK
UMC

Wiem, że lubicie nienawidzić, ale przyznajcie to: Doniu zrobił jednak sporo przyzwoitych beatów. Tutaj nie musiał dostarczyć samego premierowego materiału, mógł sięgnąć do katalogu UMC, gdzie wbrew temu, co by się mogło niektórym wydawać, jest trochę dobrych utworów. Co więcej, mógł wspomóc się gośćmi z zewnątrz. Miał też komfort psychiczny – nie było praktycznie możliwości, by zrobił coś słabszego od filmu.

Premierowo jest tu Ascetoholix, Cisza i Spokój oraz trochę wielkopolskiego undergroundu na stabilnie niskim poziomie. Odgrzano będące wcześniej na solowych płytach kawałki Owala, Donia, Libera, Wszystkich, którzy nie zdążyli nagrać na video spotu wyborczego Borowskiego i lubią optym styczny, nie co infanty ny dydaktyzm, ucieszy „Ważne" Meza, Tabba i Kasi Wilk. Uważam, że Tabbów przy każdej tego typu produkcji powinno odciąć się jeden palec za marnowanie potencjału i psucie własnej marki. W przerwach nowe instrumentale „wykształconego Dominika". Na deser wciągający breakbeatowy kawałek QQA/Tota Efx, którego obecność nijak nie łączy się z resztą płyty.

Teraz może więcej szczegółów. „To tylko my" drużyny A, to nieszkodliwy przeciętniak na bardzo udanym podkładzie, choć jak słyszy się Libera nawijającego „twój rap jest brzydki jak świnka Piggy", nie wiadomo czy płakać, czy się chlastać. Deep i Dima jadą w swoich kawałkach na napuszonych, przesadnie udramatyzowanych beatach i nie umieją z nimi płynąć, chyba że to taki nowy flow, oparty na wypadaniu z beatu, albo wokal przesunął się przy miksie. WBL, Syn Tej Ziemi i Harry z Green Teamu rzeczywiście odnotowują progres i nie można ich skreślać, ale solidny szlif jest tu wciąż potrzebny. Duże Pe pokazuje bragga zarymowane pewniej, bezczelniej i ostrzej (refren!) niż na „Sinusie". Niestety, ciężki elektroniczny beat zamula go i nie pomagają nawet dobrze dobrane cuty Spoxa. Bo tak to już z Doniem jest, kiedy robi bujające podkłady na głębszym basie z ciętym samplem lub g-funkowym posmakiem („wie kcoast" hehe) jest fajnie („Ustawka", „Gady", „Furra", „Twardziel" – wszystko to doskreczowane przez coraz lepszego DJ-a Story, niestety zafajdane kretyn zmami z filmu), ale syntetyczne hardcore'y brzmią słabo. To też pewien problem – pomysły na utwory to jedno, ale sama realizacja nie powala. „Monolog muzyka" wydawał się brzmieć sporo lepiej.

Podsumowując – kawałeczek (bo słowo „kawał" przy tym nakładzie pracy nijak nie pasuje, nowych rzeczy mało, a instrumentale trwają króciutko) średnie, nikomu niepotrzebne, roboty. Oddajmy honor – Doniu jako osoba ilustrująca dźwiękiem obraz sprawdził się całkiem nieźle, ale krążek jako odrębna całość już niekoniecznie. (flint)

BEANIE SIGEL
PUBLIC ENEMY #1
OTL, KARTEL MUSIC

Zrobiony w kooperacji z Green Lanternem mikstejp, mający w założeniu być zapowiedzią trzeciego klasycznego materiału filadelfijczyka „The B. Coming", nie zawiedzie żadnego fana tego świetnego emce. Poza częścią skitów, w których Beanie popisuje się jedynie wymyślnym darciem japy i żonglerką przechwałkami na zmianę z przekleństwami, wydawnictwo trzyma naprawdę dobry poziom, a w kilku momentach temperatura zbliża się do niebezpiecznie wysokiego poziomu. Jest, gdy Green Lantern miksuje wersy Sigela z „Hail Mary" 2Paca i bitem do „Locked Up" Akona, a dokłada do tego wokale 50 Centa i Biggy'ego – uff, mocny kawałek! To samo można powiedzieć o „I Gotta Have It" z Peddi Crackiem i rewelacyjnym Twistą, a także „Oh Nizzo" (bit Neptunes do „Oh No"), gdzie rapuje gościnnie dawno niesłyszana Ms. Jade. Poza tym, mnóstwo znanych już wcześniej bitów, dobrych wersów i ciekawych blendów. Fani Sigela mogą brać w ciemno. Calak

DROPKICK MURPHYS
THE WARRIOR'S CODE
HELLCAT / SONIC

Punkowa agresja, folkowa rzewność, pot, łzy, krew i whisky to główne składniki celtyckiego punk rocka w wykonaniu amerykańskich irlandczyków z Dropkick Murphys. O ile poprzednia płyta, „Blackout", ujawniała bardziej folkowe oblicze formacji z Bostonu, tak „The Warrior's Code" jest idealnym wypośrodkowaniem między gitarowym łojeniem a bardziej tradycyjnymi dźwiękami. DKM gra z impetem, który podwiewa w górę ludowe kilty, a członkowie zespołu potrafią ryknąć gromko niczym chór irlandzkich wielorybników. O folkowym rodowodzie muzyki bostończyków „Ajriszów" przypomina instrumentarium (oprócz gitar i bębnów, także dudy, akordeon, fujarki, pianino, bandżo i różne takie) oraz kilka standardów (żywiołowe „Captain Kelly's Kitchen", liryczne „The Green Fields of France", „I'm Shipping Up to Boston" Woody'ego Guthrie'ego, „The Auld Triangle" Brendana Behana) ubarwiających autorski repertuar. Główni autorzy piosenek Al Barr i Ken Casey, nadal deklarują dumę ze swoich irlandzkich korzeni i robotniczego pochodzenia, ale nie trzeba być niebieskim kołnierzykiem z Bostonu, aby docenić pozytywną, budującą energię bijącą z ich muzyki. „The Warrior's Code" to kapitalny album, który sprawdza się zarówno jako podkład do żywiołowego pogo, jak i nostalgicznych rozmyślań z buteleczką Guinnessa w ręce. Folk punkowcy z DKM grają świetną muzę, sprawiają wrażenie przesympatycznych ludzi, w dodatku kibicują tej samej drużynie piłkarskiej, co ja, jak zatem mógłbym ich nie lubić? ;) Polecam, ta płyta rządzi! /SBTN/

SLIM THUG
ALREADY PLATINUM
STAR TRAK/ GEFFEN

Umówmy się tak – jeśli ktoś sprzedaje na ulicach bez promocji dziesiątki tysięcy egzemplarzy niskobudżetowych demówek i robi się o nim na tyle głośno, że podkupują go do swojego labelu The Neptunes, a wychwalają nawet zadeklarowani undergroundowcy – ten ktoś nie może być przypadkowym wystrzałem sezonu. Slim Thug, gwiazda sceny z Houston, sam siebie obwołuje tytułem „rookie of the year" i po wysłuchaniu „Already Platinum" można być pewnym, że coś w tym jest. Tematami, jakie porusza, wnioskami, do jakich dochodzi Slim Thug z pewnością Ameryki nie odkrywa, ba – nie wyróżnia się nawet specjalnie na tle innych emce z południa. To jednak nie ma wielkiego znaczenia, bo chyba nikt od dirty southu nie oczekuje pożywki mentalnej. Za to jego głos, siła, flow (choć niestety za bardzo się nim nie bawi) płynące przede wszystkim z ogromnej postury nie pozostawiają obojętnym. Szczególnie, że prezentuje je na doskonałych bitach, nowoczesnych, syntetycznych, doskonale zaaranżowanych i dopracowanych syntetykach. Tego oczywiście można się było spodziewać, skoro połowę tracków zrobi i The Neptunes, czuwający też nad całością materiału jako producenci wykonawczy. Po raz kolejny nie zawiódł Jazze Pha, dwie jego produkcje zdecydowanie dodają blasku całości. Zatwardziali truskulowcy pewnie będą się spinać, ale „Already Platinum" to nie tyle dobry południowy krążek, co jedna z najlepszych płyt 2005 roku jak na razie. **Calak**

BIZARRE
HANNICAP CIRCUS
SANCTUARY RECORDS

„Co, Eminem może, to ja nie mogę?", pomyślał zapewne Bizarre i nagrał solówkę zapraszając do współpracy… Eminema i innych kumpli z D-12. I wyszło tak, jak można było się spodziewać: kolejna płyta z tej samej stajni, oparta na podobnych beatach, podobnych patentach, powielająca to, co słyszeliśmy już chociażby na obu płytach Parszywej Dwunastki. Nawet skity są niemal identyczne. Na dodatek Bizarre raperem jest co najwyżej przeciętnym, więc słuchanie kunasztu zarymowanych przez niego kawałków jest po prostu męczące. Ale trzeba też oddać sprawiedliwość: na „Handicap Circus" znajdziecie kilka fajnych utworów. Wyróżniają się „Bad Day" produkowany przez Erica Sermona i „Porno Bitches" z gościnnym udziałem Big Boia z Outkastu. Może jeszcze „Hip Hop", nieco monotonny, ale z dobrą zwrotką Eminema oraz „Nuthin At All", gdzie D-12 występuje w niemal pełnym składzie. Ten ostatni utwór podkreśla jednak boleśnie, że Bizarre lekkostrawny jest jedynie ze swoimi kumpami z zespołu. Całość nie jest na pewno najgorszym pawiem, ale też słuchanie tej płyty nie sprawia zbyt wielej radości. Przyjemność jest porównywalna z tą, jaką mamy patrząc na okładkę płyty. Bizarre bez wsparcia D-12 traci na pewno więcej, niż D-12 straciłoby bez Bizarre'a. **(jd)**

MYNIEMY
EP
Myniemy. com

Myniemy nagrał płytę zadziwiającą. Jest to hardcore tak prosty i surowy, jakby czas przez ostatnie 8 lat stał w miejscu. Fani Sokoła, Pono, Wigora, Matolata, Pina, Hansa czy Erosa mogą czuć się rozczarowani. To raczej pozycja dla koneserów z dzielnicy lub tych, którzy wciąż żyją nawijkami „ulicznikow" z pierwszych płyt WWO, a ewentualnie na co dzień słuchają Firmy, WSP Projektu, Hamas. Resztę ostrzegam – nie będziecie w stanie dosłuchać do końca.

Po pierwsze, beat dzieje sobie, rap sobie. Po drugie wersy rozpadają się na słowa, a słowa na sylaby, mówiąc krótko gadka nie płynie, jak to w wypadku skandowanego flow. Po trzecie jest to zrymowane na zasadzie pierwszego słowa przychodzącego na myśl, w sposób oczywisty, bez refleksji, czy fajnie brzmi, czy jest oryginalne, czy jest ważne dla tematu, od którego zresztą ciągle się odbiega. Długo można psać, najlepiej przewinąć sobie na zwrotkę Pyskatego i poczuć różnicę między tym, jak się nawijało, a jak nawija koleś lekko jedzie na werblach, rym jest nawarstwiony, a metafory ciekawe – „rencistów w kierpcach" zapamiętamy na długo. Tego Myniemy nie ma. Ma za to linijki w stylu: „Stoisz na rogu z tym swoim kolesiem / w ustach z eciem peciem / coś pozorujecie / cwaniakujecie (…)/ S wy na nią leje/ Koras na nią szcza/ każdy udaje, że ją lubi, bo się dobrze pcha". To komentuje się samo.

Za produkcje (poza trzema mało wnoszącymi remiksami) odpowiada Szyha. Są cięższe niż zazwyczaj na scenie, oryginalne, w wypracowanym przez siebie stylu. I fatalnie brzmiące. Nie chodzi o brud, bo ten by się akurat przydał, aby dopełnić mrocznego klimatu, tylko o beznadziejną realizację – to nawet jak na podziemną epkę dla znajomków. **(flint)**

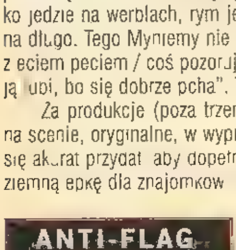

ANTI-FLAG
A NEW KIND OF ARMY
A-F RECORDS

Druga płyta Anti-Flag ukazała się pierwotnie w 1999 roku. Kiedy dwa lata później doszło do zamachów 9/11, wiele sklepów wycofało „A New Kind of Army" ze sprzedaży. Powodem była okładka z odwróconą flagą i „godząca w amerykańską rację stanu" nazwa. To wszystko już historia. W międzyczasie Anti-Flag wyrosło na jedną z najpopularniejszych i najbardziej rozpolitykowanych załóg punk rockowych w USA. Z myślą o wiernych sympatykach (choć nie tylko) punkersi z Pittsburgha przygotowali reedycję swojego drugiego albumu nakładem własnej wytwórni, A-F Records. Nad „A New Kind of Army" nie ma się co rozwodzić. To właśnie na tej płycie załoganci z Anti-Flag zachęcali do zaciągnięcia się do „armii nowego typu", w której służyć mieli ludzie „zbyt mądrzy, by zabijać". Ich melodyjny i dziarski punk rock z zaangażowanym przekazem nadal potrafi porwać o każdej porze dnia i nocy, a takie piosenki jak „Tearing Everyone Down", „Free Nation?" czy kawałek tytułowy to już klasyki. Jeśli ktoś interesuje się muzyką alternatywną, powinien znać ten krążek. Już teraz jest to absolutny kanon punk rocka. **/SBTN/**

...miał wypadek, w którym został on poszkodowany. Nie zdążył jednak już totalnie zdołować rapera, bo trafił on do szpitala z powodu wyczerpania i uzależnienia od środków nasennych. Okazało się, że chłopak chce kończyć karierę.

David Banner, którego nowy album „Certified" właśnie wchodzi do sprzedaży, zagra w filmie „Black Snake Moan". Ma być odtwórcą jednej z ważniejszych ról i to u boku samego Samuela L. Jacksona. Inne znane postacie, które pojawią się w tym obrazie to Christina Ricci oraz Justin Timberlake. Film reżyserowany będzie przez Craiga Brewera, a zdjęcia rozpoczynają się w październiku.

Dobre wieści dla fanów ***Arrested Development***. Grupa, która rozpadła się niedługo po wydaniu drugiego albumu „Zingalamaduni" w 1995 roku, połączyła się obecnie na powrót i planuje wydanie świeżego materiału. Lider zespołu, Speech, oznajmił, że cała ekipa już w tej chwili pracuje nad nowym wydawnictwem w studio. Czekamy!

MF Grimm zapowiada na 20 września nowy album. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że „American Hunger" ma składać się aż z trzech płyt i zawierać 75 piosenek. Z pewnością zaspokoi to głód zarówno amerykański jak i polski. Wydawnictwo w sklepach ma być 20 września, a ukaże się nakładem Day By Day Entertainment, czyli labelu należącego do samego rapera.

Śmieszną akcję odwalił walijski zespół hip-hopowy ***Goldie Lookin' Chain*** w trakcie swojego występu na Millenium Stadium przed meczem Walia-Anglia. Przed wykonaniem swego najnowszego hitu „Your Missus Is A Nutter" z albumu „Safe As Fuck" zadedykowali go siedzącej na trybunach żonie Davida Beckhama, Victorii (na zdjęciu, bo jest ładniejsza niż raperzy). Taka lekka sugestia, jako że numer opowiada o kobietach, którym odwala po alkoholu, a Posh Spice miała ostatnio kilka wpadek z nadmiernym spożyciem procentowych trunków. Sprawa wywołała małą burzę. Walijski Związek Piłki Nożnej wystosował nawet oficjalne przeprosiny za incydent. A mnie on rozbawił!

Mark Ecko, znany przede wszystkim jako producent ciuchów, wygrał ostatnio sprawę sądową przeciwko miastu Nowy Jork. Chodziło dokładnie o organizowany przez Ecko pokaz graffiti, który miał je w zamierzeniu przedstawiać jako rodzaj sztuki. Miasto po początkowym wydaniu zgody na przedsięwzięcie, niedługo potem ją cofnęło, gdy burmistrz wyraził swe zastrzeżenia co do graffiti jako problemu, z którym NY musi się borykać. Sąd nakazał jednak zgodę przywrócić i festiwal odbył się zgodnie z planem. Słusznie.

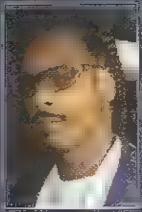

A teraz o uwagę proszę deskorolkowych czytelników. Warto bowiem wiedzieć, że pojawiła się nowa firma produkująca sprzęt deskorolkowy pod nazwą SDBC. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyż tego typu przedsięwzięć jest pewnie więcej niż osób jeżdżących w ogóle na desce, ale tym razem jest inaczej, gdyż skrót nazwy firmy rozwija się w… Snoop Dogg Board Company. Tak, tak, ***Snoop Dogg*** będzie produkował rękami biednych dzieci z Bangladeszu zapewne deski, skejtowe akcesoria, plecaki, łańcuchy?

W klubie nocnym w Miami w czasie imprezy organizowanej przez Kanyego Westa, Johna Legenda i Commona został postrzelony założyciel Death Row, **Suge Knight**. Nie stało mu się nic wielkiego, gdyż napastnik trafił go w nogę i Suge po paru dniach w szpitalu wrócił do domu. Napastnik pozostaje nieznany, przynajmniej amerykańskiej policji, która poszukuje „czarnoskórego mężczyzny w różowym podkoszulku". Powodzenia, chłopaki!

Fat Joe i **50 Cent**, jak wiadomo, nie są najlepszymi kumplami. Ostatnio wymienili uprzejmości w czasie ceremonii rozdania nagród MTV. Najpierw Joe ogłosił, że czuje się bezpieczny na imprezie przy obecności policji dzięki uprzejmości G-Unit (złośliwe przypomnienie sytuacji, kiedy policja ochraniała jeden z koncertów Fifty'ego). Następnie Fiddy w mniej subtelnych słowach odpowiedział: „Joe jet cipką, pieprzyć Joe, pieprzyć Terror Squad". Niestety dla widowiska do rękoczynów nie doszło, choć podobno 50 próbował dostać się na scenę po wypowiedzi Fat Joe. Alez ja lubię takie pikantne newsiki, z powodzeniem mógłbym dorabiać w jakimś plotkarskim brukowcu, nie? ;)

Wszyscy wiemy o tragedii, która dotknęła Nowy Orlean. Wiadomo było, że od razu posypią się oferty szlachetnych charytatywnych czynów w stylu koncertów, meczów i wszelakich spotkań, z których dochód przeznaczony został lub zostanie na pomoc ofiarom „Katriny". **Kanye West** jednak dołożył nieco więcej starań i zdecydował się na publiczne – bo w czasie koncertu transmitowanego przez telewizję – skrytykowanie działań (tudzież ich braku) najjaśniejszego George'a W. Busha (na zdjęciu ;)). „Bush nie dba o czarnoskórych" – tak brzmiało główne przesłanie Kanyego, które wywołało daleko idącą dyskusję we wszystkich amerykańskich mediach. A mi zawsze się tak miło na duszy robi, kiedy ktoś pojedzie prezydentowi USA.

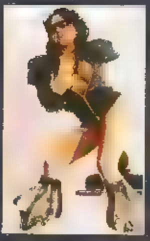

Kiedy już zdawało się, że październikowy numer SLG będzie musiał obyć się bez newsa o **Lil'Kim**, wyszła na jaw informacja o zawartości najbliższego „The Source" no i mamy o czym napisać. Mianowicie Kimberly jako pierwsza raperka w historii tego magazynu otrzymała za swoją płytę „Naked Truth" największy możliwy ranking, czyli five mics. Gratulujemy Lil'Kim bardzo serdecznie, a Was, Drodzy Czytelnicy, raczymy kolejną fotografią naszej redakcyjnej ulubienicy (jestem pewien, że lubi ją również Flint, nawet mimo tego, że oficjalnie nazywa ją „wyjadaczem" ;). Smacznego.)

Jazze Pha i **Cee-Lo** nagrywają wspólny album. Ukazać ma się on w listopadzie i zatytułowany będzie „The Happy Hour", a wyda go label należący do pierwszego z wymienionych artystów Sho'Nuff Recordings. Wśród potwierdzonych już w tej chwili gości zaproszonych na projekt są Keith Sweat oraz Nate Dogg.

Niebawem możemy spodziewać się nowej płyty **The Roots**. Album jest już nawet nazwany – jego tytuł to „Game Theory". Mają się na nim pojawić gościnnie na majku Talib Kweli i Mos Def, a o wydanie materiału ubiega się sam Jay-Z. Raper – który nawiasem mówiąc wciąż zastanawia się, czy podjął właściwą decyzję ogłaszając, iż nie nagra już nigdy żadnej płyty – chce, by album Roots ukazał się nakładem Def Jam Left, kolejnej mutacji fonograficznego giganta. Ostatnio Roots związani byli z Geffenem.

No i jak jeszcze, co by zdjęcie ładne pani móc umieścić, warto wspomnieć o pierwszym od trzech lat albumie **Toni Braxton**. Płyta ukaże się 27 września, czyli lada dzień, a jej tytuł to „Libra". Pierwszy singiel z tego wydawnictwa już sobie lata, jest to rzecz zwana „Please", wyprodukowany przez rozchwytywanego ostatnimi czasy Scotta Storcha.

przygotował Grabiszcz

V/A
LE MAQUIS - FIVE YEARS
LE MAQUIS/ KARTEL MUSIC

Elegancko, ekskluzywnie wydana kompilacja prezentująca to, co najlepszego w ciągu pięciu lat działalności labelu Le Maquis wydali związani z nim artyści. Mamy w tej grupie tak uznane postaci światka nu jazzu, loungu czy też świeżej, poszukującej elektroniki, jak Metropolitan Jazz Affair (kapitalne „Chasing Places"), Zebraville, The Weatherman i Klement Julienne. Całość utrzymana jest w przyjemnym, relaksującym klimacie i jako taka może stanowić bardzo sympatyczne tło do pracy czy też miłego spotkania. Kawałki nie odbiegają od siebie zanadto tempem i są dobrze ułożone, a to duży atut. Jako bonus coś dla oka, mianowicie dvd, na którym umieszczono sześć klipów. **Calak**

V/A
ELECTRO JAZZ DIVAS VOL. 2
WAGRAM/ SONIC

Umieszczenie na jednym krążku nagrań, w których swój niezwykły wokalny talent ukazują m.in. Fontella Bass, Chaka Khan, Alison Crockette, Billie Holiday, Norah Jones i Navasha Daya to kapitalny pomysł dla wszystkich ceniących w muzyce ciepło, zmysłowość, delikatność, a nierzadko również typowo damski pazur. Szczególnie, gdy damy te słyszymy w utworach wyprodukowanych przez takich geniuszy, jak Herbie Hancock, James Hardway, Nicola Conte, The Cinematic Orchestra, Sylk 130 (projekt zaaranżowany przez King Britta z udziałem m.in. Jamaaladeena Tacumy i ?uestlove'a) bądź Koop. Siedemnaście tracków, siedemnaście kobiecych głosów, siedemnaście różnych muzycznych doznań na bardzo wysokim poziomie estetycznym. **Calak**

MADBALL
LEGACY
FERRET MUSIC

W cechu hardcore'owego rzemiosła Madball jest mistrzem i choćby z tego powodu ciężko go krytykować. „Legacy", siódma płyta nowojorskich ciężarowców może sprawiać wrażenie repetytorium z poprzednich albumów, ponieważ prezentuje wszystko to, z czego Madball jest dobrze znany: potężne brzmienie, rzeźnicze riffy, mocny wokal Freddy'ego Cricienа i – pomimo całej tej kostropatej powierzchowności – spory potencjał przebojowości. W zestawie czternastu krótkich i zwartych, trafiających „między oczy" kawałków petard nie brak ani hymnów napisanych jakby z myślą o wspólnym sing-a-long z publicznością, ani rodzynków takich jak piętnastosekundowa miniaturka „Hardcore Pride" i zaśpiewany po hiszpańsku rewelacyjny „100%" (esto es para mi gente / siempre presente). Tyle że do takich zagrywek Madball też zdążył już przyzwyczaić.

No dobra, nie jest to może nic rewolucyjnego, ale od nowojorczyków nie należy oczekiwać radykalnych zmian w stylu i odkrywania nowych muzycznych wymiarów. Madball robi swoje, konsekwentnie wznosząc most pomiędzy old school i new school HC. Zadanie to wychodzi Cricienowi i spółce świetnie, a „Legacy" to chyba najlepszy album w ich dorobku. **/SBTN/**

ONE SELF
(DJ Vadim, Yarah Bravo, Blu Rum 13)
CHILDREN OF POSSIBILITY
NINJA TUNE/ ISOUND

Już single zapowiadające pełny album nadzorowanego przez Vadima projektu One Self, zwiastowały, iż możemy mieć do czynienia z naprawdę ciekawym materiałem. Efekt końcowy przekroczył jednak najśmielsze oczekiwania. DJ Vadim przeszedł na tej płycie samego siebie, tworząc doprawdy fascynującą ścieżkę dźwiękową. Album rozpoczyna surowe, oszczędne, hipnotyczne „Fear the Labour". To numer, który w duże mierze obrazuje całość produkcji na albumie, a dokładnie mówiąc metodę, jaką tym razem obrał Vadim. Poza charakterystycznymi dla niego krótkimi, bardzo dziwnymi samplami, zawodzącym w tle motywem wokalnym, słyszymy też żywe partie instrumentalne budujące groove większości nagrań. Słychać też fascynacje muzyką orientalną, brzmieniami z Karaibów, a także dubem. W numerach, których ton nadawany jest przez rapującą albo śpiewającą Yarah Bravo, Vadim ucieka w soulowe rejony, nadając swym kompozycjom bardziej zmysłowy, delikatny posmak. Największą niespodzianką jest rewelacyjna wręcz forma Blu Ruma 13, który wreszcie nie stanowi jedynie uzupełnienia poszczególnych tracków, co niestety przytrafiało mu się w przeszłości. Trudno wyróżnić najmocniejsze punkty albumu, bo poziom od początku do końca jest naprawdę wysoki. Eklektyczny, ale na der przystępny i do pewnego stopnia przebojowy krążek z pewnością jedna z najlepszych w ostatnich miesiącach propozycji spod znaku Ninja Tune. **Calak**

CIRA
ZAPRACOWANY OBIBOK
cira@tlen.pl

Cira to białostoczanin związany z Panoramą Paru Faktów, a przede wszystkim mc, którego roboczo mocno naciąganym skojarzeniem umieściłbym między dwoma raperami ze wschodniej ściany: Dyhą i Tetrisem. Z tego pierwszego ma świeżość, pewność siebie, celność metafor w braggach takich jak „funk na tych loopach / jak dunk z alley oopa / uderzę jak głową o chodnik zawodnik za any w trupa". Z drugiego technikę, liryczne zacięcie, wszechstronność i zdolność przekładania osobistych emocji do tekstu, co pokazują linijki w rodzaju „wystarczy wierzyć w siebie / by móc obnażać lęk tego, co się z ciebie śmieje" czy „(...) nie mam nic prócz arsenału krzyku / wydawanego po to, by twą uwagę przykuć / piszę i proszę, by pokoju syn

przybył / z nadzieją, że martwy punkt stanie się żywy". Mamy więc kompletnego mc, z dobrym głosem, dobrym flow, warsztatem, a nawet czymś, czego wyżej wymienionej dwójce trochę brakuje – oddającego w tekstach atmosferę swojego regionu (udane „Dla Białostoczan"). A beaty? Dominuje (9 na 13) przyzwoity Auer z ciętym samplem, energiczną perkusją i dość płaskim niestety brzmieniem. Gorzej z gościem o ksywce Markoś, p.. trochę mdłym, nieefektownym, w beatach bardzo „polskim". Na szczęście rob. tylko dwa podkłady. Skitu Szafrana nie ma co oceniać, Dejot raczej dał radę.

„Zapracowanego ob boka" muszą sprawdzić sympatycy undergroundu, powinni sięgnąć po niego też ci obstający tylko przy legalach, bo 2005 ich nie rozpieszcza, a Gurala i POE nie można słuchać w kółko. Spokojnie, najpewniej za miesiąc opublikujemy go w całości na cover cd. (flint)

V/A
PUNK O RAMA vol. 10
EPITAPH / SONIC

Kolejna część kompilacji-przekroju przez ofertę wytwórni Epitaph. Na „dychę" składa się płyta CD i krążek DVD – łącznie 28 utworów audio i 24 videoclipy sygnowane nazwami tuzów punk rocka, hardcore'a, psychobilly, emo, indie i hip-hopu. Wśród wykonawców m.in. Bad Religion, Offspring, Sage Francis, The (International) Noise Conspiracy, Hot Water Music, Dropkick Murphys, Matchbook Romance, Pennywise, Rancid, HorrorPops, Atmosphere, NOFX, The Coup, Tiger Army, The Robocop Kraus, Eyedea & Abilities, Beatsteaks... Wystarczy? Dodam też, że kolekcjonerzy znajdą tu dla siebie kilka niepublikowanych kawałków i innych rarytasów. Z pewnością warto poświęcić tej składance nieco uwagi. Tak z kilka godzin. Albo kilka dni. /SBTN/

OPALL
Paczka - EP
Yamamto nagrania/
paczkaep. republika. pl

Opall nagrał materiał w swojej konstrukcji bliźniaczy względem recenzowanego jakiś czas temu eXo. Najłatwiej mi nazwać to pokłosiem Łony – narracja jak w niezłej prozie, każdy kawałek oparty na oryginalnym pomyśle, szybkie flow. Nie ma tu większych błędów, chyba żebyśmy mieli czepiać się drobiazgów w rodzaju pomyłki w spisie utworów. Tak naprawdę szkodzi tej płycie jedno – schowanie wokalu pod beatem w połączeniu z podkładami w przewadze aspirującymi do miana bangerów (świetny Ramzes i Kejo, ale w pewnym stopniu i słabszy nieco warsztatowo, gorzej płynący Robert D), a więc opartymi o mocne werble, dość agresywne sample, wyraźny bas. Wynik jest jeden – po prostu na rapera nie zwraca się uwagi, ginie w tle, nie przebija się do słuchacza. On zabiera nas do El Dorado, staje się nadczłowiekiem, dostaje przez pomyłkę zaskakującą paczkę, spowiada się nam z przeszłości, a my niestety po kilku wersach tracimy wątek w opowieściach. Szkoda, czekam na coś więcej, byleby było lepiej zmiksowane, beaty trzymały równiejszy poziom, a nawijki kładziono na nie spokojniej i nieco staranniej. (flint)

V/A
W CZERNI I W BIELI EP
FIFTI FIFTI

Ciekawy pomysł, szumne zapowiedzi, fajna idea. To wszystko towarzyszyło wydaniu tego winyla. Niestety, po przesłuchaniu go entuzjazm stopniowo opada, a w pamięci pozostaje niewiele. Wyróżnić należy na pewno produkcje Scoopa, który jednak nie powinien tracić energii ani czasu na rymowanie, bo zwyczajnie wychodzi mu ono niespecjalnie. Z dobrej strony - fakt, że na tle bardzo przeciętnej reszty - pokazał się Pyskaty Skurwiel. Jeśli ten emce nadal będzie się rozwijał w dobrą stronę, już niedługo będzie ważną postacią hardkorowej sceny. Jest jeszcze Jano, w swoim stylu, wyluzowany, pozytywny, właśnie taki, jakiego od zawsze go pamiętamy. No i Piotrek Pacak, który kolejny raz potwierdził swój talent i kunszt wokalny. Co do reszty udzielających się na płycie – wybitnie nijacy. Brak polotu, oryginalności w tekstach, oklepane wnioski, stwierdzenia, tematyka. Taki poziom kilka lat temu uchodził, może nawet rokował nadzieje na przyszłość, a obecnie ginie na tle – wciąż przecież niezbyt silnego – rodzimego podziemia. No nic, szkoda, może pełny album lepiej zaprezentuje potencjał zaangażowanych w ten projekt? A może ten potencjał jest po prostu nie wystarczający, by wyjść ponad przeciętność? Zobaczymy. Calak

error
TEKA
NOWA PŁYTA WKROTCE
Camey studio
errorcthz.com
info : 042 6373740, 0603199388
fax : 042 6371972

Styl nad Style

"STYLE COMBAT"

5 i 6 sierpnia w Niechorzu [illegible] impreza Styl nad Style. Jak zapowiadali organizatorzy [illegible] miała to być pierwsza [illegible]owa impreza graffiti w [illegible] scenerii jaką jest polska plaża. I rzeczywiście [illegible] że miejsce jest mocno wypasione. Niemcy zost[illegible] po drugiej wojnie [illegible] betonową, która miała [illegible] przez morze wysokiego klifu, na [illegible] się latarnia morska. Ściana wysokości 2 [illegible] na [illegible] 210 czekała przez kilkadziesiąt lat na [illegible] 2005, kiedy [illegible] na nią czas.

[illegible]

Styl nad Style
"STYLE COMBAT"
U.S.A.
N.Y.C.

Styl nad Style

"STYLE COMBAT"

mcn

MASS

Styl nad Style
"STYLE COMBAT" mtn

ChromSport
Premium wear
chrom sports company
CS
CHROM SPORT
FINEST PRODUCT

ChromSport

GDANSK
ul.Rajska 12B
ul.Wajdeloty 10

GDYNIA
ul.Swiętojańska 112

ELBLAG
ul.Hetmańska 11/14

WARSZAWA
metro ratusz box4 i box 12
rondo jazdy polskiej box19

www.chrom.com.pl

KRAKOW
ul.Slawkowska 20

CHRZANÓW
ul.29 Listopada 8

KATOWICE
ul.Stawowa 3

Scarlett

Jessica Alba

Mogłoby się wydawać, że wzięła się dosłownie znikąd. I wielu widzów pewnie pomyślało: „kolejna latino gwiazdka, która spadnie z piedestału szybciej, niż się na nim znalazła". Na szczęście, Jessica Alba ma nie tylko śliczną buzię i figurę, od której facetom trudno oderwać wzrok. Ma też talent, który sprawia, że choć występuje zazwyczaj w filmach nastawionych tylko i wyłącznie na zysk finansowy, to wkrótce powinna znaleźć należne jej miejsce pośród najciekawszych aktorek młodego pokolenia.

Występuje na dużym ekranie i w telewizji od połowy lat 90., jednak o jej ówczesnych filmach lepiej nie pamiętać. Przełom nastąpił w 2000 roku, gdy James Cameron zatrudnił ją do głównej roli w produkowanym i napisanym przez siebie postapokaliptycznym serialu „Dark Angel". Od tej pory Jessica zaczęła dostawać coraz ciekawsze role. Co prawda, obyczajowy film „Honey", w którym zagrała młodą panią choreograf walczącą o swoje miejsce w biznesie (partnerowali jej m.in. Mekhi Phifer i Lil' Romeo), nie był do końca udaną udaną produkcją. Jednak nakręcony w tym samym roku „Słownik snów" udowodnił, że Alba ma spory potencjał dramatyczny i jest naprawdę obiecującą aktorką. Zresztą sama postanowiła podwyższyć swoje możliwości i udała się do Atlantic Theater Company, szkoły aktorskiej założonej przez wybitnego scenarzystę i reżysera Davida Mameta.

W tym roku mogliśmy oglądać ją na naszych ekranach w ekranizacjach dwóch komiksów: "Sin City" Franka Millera i Roberta Rodrigueza oraz „Fantastycznej czwórce". W „Mieście grzechu" zagrała Nancy, tancerkę w obskurnym klubie, niegdyś uratowaną z rąk morderców przez niezłomnego glinę Hartigana. Wielu fanów komiksu narzekało półżartem, że w komiksie Nancy występuje cały czas topless, podczas gdy w filmie strategiczne miejsca swojego ciała ma osłonięte. Jednak nie da się ukryć, że Alba była idealna do tej roli: delikatna i silna jednocześnie, przykuwająca uwagę swoją niezwykłą urodą. W „Fantastic Four" zagrała Sue Storm, Niewidzialną Kobietę. Dzięki Bogu i autorom, swoją drogą niezbyt udanego, filmu że jednak większość czasu ją widać. Przynajmniej nie było żal pieniędzy wydanych na bilet do kina.

Albę czeka pewnie teraz długa droga do dalszego rozwoju. Na razie dostaje kolejne propozycje występów w wysokobudżetowych filmach akcji. Kolejne produkcje sensacyjno – przygodowe są już w drodze. Jednak pisana jest jej o wiele ciekawsza kariera. O ile tylko nie da się zaszufladkować i nie skusi się wyłącznie na coraz większe aktorskie gaże, to będzie wkrótce gwiazdą pierwszej wielkości. A nawet jeśli nie, to zawsze miło popatrzeć.

Scarlett Johansson

W przeciwieństwie do Jessiki Alby, Scarlett Johansson ma już ugruntowaną pozycję w hollywoodzkim światku. A to bezsprzecznie zasługa jej talentu, a nie tylko oryginalnej urody. Młodziutka (rocznik 1984, młodsza od Jessiki o trzy lata) aktorka, obecna na ekranach kin od ponad dziesięciu lat, ma już z górą 20 filmów w dorobku, kilka kolejnych w produkcji i niezliczoną ilość propozycji. Pierwszy raz zabłysnęła w „Zaklinaczu koni" Roberta Redforda, choć wcześniej już pojawiała się w licznych filmach, ale raczej z gatunku tych nie do oglądania (choćby trzecia część „Sam w domu", już bez Macauleya Culkina, na szczęście). No cóż, jak się ma 13 lat, to ról się nie wybiera...

Po roli w „Zaklinaczu...", w którym zagrała dziewczynę wracającą do zdrowia po wypadku, było już coraz lepiej. Występowała w ambitnych filmach niezależnych (ekranizacja kultowego komiksu „Ghost World") i u wybitnych reżyserów („Człowiek, którego nie było" braci Coen). Zachwycała publiczność i krytyków wyważonym, dojrzałymi rolami w „Między słowami" Sofii Coppoli i „Dziewczynie z perłą" Petera Webbera (gdzie wcieliła się w rolę dość przypadkowej modelki flamandzkiego malarza Johannesa Vermeera). Owszem, pojawia się też w produkcjach czysto komercyjnych, ale żyć przecież z czegoś trzeba. Jednak, jeśli występuje u boku Ewana McGregora (w najnowszej produkcji Michaela Baya „Wyspa"), czy Dennisa Quaida („W doborowym towarzystwie") to wstydzić się tego nie musi. Tym bardziej, że ambitniejsze kino cały czas ją dość sku-

Jessica Alba

Johansson

tecznie kusi. Wkrótce zobaczymy ją w najnowszym filmie Woody'ego Allena „Match Point" Allenowi zresztą praca ze Scarlett tak się spodobała, że zaprosił ją do swojej następnej produkcji, a wszyscy, którzy lubią kino nowojorskiego neurotyka, wiedzą, że bardzo rzadko angażuje on gwiazdy do swoich filmów po raz kolejny.

Swoją karierę Johansson traktuje z lekkim przymrużeniem oka, na luzie. Unika pozerstwa, gwiazdorstwa i pychy, choc przecież niejednej młodej aktorce sława namieszała już w głowie. Scarlett jest inna, ma swiadomość swoich zalet, ale i swoich wad (czy w ogóle posiada jakieś wady?). A to już znamionuje aktorską wielkość.

Liczba wszelakich nagród i nominacji dla Johansson przekracza już trzy dziesiątki i tylko kwestią czasu jest, gdy upomni się o nią oscarowa akademia. Potrafi dobrze dobierać sobie role, trwając w równowadze pomiędzy kinem artystycznym, a czysto rozrywkowym. My zaś możemy się czuć w jakimś stopniu dumni, bo Scarlett Johansson ma w swoim drzewie genealogicznym polskich przodków. Mamy więc swój wkład w rozwój jednej z najjaśniejszych gwiazd współczesnego Hollywood. Kariera tej niezwykłej dziewczyny zmierza cały czas w dobrym kierunku. A to tak naprawdę dopiero początek jej drogi.

tu kupisz slizg ↘

CHROM HIP HOP SHOP
GDANSK ul. Wajdeloty10 ul. Rajska12 GDYNIA ul. Swietojanska112 ELBLAG ul. Hetmanska 11 14 WARSZAWA metro ratusz box4 i box12 WARSZAWA Rondo jazdy polskiej box19 KATOWICE ul. Stawowa 3 i 7 KRAKOW ul. Slawkowska20 CHRZANOW ul. 29 listopada 8

RZESZÓW, MATEJKI 16
CODE
HIP-HOP SKATESHOP

MUSIC PLANET
NAJWIĘKSZY SKLEP MUZYCZNY
CD - DVD - VIDEO
1 718 383-2051

MENTOR SKATESHOP
ul. Panny Marii 13
87-100 Toruń
tel.: 56 621 10 12

KAMUFLAGE
HIP HOP SKATE SHOP
www.kamuflage.pl

MONASTIC
ul. Kościelna 34, Zduńska Wola 98-220

KAMELEON
HIP-HOP SKATE SHOP
AUGUSTÓW

skateshop SKATECITY
Opole, ul. Ozimska 14-16 DH RZEMIEŚLNIK IIp.

warszawa modlińska 89
498-35-90
ESTYMA
hiphop-skateshop

andegrand.pl
buty
graffiti
muzyka
ubrania
skateboard
SKLEP INTERNETOWY
WWW.ANDERGRAND.PL

SKATE SHOP GRAM
KIELCE UL. DUŻA 5

Filut Hip Hop Skateshop
Wełniany Rynek 2AB
Gorzów Wlkp.

www.skateshop.lublin.pl

BLANT
skate & hip-hop center
SZCZYTNO
ul. 1-go Maja 15a

FLOW
HIPHOP SHOP
WWW.FLOW.PL
ŁÓDŹ TRAUGUTTA 4

SKATESHOP SIXTYNINE
OPOLE
HARLEM SKATESHOP

FREESTYLE
SKATESHOP
ŁÓDŹ PIOTRKOWSKA 81

ANAGRAM
STREET CLOTHING
13

informacje dotyczące zamieszczenia loga (tel. 0-prefix-22 825 49 07)

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o. ul. Brzozowa 35 00-258 Warszawa

kwota

Nazwisko i adres: ____________

zamawiam prenumeratę na:
3 | 6 | 12 miesięcy
PLN PLN PLN

opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa

W P | waluta PLN | kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica | nr domu | nr mieszkania

kod pocztowy | miejscowość

prenumerata na okres | od miesiąca | numery archiwalne + koszt przesyłki

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA ODBIORCY

MONUMENT
SKATE SHOP
www.monument.pl
Lublin Krakowskie Przedmieście 30, Krakowskie Przedmieście 17
Krakowskie Przedmieście 41
Katowice Stawowa 4
Częstochowa al. Najświętszej Marii Panny 37

SYSTEM
SKATE SNOW
DISTRIBUTION
DYSTRYBUCJA I SPRZEDAŻ HURTOWA
AMERYKAŃSKICH PRODUKTÓW:
DESKOROLKI, BUTY, ODZIEŻ, SNOWBOARDY, AKCESORIA
firm: C1RCA, FALLEN, ZERO, ELEMENT, WORLD BLIND, SANTA CRUZ, REAL, SPITFIRE, GIRL i inne
TEL/FAX: (42) 637 6885 WWW.SYSTEMSKATE.PL

Przypominamy, że w dalszym ciągu możecie kupić specjalny numer naszego magazynu „Ślizg – Limited Edition" w całości poświęcony deskorolce, ze specjalnym dodatkiem, filmem „Adio Rock" na DVD! Magazyn możecie kupić w Empikach i dobrych skateshopach.

Jeśli macie problem z kupieniem go, możecie też zamówić egzemplarze w naszej redakcji, pod numerem telefonu **(22) 825-49-07**.

Możecie też u nas zamawiać archiwalne egzemplarze „Ślizgu"! Zachęcamy też do prenumeraty naszego pisma: blankiet, na którym musicie dokonać wpłaty (na poczcie lub w banku) poniżej.

SKATE SHOP · NOWY SĄCZ · www.salamandra.w.pl

CITY GROOVE
EXCLUSIVE CITY SHOP
Al. NMP 53 Częstochowa

BONGO HIP-HOP SKLEP
ul. Kościuszki 17; 88-100 Inowrocław
tel. (52) 357 59 36

SK8 SHOP
VOLCANO
KLUCZBORK
STRZELCE OP.
OLESNO

SKATESHOP
Al. 1 Maja 19 B
62-510 KONIN
tel./ fax 0-63 242 39 56

CALIFORNIA
SKATEBOARD DISTRIBUTION

warszawa modlińska 89
498-35-90
ESTYMA
hiphop-skateshop

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres: ____________________

zamawiam prenumeratę na:
3 | 6 | 12 miesięcy
PLN PLN PLN

opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa

W P | waluta PLN | kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica | nr domu | nr mieszkania

kod pocztowy | miejscowość

prenumerata:
na okres | od miesiąca | numery archiwalne +koszt przesyłk

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA ODBIORCY

BYLIŚMY TU...

WYDARZENIA/IMPREZY/KONCERTY/CIEKAWOSTKI

The Stooges & Cool Kids Of Death Hammersmith Apollo, Londyn,

Cool Kids Of Death zagrali support przed koncertem legendarnego The Stooges z Iggym Popem w składzie. I to gdzie: w słynnej sali Hammersmith Apollo, przed ponad pięciotysięczną publicznością. Właściwie co więcej można dodać? Taki zaszczyt nie spotyka byle kogo i jest potwierdzeniem, że CKOD wyrobili sobie zasłużoną markę za granicami naszego kraju (grali już koncerty m.in. w Niemczech i Japonii). Oby więcej takich wyjazdów, Panowie! Swoją drogą, nie obraziłbym się, gdyby CKOD ponownie zagrali przed The Stooges, ale np. w Warszawie... Na zdjęciach występ The Stooges i szczęśliwi Kulkidsi z Iggym. Foto: Paweł Bulski.

Metal Hammer Festival Katowice, 31.08.2005

Tak się składa, że tym razem w „Bylismy w..." same imprezy gitarowe. I fajnie. 15 rocznicę polskiego „Metal Hammera" obchodziliśmy w katowickim Spodku. Obok polskich zespołów (dobry występ Huntera) na scenie pojawili się goci z Lacuna Coil, szwedzki Opeth i gwiazda wieczoru, Korn. Zespół Jonathana Davisa zagrał kilka utworów z nadchodzącej płyty. Zabrzmiały zajebiście – jak cały koncert, zresztą. Zdjęcia nie mamy, więc na osłodę – plakat.

Big Star Festival Warszawa, 11.09.2005

Festiwal pod szyldem Big Stara to impreza dla młodych zespołów. Przed warszawską publicznością zaprezentowały się cztery kapele, z których najlepsze wrażenie zrobiła na nas Sezamkova, grająca fajny, energetyczny funk-rock-metal (m. in. cover „Hey Ya!" Outkastu). Jako gwiazdy wieczoru wystąpili Cool Kids Of Death i legenda angielskiej sceny niezależnej, New Model Army. Ten ostatni zespół dał po prostu koncert genialny. A wywiad z liderem NMA, Justinem Sullivanem, już za miesiąc w Ślizgu.

wkrótce!!! www.slizg.com.pl

HALLOWEEN SPECIAL
BUSTA RHYMES / PRAKTIK / WWO / CIARA
MARADONA / REDMAN / STEVIE WONDER / ROB ZOMBIE
NEW MODEL ARMY / ANDRZEJ PILIPIUK / WOLVERINE
CASSIDY / DROPKICK MURPHYS / FEAR FACTORY / CHIMAIRA / HERBALISER

nowy ŚLIZG już wkrótce u Was!!!
hip-hop/break/deskorolka/komiks/graffiti

BASTIEN
SALABANZI
etnies
QUALITY
FOOTWEAR
SINCE 1986
etnies
ETNIES: CHECK OUT ETNIESSKATE.COM FOR THE LATEST TEAM AND PRODUCT UPDATES.
BASTIEN (BLACK+WHITE+GUM)

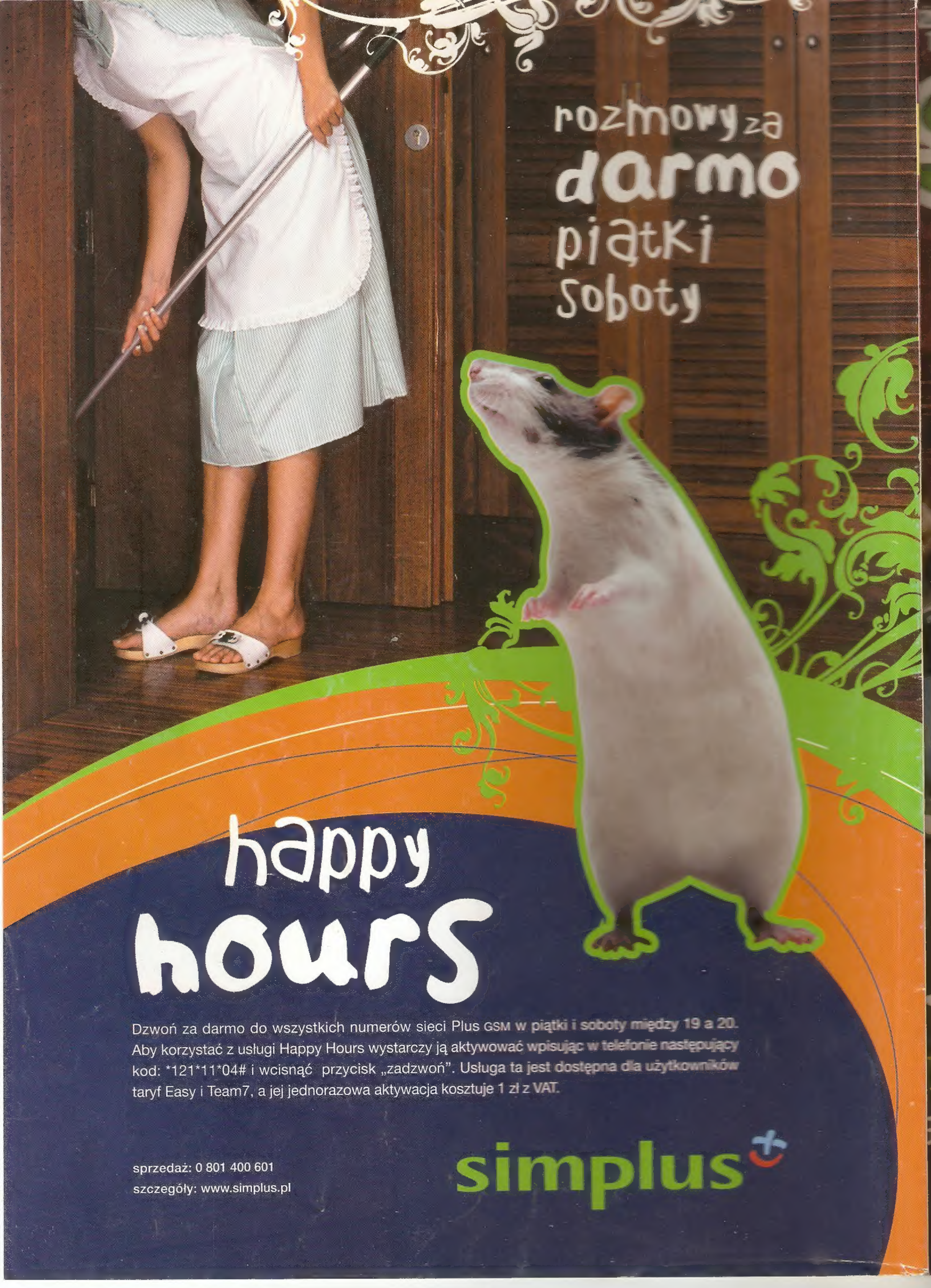
rozmowy za
darmo
piątki
soboty
happy
hours
Dzwoń za darmo do wszystkich numerów sieci Plus GSM w piątki i soboty między 19 a 20.
Aby korzystać z usługi Happy Hours wystarczy ją aktywować wpisując w telefonie następujący kod: *121*11*04# i wcisnąć przycisk „zadzwoń". Usługa ta jest dostępna dla użytkowników taryf Easy i Team7, a jej jednorazowa aktywacja kosztuje 1 zł z VAT.
sprzedaż: 0 801 400 601
szczegóły: www.simplus.pl
simplus